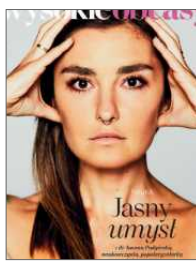


Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Mariupol. Nie wiemy, kim
jesteśmy • Bachmann: nie
zabijajcie realisty • Trump
ma dwa plany • Stopy mrozić,
nie podnosić • Telefon
w zaświaty istnieje

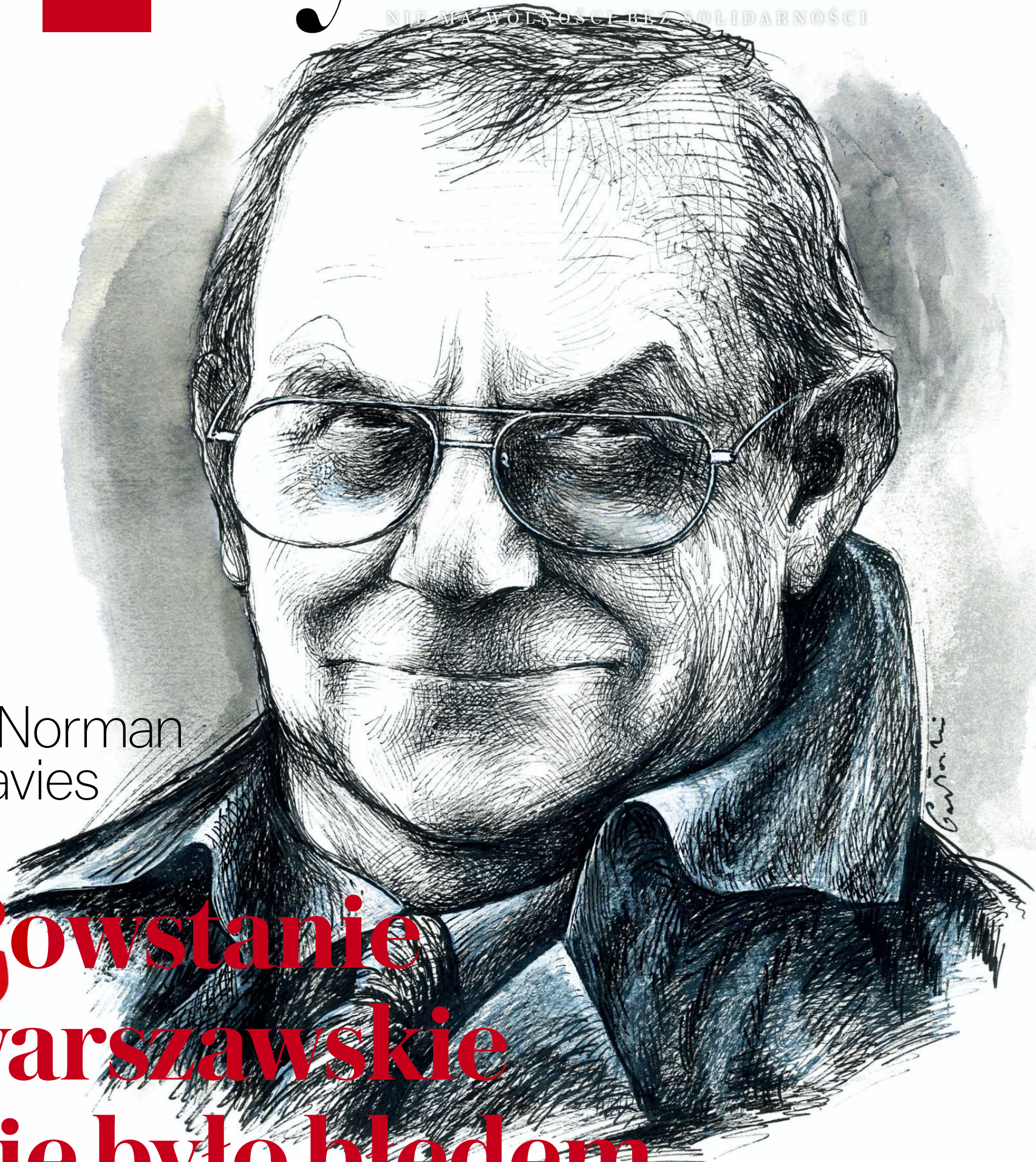


WYSOKIE OBCASY
Joanna Podgórska
biochemiczka: masz
wpływ na swoją starość
Kobiety chcą pracować
cztery dni w tygodniu



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Norman
Davies

**Powstanie
warszawskie
nie było błędem**

ILUSTRACJA: JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Pokój, miłość, tolerancja
Łódź znów organizuje
zakazaną 20 lat temu
Paradę Wolności



Ludobójstwo Jaćwingów
Czy terminem „genocyd”, zdefiniowanym
dopiero w XX wieku, można określać zbrodnie
ze średniowiecza?

Natalia
Waloch

Domniemanie ojcostwa według PiS

Podczas spotkania z mieszkańcami Gniezna Jarosław Kaczyński wspominał o jednym z największych wyzwań, jakie stawia przed PiS, jeśli wygra kolejne wybory, czyli o demografii. Rządzącej partii pali się pod stopami, bo Polki zawzięcie nie chcą rodzić mimo 500 plus i innych transferów. PiS powołało nawet – za 30 mln zł – specjalny instytut, który ma się zająć nakłanianiem Polaków do rozmnażania się.

Sęk w tym, że strategia demograficzna PiS to raczej manifest wiary w tzw. tradycyjne wartości niż merytoryczna, zaplanowana mapa drogowa. Autorzy strategii chcą np., żeby małżeństwa były trwalsze. Super, wszyscy byśmy chcieli, jednak przeciwdziałanie rozwodom z pomocą związków wyznaniowych w kraju, gdzie kościoły pustoszeją, a dzieci masowo przestają chodzić na religię, nie jest pomysłem geniusza intelektu. Zasugerowałabym rządowi raczej przyjrzenie się np. kwestii przemocy domowej, której istnienia nie chce od lat przyjąć do wiadomości.

Tam gdzie są konkretne propozycje – jak wsparcie w kupnie mieszkań czy zapłata dla babć, które zajmują się wnukami, żebyśmy mogły wrócić do pracy – mimo obietnic nic się nie dzieje.

Twarzą walki o dietność jest wiceministra pracy i polityki społecznej Barbara Socha, której wypowiedzi czytam

jak „Opowieść podręcznej” Atwood. Socha z lubością forsuje i przeciwstawia sobie dwa pojęcia: „karierocentryzm” i „rodzinocentryzm”, i przekonuje, że za niską dietnością stoi wspólny pęd ludzi – przede wszystkim kobiet – do sukcesu zawodowego. To stąd właśnie w strategii mamy założenie, że w Polsce ma spadać liczba godzin, jakie dzieci spędzają w żłobkach, a rosnąć ta spędzana z matkami. Jednym słowem: Polki do domów. A od początku lat 90. odsetek matek z wyższym wykształceniem wzrósł z 6 do 32 proc., co oznacza, że Polki w ogromnej mierze nie chcą być tylko żonami i matkami. A badania Anny Kurowskiej i Eweliny Roslanowskiej pokazały, że stabilne zatrudnienie nie jest przeszkodą dla posiadania dzieci, ale warunkiem koniecznym, by je mieć.

U podstaw strategii PiS leży przekonanie, że za wszelką cenę należy ratować tzw. tradycyjną rodzinę. I tak wciąż mamy dyskryminację związków nieformalnych, choć rodzi się w nich aż jedna czwarta polskich dzieci. Wśród rozwiązań, jakie chce wprowadzić rząd, by nakłonić ludzi do posiadania dzieci, jest m.in. to, by objąć ochroną pracowniczą ojców. Z tym że ochronę w miejscu pracy od momentu zajścia kobiety w ciążę do skończenia przez dziecko roku mieliby tylko mężowie, partnerom przysługiwałaby ona dopiero od momentu narodzin dziecka. Dlaczego? Barbara Socha odpowiada: „W małżeństwie jest domniemanie ojcostwa”. Tak, naprawdę tak powiedziała. ●

Andrzej rysuje



Wakacje na lotnisku Pan tu nie stał



Pasażerowie ustawiają się w kolejce do odprawy na międzynarodowym lotnisku we Frankfurcie z nadzieją, że w końcu odlecą. W środę Lufthansa ogłosiła 24-godzinny strajk, większość jej rejsów została odwołana. **Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)**

Intymne życie hien



W stadzie zawsze rządzą samice. Kiedy dołączają do nich samce, to jak w korporacji: zaczynają na samym dole i dopiero muszą się pięć w hierarchii.

► Czytaj w poniedziałek

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco przez
cały weekend

BAS22LA

- 1 Wejdź na stronę [Wyborcza.pl/magazynkod](https://wyborcza.pl/magazynkod)
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend



*Nauczmy się, żeby nigdy nie wywierać
presji na sumienia innych, nigdy nie
ograniczać wolności tych, którzy nas
otaczają*

PAPIEŻ FRANCISZEK

Commonwealth Stadium w Edmonton w Kanadzie

Pamięci naszej Córeczki

Paulinki Zysk

która dzisiaj obchodziłaby 21. urodziny...

Córeńko,
Już po raz dziesiąty, zamiast patrzeć jak dmuchasz świeczki na torcie,
pójdziemy zapalić Ci znicze.

Wszystkiego najlepszego Tam, jeśli jakieś Tam w ogóle istnieje.

Kochamy Cię najbardziej na świecie Myszeńko nasza jedyna...

mama i tata



Paulinka zginęła 9 marca 2013 roku w wypadku,
gdy jechała ze swoim zespołem Jazz One Junior EDS
na turniej tańca spełniać swoje marzenia...

Top 5 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Kobieca Wielka Pętla

1 Dwa górskie etapy w Wogezach – sobotni i niedzielny – wyłonią zwyciężczynię Tour de France Femmes. Kobieca Wielka Pętla wreszcie ma oprawę i prestiż na miarę tej męskiej, największego i najbardziej popularnego wyścigu kolarskiego na świecie. O zwycięstwo walczy Polka Katarzyna Niewiadoma. Wypatrujemy w peletonie pstrokatej koszulki grupy Canyon/SRAM Racing i numeru 61 na koszulce – to ona.



FOT. RICARDO RUBIO / AP, NASA, SHUTTERSTOCK, CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, THOMAS MAHEUX

Wtorek

Czyny nie do zapomnienia

2 Państwowa Komisja do spraw Pedofilii przedstawi 2 sierpnia swój drugi raport. Urzędnicy po raz pierwszy pokażą wyniki analiz akt spraw, w których doszło do przedawnienia. – Mowa o sprawach dotyczących wykorzystania seksualnego małoletnich z ostatnich 50 lat. Statystyki przedstawiają m.in.: kim są sprawcy i osoby przez nich skrzywdzone, czas przedawnienia i rodzaje czynów – zapowiadają członkowie Komisji.



Środa

Rosja opuszcza Międzynarodową Stację Kosmiczną

3 – Decyzja o opuszczeniu tej stacji po 2024 r. została podjęta – zapowiedział szef Roskosmosu Jurij Borisow. Dodął, że dla Rosji priorytetem jest budowa własnej stacji orbitalnej. Administracja Bidena chce utrzymać stację na orbicie do końca 2030 r. Rosyjskie statki zapewniają napęd potrzebny do okresowego podnoszenia orbity stacji albo manewrów w celu omijania kosmicznych śmieci.



Czwartek

Festiwal Owsiaaka pod hasłem „Wojnie – nie!”

4 Pol'and'Rock wraca do przedcovidowej formuły – będzie to festiwal niebiletowany, otwarty dla wszystkich i bez testów na COVID-19. W ciągu trzech dni na dużej i małej scenie odbędą się 42 koncerty. Zamiast zapowiadanej gwiazdy, Limp Bizkit (zachorował wokalista), zagra brytyjski Skindred. Oprócz grania będzie też rozmawianie w Akademii Sztuk Przepięknych. 4-6 sierpnia, lotnisko wojskowe w Broczynie.



Piątek

Hasło Off Festivalu – „Bunt”

5 Festiwal organizowany przez Artura Rojka w Katowicach ma już czternastą edycję. W tym roku wystąpią m.in. legendarny Iggy Pop, brytyjskie duo Metronomy, białoruskie gwiazdy postpunku Molchat Doma. Jak zawsze festiwal będzie miał swój literacki kawałek – będzie można spotkać się z autorami książek w Kawiarni Literackiej. 5-7 sierpnia, Dolina Trzech Stawów.



Faszystowskie zapędy A.D. 2022

Wszyscy jesteśmy hybrydami

Orbán sprzymierzył się już z diabłem, ale w tym roku przeszedł samego siebie

Szczerzek



Co roku Viktor Orbán jeździ do rumuńskiego Băile Tușnad i opowiada dziwne rzeczy. Lubi tam jeździć: to węgierskojęzyczna część Rumunii, można powiedzieć „Węgry poza Węgrami”, bo to Szeklerszczyzna. Węgierska góralskość, karpackość, odebrana temu krajowi sto lat temu po pierwszej wojnie w ramach traktatu w Trianon.

No i cóż: Orbán jest pierwszym od końca II wojny światowej węgierskim premierem, który jest wśród tych rumuńskich Węgrów – Szeklerów – traktowany jako również ich premier. Rozdaje bowiem zagranicznym Węgom węgierskie paszporty, pozwala im głosować w węgierskich wyborach (więc głosują głównie na niego), zapewnia różne programy pomocowe (więc trochę nic dziwnego, że głosują głównie na niego). Czegoś takiego nie było na Szeklerszczyźnie od czasów regenta Horthyego, który sprzymierzył się z samym diabłem, czyli Adolfem Hitlerem, żeby te tereny odzyskać dla Węgier.

Orbán też sprzymierzył się z diabłem. Robi w zasadzie to samo co Horthy, tylko w wersji light. Bardziej cwa-nej. Jego sojusz z Putinem jest nieoficjalny, poza tym Węgry pozostają w strukturach Zachodu: NATO i UE. Jego „odzyskiwanie” dawnych węgierskich terenów też nie polega na tym samym, na czym polegało za Horthyego: węgierskie wojska nie łamią słupów ani zapór granicznych. Orbán buduje w regionie dawnych „Wielkich Węgier” węgierskie wpływy. Skutecznie.

Więc tak: Orbán lubi jeździć na Szeklerszczyznę. Co roku, w biesiadnej pozie, otoczony kochającym go ludem, snuje gawędy w stylu, który określony mógłby zostać jako „dziaderski”. Narzeka na „islamizację Europy”, toczy protekcyjną bekę z Rumunią, która przy szeklerskiej odwieczności jest, według niego, nowym organizmem, opowiada, jak zła jest liberalna demokracja, którą warto zastąpić rozwiązaniami znanymi z Azji itd.

W tym roku jednak przeszedł samego siebie. Opowiadać zaczął o czystości rasowej, o tym, że narody „nieczyste rasowo” nie są już narodami. Pieprzył, słowem, tak, że odeszła od niego jedna z jego doradczyń, która przecież musiała przelknąć już wiele jego dziwnych opowieści. Można odnieść wrażenie, że Orbán co roku stara się przebijać głupoty, które opowiadał roku poprzedniego. Jestem strasznie ciekawy, co powie za rok. Trudno mu będzie przebić to faszystowskie, odklejone gadanie.

Najlepsze w tym jednak co inne: Orbán naprawdę nie rozumie, albo próbuje nie rozumieć, że sam jest hybrydą. Nieczystą rasowo. Jego węgierski język, z grupy językowej, która wywodzi się z okolic Jerozolimy, zmieszał się z łacińską kulturą Europy, z południową wersją niemieckości/austriackości, która miała gigantyczny wpływ na węgierską kulturę w XIX i XX wieku – Orbán nawet, najwyraźniej, nie widzi, jak wiele miejska kultura Budapesztu czy kultura zachodniowęgierskiej wsi ma wspólnego z ogólną kulturą Europy Środkowej: od Monachium i Wiednia przez Zagrzeb, Nowy Sad i Subotićę, po Kraków, Pragę, Bratysławę, Lwów czy Iwano-Frankowsk. Orbán nie przyjmuje do wiadomości, że tureckie panowanie nad centralną częścią Węgier też zostawiło swoje ślady – jak chociażby tak, wydawałoby się, unikalnie budapeszteńskie przesiadywanie w termal-



• Viktor Orbán w Băile Tușnad, na Szeklerszczyźnie, węgierskojęzycznej części Rumunii

nych basenach, które jest niczym innym jak bliskowschodnią kulturą hamamów. Orbán nie rozumie w końcu prostego faktu, że jest częścią zglobalizowanego świata, że wszystko, czego używa na co dzień – od smartfona po strategię propagandową czy polityczną – wpływa na niego i jego „czystą węgierską kulturę” o wiele silniej niż ciemna skóra tego czy innego migranta. Albo wpływałyby, gdyby istniało w ogóle coś takiego jak „czysta węgierska kultura”.

Bo wszyscy jesteśmy hybrydami. Żyjemy w Europie Środkowej, miejscu, które tylko zrozpaczony i desperacki kompleksiarz mógłby chcieć „oczyszczać”. Bo hybrydyczność jest naszą cechą. I to cechą stałą. Jesteśmy tu – my, Polacy, Węgrzy – od tysiąca lat i od tej pory zostaliśmy uformowani przez wszystkie w zasadzie zewnętrzne czynniki, z jakimi mogliśmy tylko mieć do czynienia. Polska czy węgierska struktura miejska to efekt niemieckiego Ost-siedlung, zakładania miast na prawie niemieckim. Nasze prawo bazuje na rzymskim (jego konstrukcji), nasze języki pełne są germanizmów, łacynizmów, i są to często słowa, których brakowało w naszych rodzimych językach – czy to słowiańskim, jak w przypad-

ku Polski, czy ugrofińskim w przypadku Węgier. Zresztą – co to znaczy, że te języki są „rodzime”? I Słowianie, i Madziarzy pojawili się w Europie Środkowej i zmieszały z żyjącymi tutaj wcześniej ludami, tak że nasza etniczność przypomina wieloskładnikową pizzę, a nie czysty-przejrzysty blok lodu.

Dziś, w czasie, gdy globalizacja jest tak silna, że wręcz przezroczysta i niedostrzegalna, nie widzimy nawet, jak wszyscy kulturowo się do siebie zbliżamy, jak bardzo unifikuje się kultura Zachodu i jak bardzo gadanina o „czystości rasowej” jest nieprawdziwa i wręcz głupia. Próba ustawienia tej „czystości” u podstaw tożsamości jest czymś takim, jakby chcieć wznosić gmach na przywołanym już topniejącym lodzie.

Jesteśmy hybrydami i to czyni nas silnymi. Hybrydyczność jest naszą podstawową tożsamością. Tak polską, jak węgierską, tak czeską, jak ukraińską i tak dalej. Tysiąc i więcej lat „pomiedzy” – pomiędzy starą Europą a eurażyjckim stepem, tysiąc lat w rozstaju, w ciągłej transformacji. Cóż, być może to ta ciągła transformacja jest jedyną stałą, którą mamy. Być może to jest właśnie nasza wartość: że nie stoimy w miejscu, nie kładziemy się na laurach, że uczymy się przez cały czas od jednych, drugich i trzecich, że przez cały czas mamy dopływ świeżości do naszych żył. I jakoś nikt do tej pory nas nie zdominował i nie przekształcił w jakąś stałą, jednolitą, skostniałą, stwardniałą jak zasuszone gówno strukturę. Bo na tym polega nasza siła jako hybryd: koniec końców zawsze wybieramy to, co chcemy, i aplikujemy sobie, jak chcemy.

Hybrydy wygryają. Bo są elastyczne. Bo się uczą. Bo są mądrzejsze od „czystych” form. Zakładając, że „czyste formy” w ogóle istnieją gdzieś indziej niż w chorych umysłach. ●

Ziemowit Szczerek

POWSTANIE NIE BYŁO BŁĘDEM

Polska padła ofiarą ignorancji i małoduszności zachodnich aliantów

Z PROF. **NORMANEM DAVIESEM***
ROZMAWIA **MACIEJ STASIŃSKI**

Wojna w Ukrainie zmienia spojrzenie na powstanie warszawskie? Na przykład w tym sensie, że – zdawałoby się – beznadziejny opór jednak ma sens?

– Nie myślałem o tym dotąd w taki sposób, a to ciekawe zagadnienie. Owszem, wojna Putina budzi różne skojarzenia, np. z inwazją carskiej armii na Galicję Wschodnią w 1914 roku, gdzie Rosjanie dopuścili się strasznych zbrodni głównie na Żydach i Ukraińcach grekokatolikach. Albo z najazdem Armii Czerwonej na wschodnią Polskę w 1939 roku, gdzie bolszewicy również popełnili mnóstwo zbrodni – zabójstw, gwałtów, grabieży, masowych deportacji.

Można też porównać los Warszawy w 1944 roku z losem Mariupola. Oblężenie tego miasta trwało przecież aż trzy miesiące. Broniło się doskonale – jak powstańcza Warszawa. I Putin, gdy nie mógł zwyciężyć obrońców w walce, rozkazał zniszczyć miasto blok po bloku, razem z mieszkańcami. Tak samo postępowało SS w Warszawie: wytępić ludność i zrównać miasto z ziemią. Różnica polega na tym, że z Mariupola większość mieszkańców uciekła na początku wojny.

W Donbasie również widać, że Rosja nie daje sobie rady z armią ukraińską, więc chce zniszczyć cały region do gruntu. Zamieni go w pustynię i ogłosi zwycięstwo.

Ale są i zasadnicze różnice. Armia Krajowa była w 1944 roku partnerem wielkiej koalicji aliantów, chociaż mało znaczącym. Jej komendanci – generałowie Stefan Grot-Rowecki i Tadeusz Bór-Komorowski – nie decydowali sami, lecz podlegali rządowi w Londynie, a ci z kolei podlegali decyzjom aliantów. I to oni zdecydowali o powstaniu, choć nie o tym, kiedy miało ono wybuchnąć.

AK była małą armią podziemną, liczącą w całym kraju około 300 tysięcy niezbyt dobrze uzbrojonych żołnierzy. Sami nie mieli szans. Wiem, że to zabrzmiało dziwacznie, ale uważam, że powstanie warszawskie było w pewnej mierze sukcesem.

W założeniach dowódców w Londynie AK-owcy mieli wytrwać tylko około tygodnia, do czasu jak pospieszą Warszawie z pomocą Sowietów, którzy byli tuż-tuż. Tymczasem wytrwali aż 63 dni. Z punktu widzenia bojowego spisali się więc doskonale.

Ale wszystko inne zawiodło. Sojusz przeciw Trzeciej Rzeszy z aliantami i równocześnie z ZSRR okazał się dysfunkcyjny. Nie było wiarygodnej orientacji i informacji na Zachodzie o sytuacji na froncie wschodnim oraz potęgę Sowietów. Amerykanie i Brytyjczycy nie rozumieli, dlaczego AK nie współpracuje z Sowietami. Ulegali stalinowskiej propagandzie, że Polacy są antysowieccy, nie rozumieli, że Stalin był wrogiem wolnej Polski, a nie tylko przeciwnikiem rządu polskiego w Londynie. I to jest klucz do losów powstania.

Ukraińcy są dziś izolowani, walczą sami. Ale ich armia to około miliona żołnierzy, a nie kilka tysięcy akowców, i są coraz lepiej uzbrojeni przez Zachód. Walczą samodzielnie.

Czy decyzja o wybuchu powstania nie była błędna, pochopna i oparta na fałszywym rozeznananiu?

– Często tak się mówi, ale wszystko to wiemy dzisiaj lub dowiedzieliśmy się tego później. Z punktu widzenia wojennej strategii aliantów kluczowym momentem była wizyta w Moskwie premiera Stanisława Mikołajczyka w końcu lipca 1944 r. Polecał tam z zachętą i poparciem Roosevelta i Churchilla. Miał się spotkać ze Stalinem i rozmawiać o granicach oraz przyszłości Polski. Oczekiwał, że na spotkanie z dyktatorem pójdzie w towarzystwie ambasadorów Wielkiej Brytanii i USA, że razem przedstawią polski punkt widzenia. Ale ambasadorowie alianccy zażądali od Mikołajczyka, by uznał Katyń za zbrodnię niemiecką, a on oczywiście odmówił. Podczas kluczowych dni polski premier musiał poczekać najpierw na samotną audiencję u Stalina i potem na rozmowy z polskimi komunistami Bolesławem Bierutem i Wandą Wasilewską. Stalin obiecał pomoc. Bierut bezczelnie zażądał dymisji premiera. Strona sowiecka uważała powstanie za „nielegalne”. Mikołajczyk był bezradny.

Wtedy Stalin ostatecznie uznał, że alianci zachodni zostawili mu na wschodzie, w tym w Polsce, wolną rękę. Sowietci byli potęgą militarną, mieli mnóstwo żołnierzy, ale logistycznie zależeli od ogromnych amerykańskich dostaw – ekwipunku, materiałów, amunicji, ciężarówek. Gdyby Stany Zjednoczone okazały silne poparcie dla misji i stanowiska Mikołajczyka, Stalin musiałby się zastanowić. Całe równanie polityczno-strategiczne wyglądałoby inaczej. Polska padła wtedy po prostu ofiarą ignorancji i małoduszności zachodnich aliantów.

Do walki namawiali zachodni sojusznicy. Roosevelt mówił premierowi Mikołajczykowi, że Polacy nie mogą biernie czekać

A nie było tak, że wybuch powstania wymogli dążący do walki gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” ze sztabu Komendy Głównej oraz dowódca okręgu warszawskiego, gen. Antoni Chruściel „Monter” na podstawie fałszywych danych o niemieckiej Grupie Armii „Środek”, gotowej już wówczas do kontrofensywy przeciw Sowietom? Inny oficer KG, płk Kazimierz Iranek-Osmecki, radził czekać.

– Tak się mówi, ale nie jestem przekonany. Niemcy nie potrafili stłumić powstania podczas operacji Grupy Armii „Środek”. Poza tym informacje o sytuacji na froncie wschodnim były skąpe i niedokładne. Także Zachód nie zdawał sobie sprawy z tempa sowieckiego natarcia podczas operacji „Bagration”, która rozpoczęła się 22 czerwca. Dowódca I Frontu Białoruskiego gen. Konstanty Rokossowski do lipca zniszczył na wschodzie więcej niemieckich dywizji niż Trzecia Rzesza miała ich na Zachodzie, gdzie alianci, po lądowaniu w Normandii, posuwali się o wiele wolniej. Jeszcze w czerwcu i lipcu Stalin mógłby się obawiać, że Amerykanie i Brytyjczycy łatwo przejdą przez Francję do Niemiec, ale tak się nie stało.



Nie zdawano sobie sprawy także z tego, że kiedy Armia Czerwona dotarła do Otwocka i Wołomina, a było już po wizycie Mikołajczyka, Stalin uznał, że może mieć zachodnich aliantów w nosie. Zrozumiał, że ma pół roku na opanowanie Bałkanów oraz całej Europy Wschodniej. I to wtedy zdecydował, nie wcześniej, że nie pójdzie przez Warszawę na Berlin, tylko poczeka. Te wydarzenia zbiegły się z powstaniem i przesądziły o jego losie.

Sowieci w ogóle wtedy nie planowali zdobycia stolicy Polski?

– Początkowo chcieli i zamierzali. 8 sierpnia zastępca wodza naczelnego gen. Geоргий Żukow oraz Rokossowski przedstawili w Moskwie wspólny plan zdobycia Warszawy. Ale stawka [naczelne dowództwo] i Stalin nie akceptowali go. Wojska przez kilka miesięcy miały stać i patrzeć na rujnowaną przez Niemców Warszawę. Ostateczną decyzję o zatrzymaniu się na Wiśle i skierowaniu inwazji na Rumunię Stalin podjął 15 sierpnia. Rokossowski przeżył szok. Opisał to we wspomnieniach. Miał siostrę w Warszawie i z komina fabryki, gdzie stacjonował, widział dymy i eksplozje nad Warszawą. Jego siostra była o kilkanaście kilometrów.

Stalin nie zamierzał więc pomagać powstańcom, a kiedy gen. Zygmunt Berling, dowódca I. Armii Wojska Polskiego, spróbował pójść im z odsieczą, skończyło się katastrofą – w przeprawie przez Wisłę zginęło kilka tysięcy żołnierzy.

Gen. Bór-Komorowski miał swobodę wyboru momentu, kiedy wybuchnie powstanie, ale nie tego, czy ma wybuchnąć. O tym decydował rząd w Londynie, który do rozpoczęcia walki namawiali zachodni alianci. Roosevelt mówił Mikołajczykowi, że Polacy nie mogą biernie czekać, że muszą mieć udział w walce.

Niestety, Brytyjczycy i dowództwo podziemia nie mieli rozeznania sytuacji wokół Warszawy. Nie



Kiedy Stalin podjął decyzję o zatrzymaniu się na Wiśle, Rokossowski przeżył szok. Miał siostrę w Warszawie. Z drugiego brzegu obserwował dymy i eksplozje nad miastem

umieli ocenić siły armii gen. Modela. I nie wiedzieli, że Niemcy dzięki decyzji Stalina będą mieli swobodę tłumienia powstania. Natomiast wszyscy byli świadomi, że w Warszawie może powtórzyć się sytuacja z białoruskiego Mińska, który stał się regularnym polem bitwy, co skończyło się fatalnie, bo zginęło 40 tysięcy cywilów.

Z sowieckiego punktu widzenia znaczenie miała chyba również polityka? W lipcu Stalin miał już swój lipny polski rząd, czyli PKWN.

– Zainstalował go w Lublinie, bo spodziewał się powstania, a komuniści chcieli być władzą w Polsce już w momencie jego wybuchu. Ale przez decyzję Stalina o wstrzymaniu ofensywy musieli w Lublinie siedzieć aż do stycznia 1945 r.

Alianci całkowicie mylili się w ocenie Stalina. Na Zachodzie uważany był za bohatera, za solidnego sojusznika. Tymczasem gdy alianccy piloci startujący z Brindisi we Włoszech lecieli do Polski nad Bałkanami i nadlatywali nad Warszawę od wschodu, Stalin nie pozwolił im lądować na opanowanych terenach. Churchill był zaskoczony i oburzony. Niektóre samoloty zostały ostrzelane, dlatego alianccy lotnicy woleli wracać do Brindisi nad terytorium Austrii i Trzeciej Rzeszy mimo wielkiego ryzyka.

Rozkaz Bora-Komorowskiego o rozpoczęciu powstania rzeczywiście był ryzykowny, ale nie był aż takim strasznym błędem. AK potrafiła walczyć dalej, i to bardzo długo. Poważniejsze problemy pojawiły się po jego wybuchu, ale nie przez błędy AK, ale raczej przez kontekst strategiczny. Gdyby sojusz przeciw Trzeciej Rzeszy działał sprawnie i Mikołajczyk miał w Moskwie za sobą aliantów, powstanie potoczyłoby się inaczej. Politycy na Zachodzie długo myśleli, że to Polacy sprawiają kłopoty, a nie Stalin.

Formułowanie wniosków na podstawie informacji, których nie miało dowództwo AK, polscy polity-

cy na Zachodzie, prowadzi do błędnych ocen. Powinniśmy okazać im więcej empatii, zrozumieć straszne położenie, w jakim się znaleźli. Powstanie ma wymiar greckiej tragedii, która musiała się wydarzyć.

Ale może trzeba było je skończyć wcześniej, kiedy okazało się, że jest skazane na zagładę, i oszczędzić hekatombę 150 tysięcy ludzi?

– Można tak mówić, i mało się o tym dziś dyskutuje. Ale raz rozpoczęte powstanie trudno przerwać. Decyzja Stalina o zostawieniu Warszawy zapadła 15 sierpnia, ale on przecież nie zadzwonił do powstańców. Nie było komunikacji między AK i Sowietami, choć jak później się okazało, pod Wisłą leżał kabel telefoniczny, niezniszczony. Dowództwo powstania wiele razy próbowało nawiązać kontakt, ale bezskutecznie. Sztab Rokossowskiego miał siedzibę kilka kilometrów na wschód od Warszawy, a Polacy musieli porozumiewać się z nim przez Londyn – drogą radiową do rządu, tam kurier jechał do ambasady sowieckiej, ona depeszowała do Moskwy, a Moskwa na front pod Warszawą.

Skutki decyzji Stalina stały się mniej więcej widoczne na początku września i wtedy AK zaczęła wstępne rokowania z Niemcami. Musiała wynegocjować zawieszenie broni i status kombatantów dla powstańców, żeby byli traktowani jak jeńcy wojenni. Jeszcze w sierpniu i wrześniu Niemcy uważali ich za zwykłych bandytów, jeńców nie brali, lecz zabijali. Odbyły się dwie czy trzy rundy rokowań i dopiero na początku października zgodzili się przyznać powstańcom status kombatantów. W przypadku SS był to niechętny wyjątek, nigdzie indziej do tego nie doszło. Można nawet uważać to za pewien sukces Polaków odniesiony obok ogólnej klęski: AK-owcy wymaszerowali do obozów Wehrmachtu, a nie na miejscę egzekucji.



***Prof. Norman Davies**

• ur. w 1939 r., wybitny historyk brytyjski i polski. Specjalizuje się w dziejach Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej, autor wielu książek, m.in. „Boże igrzysko. Historia Polski”, „Europa. Rozprawa historyka z historią”, „Orzeł biały, czerwona gwiazda”, „Powstanie '44”. Kawaler Orderu Orła Białego

Powstanie trwało, choć zaczęła się od niego odwracać ludność cywilna. Meldunki mówiły o sprzeciwie mieszkańców, a nawet nienawiści do powstańców.

– Joanna Hanson, moja była doktorantka, napisała świetną książkę o losach ludności cywilnej w powstaniu [„Nadludzkiej poddani próbie. Ludność cywilna Warszawy w powstaniu 1944 r.”, Czytelnik, 1989], w której potwierdza, że rzeczywiście tak było. Ale jeszcze raz powtórzę: przerwać powstanie od razu było prawie niemożliwe. A ludność cywilna, która z natury rzeczy nie miała wpływu na decyzje wojskowe, była podzielona. Od początku chyba znaczna część nie chciała uczestniczyć w powstaniu i w miarę jego trwania takich ludzi przybywało. Ale inni byli za i próbowali się przystosować do sytuacji. Badań opinii publicznej wówczas nie było.

Jak wypada porównanie z innymi powstaniami w czasie wojny, np. w Paryżu czy Pradze?

– W Paryżu niemiecki komendant gen. Dietrich von Choltitz dzielnie odmówił zniszczenia miasta, czego domagał się Hitler. Powstanie było popierane przez wojsko amerykańskie i gen. Philippe Leclerc, podwładny Amerykanów, wkroczył do miasta ze wsparciem gen. Dwighta Eisenhowera, był więc w zupełnie innej sytuacji niż Berling. Sojusz antyniemiecki działał tu jak należy. Paryż został szybko wyzwolony i nie został zniszczony. O inny los Warszawy nie możemy obwiniać AK.

Praga to inny przypadek. Powstanie wybuchło bardzo późno, na początku maja 1945 r. Kluczowe było przejście rosyjskiej armii RONA gen. Andrieja Własowa walczącej po stronie Niemiec na stronę aliantów. Niemcy zostali usunięci z miasta i poddali się Amerykanom, a miasto zajęli Sowieci. Strategiczna sytuacja była całkiem inna. ●

GODZINA W MUSIAŁA WYBIĆ

Dowództwo AK nie kierowało się racjonalnymi przesłankami wojskowymi, tylko politycznymi

Wiedzieli, że są słabi



Prof. **Andrzej Leon Sowa** – historyk z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, autor monumentalnej monografii o powstaniu „Kto wydał wyrok na miasto?”

Tadeusz Sawicki, wybitny historyk, za wybuch powstania i zagładę Warszawy winił Moskwę i Berlin. Armię Krajową, której był żołnierzem, pokazywał w taki sposób, jakby to nie ona sprowokowała walkę w Warszawie. Z dokumentów, które analizowałem, wynika coś innego – uważam, że to AK należy wymienić na pierwszym miejscu. Jej dowództwo podjęło autonomiczną decyzję o podjęciu walki. Nikt mu jej nie narzucił. A jak się podejmuje decyzję, trzeba wziąć za nią odpowiedzialność. Nie można zainicjować bitwy, a potem mówić, że za jej skutki winę ponosi przeciwnik, który nas pokonał. Plan teoretycznie był precyzyjny i logiczny: wzniecić powstanie w momencie zajmowania miasta przez Armię Czerwoną i bezładnej ucieczki rozbitych Niemców, by Sowietów w stolicy powitała polska administracja. Żeby go zrealizować, Komenda Główna musiałaby mieć precyzyjną wiedzę o tym, co się dzieje na froncie. Przede wszystkim jakie działania podejmuje Armia Czerwona, a także jakimi siłami dysponują Niemcy na przedpolu Warszawy i w niej samej. Nie mieli o tym pojęcia. KG czerpała wiedzę i podejmowała decyzję niemal wyłącznie na podstawie komunikatów radiowych z oficjalnych szczekaczek Oberkommando der Wehrmacht oraz tzw. stawki, czyli dowództwa Armii Czerwonej. Diagnoza sytuacji frontowej to było wróżenie z fusów, nic więcej.

Poza tym nawet gdyby Sowietzi przełamali obronę niemiecką i zajęli Pragę, to w ich rękach wcale nie znalazłaby się cała Warszawa. Miasto dzieliła rzeka. W krytycznym momencie Niemcy wysadziliby mosty na Wiśle, bo uchwycenie ich przez AK, jak pokazały pierwsze dni powstania, było iluzją i ofensywa na drugi brzeg tak łatwo by nie przeszła. Dowództwo AK z pewnością w ten sposób sytuacji nie analizowało, bo decydując się na ogłoszenie Godziny W, nie kierowało się racjonalnymi przesłankami wojskowymi, tylko politycznymi. Powstanie miało wybuchnąć na tyle wcześnie, żeby poinformować o nim Zachód, który miał naciskać na Stalina, by pomógł.

Tragiczny, wręcz nierozwiązywalny dyalekt [„Bić się czy nie bić?”] uważam za fałszywy. Oficerowie KG nie powinni zastanawiać się, czy się bić, bo bić się należało. Trzeba było jednak odpowiedzieć sobie na pytanie: jak się bić? Sytuacja z lipca 1944 r. ukazana jest często tak, jakby nie było możliwości innego działania niż bezpośrednie, nieomal frontalne uderzenie na lepiej uzbrojonego wroga. Uważam, że to również nieprawda. Komenda Główna AK doskonale wiedziała, jakimi dysponuje środkami. W dokumentach z początku lipca 1944 r. jest mowa jedynie o działaniach partyzanckich na niezbyt dużą skalę, a nie o powstaniu. ●

Fragmenty rozmowy „Milion zakładników powstania”, „Magazyn Gazety Wyborczej”, 30 lipca 2016 r.

250 lat niepokory



Prof. **Tomasz Nałęcz** – historyk i polityk, wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Wobronie sensu powstania warszawskiego nie chodzi tylko o ocenę tego konkretnego wydarzenia. Idzie o uniwersalny, hamletowski dylemat: być albo nie być, oznaczający konieczność strategicznego wyboru pomiędzy postawami bierną a czynną, czyli w przypadku polskiej historii ostatnich 250 lat o odpowiedź na pytanie: bić się czy nie bić o straconą wolność i suwerenność.

Historycy są dzisiaj całkowicie zgodni, że z dwu polskich postaw możliwych w warunkach zniewolenia: ochrony i wzmacniania substancji narodowej, zwanej często pracą organiczną, oraz czynnej walki z ciemnicą, obydwie drogi miały głęboki sens. Co więcej, wzajemnie się dopełniały. Praca organiczna pozwalała narodowi żyć i rozwijać się w najbardziej nawet opresyjnych warunkach. Zaś konspiracje i insurekcyjne zrywy, choć w przytłaczającej części przegrane, sprawiły, że strategia przetrwania nie zwyrodniała w skarlale moszczenie się w warunkach niewoli i wyrzeczenie się idei własnego państwa.

Tradycja insurekcyjna podtrzymywała etos niepokorności i oporu, oddziałując na wszystkie dziedziny życia. Sprawiała, że społeczeństwo, bardzo szybko przeobrażające się w XIX w., nie straciło z pola widzenia odbudowy własnego państwa. Dość powiedzieć, że to właśnie temu etosowi polski ruch robotniczy zawdzięczał swój wyjątkowy kształt w Europie. Bez powstańczego dziedzictwa nie byłoby nad Wisłą niepodległościowego socjalizmu łączącego walkę o sprawiedliwość społeczną z imperatywem obudowania własnego państwa.

Także dzisiaj, bez liczącej 250 lat tradycji insurekcyjnej, byłibyśmy społeczeństwem mniej ceniącym sobie wolność i łatwiej godzącym się na jej ograniczanie. ●

Fragment felietonu „Bić się czy nie bić, czyli być albo nie być”, „Ale Historia”, 4 września 2021 r.

Tylko pomogli komunistom



Prof. **Jan M. Ciechanowski** (1930–2016) – historyk, powstaniec ps. „Jastrząb”, dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Po wojnie został w Wielkiej Brytanii

Wojskowe przesłanki decyzji o rozpoczęciu powstania opierały się na przekonaniu, że Niemcy ponieśli już decy-

dującą klęskę na froncie wschodnim i że Armia Czerwona ma wkrótce wkroczyć do Warszawy. Gen. Bór-Komorowski i [Stanisław] Jankowski [delegat rządu na kraj] wydali ostateczny rozkaz rozpoczęcia walki, gdy błędnie im doniesiono, że czołgi radzieckie wkraczają na Pragę. Wnosili stąd, że nadchodzi kulminacyjny moment radziecko-niemieckiej bitwy o Warszawę i powstała niepowtarzalna okazja miasta krótko przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Radzieckie apele radiowe wzywające ludność Warszawy do powstania przeciwko Niemcom utwierdziły ich w przekonaniu, że Rosjanie niebawem znajdą się w stolicy. Biorąc pod uwagę przekonania, postawę i przewidywania autorów powstania można stwierdzić, że z punktu widzenia moralnego i psychicznego łatwiej im było wydać rozkaz walki, niż się od tego powstrzymać. W ich przekonaniu bezczynność groziła opuszczeniem przywódców przez szerokie masy społeczeństwa, co równałoby się politycznemu samobójstwu. Niemniej jednak Bór-Komorowski i Jankowski, decydując się na działanie bez uzgodnienia swych planów z naczelnym dowództwem radzieckim, w zasadniczy sposób przyczynili się do tragedii, jaka spotkała stolicę i jej mieszkańców. Nie rozumieli, że w drugiej połowie 1944 r. bardzo źle uzbrojona AK nie mogła sobie pozwolić jednocześnie na prowadzenie walki zbrojnej i stawianie politycznego oporu Rosjanom i komunistom.

W istocie powstanie odniosło odwrotny skutek, niż zamierzano; zamiast uniemożliwić, pomogło komunistom w przejściu władzy w Polsce. ●

Fragment pracy „Powstanie Warszawskie: zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego” (1971)

Powstanie wybuchło ze strachu



Sebastian Pawlina – historyk powstania i konspiracji, autor książek „Praca w dywersji. Codziennosc żołnierzy Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej” (Nagroda Historyczna „Polityki”), „Wojna w kanałach”, „Motyl. Ścibor-Rylski, opowieść o generale”

W przypadku powstania trudno mi się oderwać od narracji romantycznej. Dla mnie ma ona niesamowitą siłę przyciągania. Wizja dziewcząt i chłopców idących na barykady mocno na mnie działa, choć wiem, jak to się skończyło. To są dwa porządki, z jednej strony euforia, bo idą wyzwalać Warszawę, o czym przecież marzyli, ale z drugiej – tragedia, bo raczej zdają sobie sprawę, że idą na śmierć.

Opowiadając o powstaniu, trudno odzielić od siebie te dwa wątki. Romantyzm w nim jest i zawsze będzie, bo nie da się go wymazać. Ale nie da się usunąć także opowieści o bezsensie i śmierci. Dla mnie te obie narracje są uprawnione i potrzebne, bo tylko razem składają się na poplątany obraz powstania.

A czy do powstania mogło nie dojść? Według mnie musiało wybuchnąć. Nie dlatego, że było potrzebne, ale ponieważ ciąg wydarzeń rozpoczęty 1 września 1939 r. nie

pozostawiał innego wyboru. Dowództwo podziemia przez prawie pięć lat budowało napięcie wśród konspiratorów. Przekonywało, że sensem ich istnienia jest właśnie przyszła walka. I kiedy latem 1944 r. Niemcy zaczęli się wycofywać, to moim zdaniem nie mogli, czy może raczej nie potrafili, podjąć innej decyzji. Gdyby nie wydali rozkazu do walki, straciliby legitymację, żeby dalej prowadzić jakąkolwiek działalność. Nie mieliby moralnego prawa, żeby tymi ludźmi nadal dowodzić. Jeśli tak na to spojrzeć, to okazuje się, że powstanie wybuchło ze strachu, że pięć lat przygotowań i cierpienie pójdzie na marne. ●

Fragment niepublikowanej rozmowy z Miroslawem Maciorowskim do przygotowywanej książki o polskich powstańcach

Odwołajmy się do arytmetyki



Tomasz Łubieński – pisarz, historyk, esejista, autor głośnego eseju „Bić się czy nie bić” (1976) i zbioru esejów o powstaniu „Ani tryumf, ani zgon” (2004), z którego pochodzą poniższe fragmenty

Polska propaganda przedpowstańcza i powstańcza uwzględniała (w znacznym stopniu nawiązując do czarnej legendy stycznia) fatalistyczno-demoniczną wizję historii, pole chwały usiane poległymi, a przegraną jako rzecz zupełnie zrozumiałą, której wstydy się właściwie nie należy. I z takiej gotowej do żaloby, płacziwej wobec świata, rozmówianej w sobie polskiej tradycji skorzystali przywódcy Powstania. Tradycji, która właściwie nie rozlicza popełnionych błędów, niepowodzenie łatwo usprawiedliwi obcą złą i przemocą, potrafi wrzucić się brakiem szczęścia w wojnie czy w polityce, a w klęsce chętnie dopatrywać się dowodu moralnej przewagi nad wrogiem. ●●●

Pytamy więc bohaterów, którzy przeżyli; jeśli trwają w zadowalającej formie fizycznej i moralnej, mają wszelkie powody do dumy. Tak, ale za samych siebie, bo za innych, tzn. w imieniu innych, polamanych i wystraszonych, nie powinni zabierać głosu. Może nie powinni, ale lubią powoływać się na zbiorowy wielki czyn. Lecz jeśli już wśród emocji wolno odwołać się do arytmetyki, tysiąc poległych pod Monte Cassino (mniej niż berlingowców na przyczółku czerniakowskim), owych „tyśiąć walecznych” kompletnie umundurowanych i z bronią w rękę stokrotnie lepiej się „opłaciło”, skuteczniej pokrzepiło serca niż 200 tysięcy ofiar Powstania. Ta liczba jest zbyt ogromna na gest, symbol, legendę. Nie nadają się do legendy dziewczęta gwałcone na zieleniaku, chłopcy wystrzelani na placu Narutowicza, ranni wymordowani po szpitalach, dzieci, kobiety i starcy zabici tylko dlatego, że nie potrafili w porę skryć się przed bombami albo udało im się dostać do piwnicy, ale tam zostali żywcem pogrzebani albo rozszarpani granatami, które wróg wrzucał przez piwniczne okienka. ●

CZUŁE SŁÓWKA

Szynka

Wyobrażam sobie, jak widząc w sklepie „Szynkę jak za Gierka”, uśmiecha się z rozrzewnieniem i kupuje kilka plasterków sobie – i kotu – na kolację.

Michał Rusinek*



Nie śledzę przemysłu wędliniarskiego, nie jestem koneserem jego produktów, fascynują mnie jednak walory językowe ich nazw. Oprócz podszytej niezamierzoną makabrą „Szynki z Łysych”, „Karczku szwagra”, „Flaczków babuni” czy „Parówcezek dziecięcych” do tej pory znaleźć można gdzieś na półkach „Szynkę jak za Gierka”. Produkowana jest ona przez firmę o patriotycznej nazwie Stół Polski.

Kilkanaście lat temu specjalista do spraw marketingu tej firmy tłumaczył wybór takiej nazwy: „Jak zazwyczaj bywa, pomysł wziął się z obserwacji rzeczywistości. Zauważyliśmy, że w publikowanych w mediach sondażach duża część społeczeństwa z nostalgią wspomina »gierkowską dekadę«. Postanowiliśmy zaryzykować, wykorzystać to i stąd wziął się pomysł na stworzenie serii »Wędliny jak za Gierka«. Okazuje się bowiem, że w ofercie firmy są także polędwica, baleron, kielbasa i serdelowa – wszystkie „jak za Gierka”. Rzeczony specjalista pochwalił się, że pomysł nazewniczy był „strzałem w dziesiątkę”, gdyż klienci odebrali go jako „grę na sentymentach”.

Sentymentach za czym właściwie? Wspomniana „gierkowska dekada” to czas pro-

sperity PRL-u. Owszem, nastąpiła wówczas gwałtowna industrializacja, której sztandarowym efektem była budowa Huty Katowice w Dąbrowie Górniczej, i owszem, poprawiała się zasobność portfeli Polaków. Z dzieciństwa pamiętam, że w sklepach po raz pierwszy pojawiły się banany. Być może też jakaś specjalna szynka, tego jednak nie pamiętam, bo i w dzieciństwie nie byłem miłośnikiem wędlin. Natomiast nie wykluczam, że gdyby jakaś firma zaczęła dziś sprzedawać „banany jak za Gierka” – odezwałyby się u mnie sentymentalna struna i pozwoliłaby mi wrócić na chwilę do magicznej krainy dzieciństwa.

Jednak wspomnienia z Gierkiem związane mam ambiwalentne. Pamiętam, że gierkowski pozorny dobrobyt trwał krótko. Był to bowiem dobrobyt na kredyt, a z kredytami tak już jest, że trzeba je spłacać: zagraniczni wierzyciele wkrótce zaczęli domagać się zwrotu pożyczek. Mgliście pamiętam zjawisko „nawisu inflacyjnego”, czyli efektu podnoszenia płac przy jednocześnie zamrożeniu cen i konieczności szybkiego wydawania pieniędzy z obawy przed deprecjacją oszczędności. Efektem były puste półki, konieczność podnoszenia cen, załamanie gospodarki i koszarne kolejki. A potem masowe strajki, które doprowadziły do odsunięcia Edwarda Gierka od władzy. I wprowadzenie kartek na żywność, której notorycznie brakowało. Zaczęło się – a jakże – od cukru, potem zaczęto reglamentować mięso, masło, olej, następnie środki do prania, słodycze, papierosy, alkohol, a także benzynę. O bananach nie było już co marzyć, nawet na kartki.

Epoka Gierka przypomniła mi się niespodziewanie dzisiaj, kiedy usiłowałem kupić cukier w moim osiedlowym sklepiku. Był, ale reglamentowany. Może nie na kartki, ale można było kupić tylko 3 kilogramy na osobę. Nie mogę powiedzieć, że ta reglamentacja jest grą na moich sentymentach. Raczej na resentymentach.

Wiele wskazuje na to, że „Szynka jak za Gierka” potrafiłaby za to zagrać na sentymentach Jarosława Kaczyńskiego: wyobrażam sobie, jak widząc ją sklepie, uśmiecha się z rozrzewnieniem i kupu-

je kilka plasterków sobie – i kotu – na kolację. Andrzej Saramonowicz znalazł bowiem niedawno wypowiedź Kaczyńskiego z 2010 roku, która świadczy o tym, że żywił on wówczas sentyment do Gierka. I nie można wykluczyć, że żywi nadal, gdyż wydaje się człowiekiem stosunkowo stałym w uczuciach. Kaczyński powiedział wówczas, że jako działacz opozycji był przeciwnikiem Gierka, ale cenił to, że Gierek „chciał siły Polski”, „miał ambicje mocarstwowe”, „był komunistycznym, ale jednak patriotą”, a „opozycję jakoś tam tolerował, a nie zamykał do więzienia”. Z tych wypowiedzi wynika, że ten pierwszy sekretarz PZPR jakoś imponuje Kaczyńskiemu. Obecna opozycja ma szczęście, że prezesowi PiS nie imponuje na przykład Stanisław Kociolek, nieprzypadkowo zwany „krwawym”.

Pocziwy Gierek był za to mistrzem propagandy sukcesu. Do niedawna wydawało nam się wprawdzie, że ten rodzaj propagandy ma wyłącznie charakter historyczny, ale w czasie prezentacji „Polskiego ładu” Mateusz Morawiecki udowodnił, że może być ona także wzorem do naśladowania – o czym już zresztą pisałem. Gierek wmawiał obywatelom państwa znajdującego się nad ekonomiczną przepaścią, że jest 10. potęgą gospodarczą. Kaczyński w 2010 roku skomentował ten desperacki propagandowy trik następująco: „Śmiało się często z tego 10. miejsca na świecie. A ja się z tego nie śmiałem. Ja wiedziałem, że to nieprawda, ale uważałem, że to zdrowa ambicja”.

To bardzo ważne zdanie. Kaczyński pokazuje nam bowiem, jak interpretować propagandę – także tę uprawianą przez jego własne ugrupowanie. Jeśli polityk mówi, jak jest, to nie znaczy, że tak jest, ale że chciałby, żeby tak było. Mamy zatem do czynienia z przesunięciem w obrębie trybów gramatycznych: zdania wypowiedziane w trybie asertorycznym (oznaczającym, że mówiący uważa jakieś np. zdarzenia za prawdziwe) trzeba rozumieć jako de facto wypowiedziane w trybie woluntalnym (w którym mówiący wyraża jakieś życzenie lub pragnienie). Kiedy więc Jarosław Kaczyński mówił niedawno w Grójcu, że Daniel Obajtek jest niezwykłym człowiekiem, który „dokonywał cudów” w gminie Pcim, bo „stworzył jedyny do tej po-

ry w Polsce sklep w stylu amerykańskim, gdzie można wjechać samochodem i prosto z samochodu kupować, brać z półek. W Stanach jest dużo takich sklepów, w Europie to nie jest specjalnie rozpowszechnione, a w Polsce jest do tej pory jedyny taki sklep” – to nie oznacza, że Obajtek go wybudował (bo nie wybudował), ale że Kaczyński by chciał, żeby go wybudował. Kiedy mówił, że Obajtek „zbudował potężną sieć dróg rowerowych” – to nie ma się co dziwić, że tej sieci nie ma. To znaczy jest w Pcimiu jedna droga rowerowa, licząca nieco ponad 4 kilometry, ale przecież wszyscy byśmy chcieli, żeby rozrosła się w „potężną sieć”. A już na pewno chcieliby tego pcimscy cykliści. Innymi słowy: nie posądzajmy polityków PiS o kłamstwa, tylko interpretujmy ich konstatacje dotyczące rzeczywistości jako „wishful thinking” à la Gierek.

Nie ma się też co dziwić, że język „dobrej zmiany” tak bardzo przypomina peerełowską nowomowę, bo politycy Zjednoczonej Prawicy żywią do tamtej epoki coraz otwarciej wyrażany sentyment. Komunistyczna Polska nie jest dla nich żadnym negatywnym punktem odniesienia czy wrogiem. Prawdziwym wrogiem są za to propagatorzy zachodniej demokracji i chimera o głowach lewactwa, LGBT i Tuska. Nawet instytucje powołane do życia w rzekomo znienawidzonym przez prawicę stanie wojennym wywołują w niektórych działaczach prawicy ciepłe uczucia. Ostatnio radny PiS z Działdowa powiedział do Mateusza Morawieckiego: „Jestem dumny, że mam takiego premiera. Była Wojtkowska Rada Ocalenia Narodowego, a teraz jest rząd ocalenia narodowego (...). W panu nadzieja!”.

Sugerowałbym więc firmie Polski Stół, by podtrzymała produkcję „Szynki jak za Gierka”. Sentyment PiS do czasów późniejszych może stanowić pokusę, by wprowadzić do sprzedaży „Szynkę jak za Jaruzelskiego”, ale radziłbym, by ze względu na prawdę historyczną zachowała ostrożność. Chyba że zamierza produkować ocet. ●

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista



Kocia Szajka w języku ukraińskim

AKCJA CHARYTATYWNA NA RZECZ DZIECI Z UKRAINY

Instytucje opiekujące się ukraińskimi rodzinami z dziećmi zapraszamy po bezpłatne egzemplarze książki.

Zgłoszenia: ksiazkidlaukrainy@agora.pl

 Wydawnictwo Agora

 Wydawnictwo Agora dla dzieci

PARTNER:



Kiedy ludzie pytają mnie, za kim jestem, mówię, że za sobą i moimi dziećmi. Czy to będzie Rosja, czy Ukraina, będziemy mieszkać w Mariupolu

Alexandr Ermochenko

20 maja ministerstwo obrony Federacji Rosyjskiej poinformowało o przejęciu terytorium kombinatu metalurgicznego Azowstal i całego miasta Mariupol. Do niewoli trafiło ponad 2 tys. osób broniących zakładu. Po tym wydarzeniu część mieszkańców, którzy opuścili Mariupol, zdecydowała się wrócić do zniszczonego miasta. Dziennikarze białoruskiego serwisu Zerkalo rozmawiali z nimi.

WODA ZNÓW PŁYNIE

56-letni Wadim nie opuścił Mariupola. Postanowił pozostać w mieście, nawet gdy w maju jego żona wyjechała z dziećmi. W jego domu w kranach ponownie płynie woda. W najmniej zniszczonych rejonach miasta powrócił prąd, jednak posiłki gotuje na ognisku przed blokiem. W całym mieście nie ma gazu.

– U nas, dzięki Bogu, jedynie wyleciały framugi, choć ogólnie rejon primorski bardzo ucierpiał. Tam, gdzie udało nam się naprawić szkody, doprowadzono wodę, w niektórych domach nadal jej nie ma.

28-letni Aleksandr opowiada, że obok jego domu trwa odbudowa przedszkola, a w pobliżu otwarto pocztę.

– W naszym domu jest woda, przy dobrym ciśnieniu sięga do czwartego piętra. Czasem musimy iść na pierwsze, gdzie hydrant przeciwpożarowy został przerebiony na kran. Na lewym brzegu sytuacja z wodą jest gorsza. Jest dowożona, ludzie muszą wstać o piątej rano, aby stanąć w kolejce. Zdarza się, że nie dowiozą.

W czasie walk mężczyzna był z mamą. Mieszkała z nimi także babcia, która zachorowała na obrzęk płuc. Nie było skąd wziąć lekarstw, dostać pomoc, babcia umarła.

– Przez pewien czas mieszkaliśmy stłoczeni w dwupokojowym mieszkaniu ze wszystkimi bliskimi, łącznie 16 osób. Spaliśmy na korytarzu, w kuchni, w przedsiionku. Dzięki Bogu przeżyliśmy. Wyjechać można nawet i teraz, ale mamy tu mieszkania, choć niektóre mają rozwalony dach. Wraz z rodzicami ciężko pracowaliśmy, oszczędzaliśmy, nie wyjeżdżaliśmy na wakacje, aby zrealizować marzenia. Wszystko legło w gruzach. Ludzie przychodzą do administrujących miastem i mówią: „Nasze mieszkanie się spaliło, gdzie mamy mieszkać, co mamy teraz zrobić?”.

Urzednicy proponują, by zajęli puste mieszkania, dopóki nie powstaną nowe. Można wyjechać, jednak nie będzie do czego wracać.

Obaj mieszkańcy Mariupola opowiadają, że przy wyjeździe z miasta stoją baraki administracji okupacyjnej, która ma zamiar budować domy dla tych, którzy je stracili podczas wojny.

– Budowniczcy i władze twierdzą, że powstaną 12 pięciopiętrowych domów. W planach jest także przychodnia, a może nawet park. Chodzą plotki, że będzie to jakiś obiekt wojskowy, ale wierzę, że zbudują tymczasowe mieszkania dla pogorzelców – mówi z przekonaniem Aleksandr. – Buduje się je praktycznie bez betonu, jest to głównie konstrukcja metalowa, więc budynek stawia się szybko. Robią to Kazachowie, którzy przyjechali do miasta.

Według Wadima po Mariupolu jeździ wiele samochodów z rosyjskimi tablicami. Nie ma problemu z dojazdem do miasta z Rosji i samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej, z terytorium Ukrainy dotrzeć jest trudniej. Autobusy kursują tu na ośmiu trasach, otwartych jest kilka stacji benzynowych. Pracownicy pomocy humanitarnej dostarczają do niektórych dzielnic kaszę, makarony, mielonkę, chleb. Po produkty ustawia się długa kolejka. Ale można już kupić jedzenie w sklepach lub na targu.

– Warzywa kosztują tyle samo co dawniej, inne produkty bardzo podrożały. Wszystko przez to, że kurs hrywny drastycznie spadł: wcześniej stosunek do rubla wynosił 1:2, obecnie 1:1,5. Czasem można dostać jajka, kielbasę, konserwy, choć rzadko. Dobre masło i ser też są drogie i trudno je znaleźć.

NIE CHCIELIŚMY TEGO „ROSYJSKIEGO POKOJU”

O tym, że sklepy są otwarte, mówi także 25-letni Roman. Twierdzi, że od przyszłego miesiąca pracownicy pomocy humanitarnej będą pomagać jedynie emerytom, rencistom, niepełnosprawnym i rodzinom wielodzietnym.

Mieszka w Mariupolu od kilku lat, najpierw studiował, później pracował. Widział, jak miasto się rozrasta, a potem jak się zawała. 13 marca wyjechał z dziewczyną i jej babcią na przedmieścia, 25 kilometrów od Mariupola. Co pewien czas wraca do miasta, aby zawieźć znajomym jedzenie czy zajrzeć do mieszkanki babci, aby uchronić je przed szabrownikami.

– Ludzie stąd próbują przetrwać, każdy podchodzi do tego inaczej: wielu mieszkańców wyjechało i rozpoczęło życie w innych miastach, krajach. Ci, którzy zostali, pogodzili się z sytuacją. Wracają także osoby, których domy aż tak bardzo nie ucierpiały.

Miałem mieszkanie, pracę, wszystko w moim życiu się układało. Mariupol bardzo mi się podobał – piękne ulice, centrum, parki, teatry, na lewym brzegu lodo-wisko. Było sporo rozrywek dla młodych ludzi, nie było problemu ze znalezieniem pracy, chociaż oczywiście niektórzy wyjeżdżali za pieniędzmi. W jednej chwili to wszystko się zawaliło. Nie sądzę, żeby w niedalekiej przyszłości Mariupol się rozwinął.



Mieszkanie, w którym Roman mieszkał ze swoją dziewczyną, spłonęło, na budynku widnieje informacja: do rozbioru.

– Postanowili zniszczyć takie budynki. W niektórych mogą być miny, dlatego nie wiem nawet, czy ze wszystkich udało im się wynieść ciała zmarłych. Zdarzało się, że ludzie wylatywali w powietrze podczas sprzątania ruin. Nie posprzątano ich jeszcze w całym mieście, ale w większości miejsc już zniknęły. Ludzie sami dbają o swoje podwórka, służby pomagają usunąć gruz.

Gruzem zajmuje się ministerstwo spraw nadzwyczajnych. Sprzątanie miasta to teraz jedna z głównych prac, do których zatrudnia się mężczyzn. Jednym z nich jest Wadim.

– Trzeba się z czegoś utrzymać. Pomagają także wolontariusze, którzy w zamian za pracę każdego dnia otrzymują racje żywnościowe. Samymi zawalonymi budynkami zajmuje się ministerstwo sytuacji nadzwyczajnych, a my sprzątam wokół nich. Myślę, że wyciągnięto już wszystkie ciała spod gruzów, inaczej zaczęły-

by śmierdzieć, bo minęło już sporo czasu. Są jeszcze mogiły, które nie zostały przeniesione z podwojek.

Wadim nie dostał jeszcze wypłaty, czeka na początek miesiąca. Sąsiad Aleksandra od dwóch miesięcy pracuje w takiej brygadzie.

Jak mówi, na pensję musiał poczekać, ale w końcu ją otrzymał. Wynosiła 32 tysiące rosyjskich rubli (to około 1420 białoruskich rubli, około 2600 zł). Z tego, co wiem, nie wszyscy otrzymują wynagrodzenie od razu. Do tego jest to praca tymczasowa, gruzy w pewnym momencie się skończą.

Żeby o tym wszystkim opowiedzieć, Aleksandr musi się udać do innej części budynku, natomiast Wadim do innej części miasta: internet w Mariupolu wciąż nie działa zbyt sprawnie. W mieście nie ma już zasięgu ukraińskich sieci telefonicznych, mieszkańcy kupują karty SIM operatora Fieniks, który działa na terytorium samozwańczej DRL.

– Trzeba odstać po nie w kolejce – wyjaśnia Wadim. – Nie dociera do nas zbyt wiele informacji, nie ma telewizji. W niektórych miejscach stoją ekrany, żeby można było obejrzeć wiadomości. Są też gazety, zapewniają je administracja i szkoła. Nie ma tam specjalnie wielu informacji, piszą głównie

Ci na górze podjęli za nas wszystkie decyzje.

Po prostu dostosowujemy się do nowej rzeczywistości, chcemy spokojnie żyć



FOT. AFP/EAST NEWS

FOT. ALEXEI ALEXANDROV/AP

o odbudowie miasta, pułku Azow, Doniecku, że go codziennie ostrzeliwują.

– Nie piszą o ostrzeliwaniu Charkowa, Mikołajowa, Kijowa?

– Nie, nie widziałem takich informacji, ale nie czytam zbyt często gazet, więc może mi coś umknęło. Znajomi opowiadali, że 9 maja na placu Wolności, pod teatrem dramatycznym, odbyły się koncerty, a do filharmonii przyjechali artyści z DRL. Jedni przychodzą posłuchać, aby ubarwić szarą rzeczywistość, u innych takie wydarzenia po wszystkim, co się stało, wywołują niesmak.

W mniej lub bardziej odbudowanych szkołach dzieci powróciły do nauki, aby nadrobić stracony czas. Jak mówi nasz rozmówca, nauczyciele są wysyłani na przekwalifikowanie do Rosji.

W niektórych miejscach Mariupola wciąż stoją wojskowi, a przy wyjazdach znajdują się punkty kontrolne. Nie ma już ostrzałów, ale z rozminowywanych miejsc wciąż słychać wybuchy.

Wadim: – Mam zszargane nerwy. Najgorzej było w połowie kwietnia, kiedy samoloty zrzucały bomby. Trudno się patrzy na zniszczone budynki, jednak nie zwraca się już na to aż tak dużej

uwagi. Chyba już się odzwyczailiśmy od normalnego życia. Boimy się każdego głośniego dźwięku, boimy się, że sytuacja się powtórzy. Rząd Ukrainy ogłosił, że odzyska miasto, choć oczywiście nikt nie chce przez to jeszcze raz przechodzić. Kiedy wiesz, jak to wygląda, takie obawy stają się jeszcze straszniejsze. Jeśli nie wróci gaz, to prawdopodobnie na zimę trzeba będzie gdzieś wyjechać. Obiecują, że wróci, zobaczymy. Na razie ludzie czekają, aż nastanie porządek. Nie chodzi im o to, że chcą mieszkać w Rosji, chcą po prostu żyć.

– Nie chcieliśmy tego „rosyjskiego pokoju”, nie chciałem, żeby ktoś przyszedł i wszystko rozwalil — przedtem miasto się rozwijało, tętniło życiem. A teraz ludzie jeszcze wciąż śpią w piwnicy, gotują nad ogniem. Niektórzy zajęli puste apteki i sklepy i tam mieszkają — kontynuuje Aleksandr. – Co mamy teraz robić? Ci na górze podjęli za nas wszystkie decyzje. Po prostu dostosowujemy się do nowej rzeczywistości, chcemy spokojnie żyć, pracować, wychowywać dzieci. Rosja nie pozostawia nam wyboru, musimy być po jej stronie. Jeśli ponownie będzie tu Ukraina, niech zdecydują o tym za pomocą dyplomatycznych środków,

a nie pocisków. Jeśli znowu wybuchnie wojna, to albo stąd wyjdziemy, albo zginiemy, nie ma innej możliwości.

ŁUDZIE CHODZĄ NA PLAŻĘ, TAŃCZĄ

Miejscowość, w której mieszka Jekatierina, dzieli 10 minut jazdy od Mariupola. Nie została tak bardzo zniszczona, większość domów ocalała. Przez długi czas nie było prądu, gazu, zasięgu, sklepy stały puste. – Zostały spłądrowane przez miejscowych — mówi Jekatierina.

– Gdy wkroczyły tu wojska rosyjskie, zostały ostrzelane przez Siły Zbrojne Ukrainy, zbombardowano szkołę i znajdujące się w jej okolicy domy, ludzie zostali ranni. Strzelali, dlatego że przebywali u nas rosyjscy żołnierze — tłumaczy, martwiąc się, by jej słowa nie zostały źle zrozumiane. – Walki trwały parę dni, ostatecznie Rosjanie zostali pokonani około 3 marca, a następnie ruszyli na Mariupol. Od 24 lutego przez trzy tygodnie siedzieliśmy w piwnicach.

Sytuacja uspokoiła się pod koniec kwietnia. Większość samochodów ocalała, dzięki czemu Jekatierina często bywała w mieście.

– Kiedy pojechałam tam pierwszy raz, utonęłam we łzach. Mariupol był taki piękny, otworzyło się tyle miejsc, boli mnie, że wszystko zostało zniszczone. Objęliśmy całe miasto, widzieliśmy dużo domów w strasznym stanie. Nie wszystkie zostaną wyburzone, przyjechali jacyś eksperci, żeby je sprawdzić.

Jekatierina pracowała w bibliotece, gdzie teraz jest punkt pośrednictwa pracy. O dziwo, nawet podczas trwania walk ludzie przychodzili po książki. – W czasie wojny, gdy nie było internetu, do biblioteki przychodziła ogromna liczba czytelników, prawie wszyscy mieszkańcy! Ludzie zaczęli czytać — stwierdza, po czym wyjaśnia, że teraz nie ma zbyt wiele ofert pracy dla kobiet w mieście. – Gdy tylko w Mariupolu zapanował spokój, kobiety zaczęły zamiatać ulice i sprzątać. Większość prac w mieście jest ciężka i nadaje się dla mężczyzn, polega na odgruzowy-

jednak zrozumieć, że ludzie wracają do życia. Kilka razy organizowano imprezy w ocalałym parku. My w nich nie uczestniczyliśmy, nie rozumieliśmy, jak można się bawić, gdy zginęło tyle ludzi, a około spłonęły domy. Można było się cieszyć jedynie z tego, że udało nam się przeżyć. Nie mieliśmy jednak ochoty na rozrywkę, na tańce. Z drugiej strony cieszę się, że niektórych to nie rusza i mogą żyć dalej. Choć mój mózg do końca tego nie przyjmuje.

NIE WIEMY, KIM JESTEŚMY

– W każdym regionie, w każdym kraju są osoby, którym nie podobają się rządzący, kontynuuje Jekatierina. – Kiedy ludzie pytają mnie, za kim jestem, mówię, że za sobą i moimi dziećmi. Mieszkalam w Ukrainie, jednak z pochodzenia jestem Greko-Tatarką. W Ukrainie żyło się dobrze: czasem bywało ciężko, mieliśmy problemy finansowe, jednak spokój to rekompensował. Generalnie nie jest mi obojętne, kto rządzi, jednak nie obchodzi mnie to, jeśli chodzi o Mariupol, byleby nie strzelali.

Nowe władze w okupowanym Mariupolu zostały powołane przez szefa samowwicznej Donieckiej Republiki Ludowej, jednak miejscowi nie chcą się stać jej częścią. Jak mówi Jekatierina, mieszkańcom proponuje się wyrobienie rosyjskich paszportów. Pojawia się pytanie: czy są gotowi zaakceptować Rosję po tym, gdy zaatakowała Ukrainę i zniszczyła Mariupol?

– Jakie mamy wyjście? Czy można jej nie akceptować, jeśli zostanie w Mariupolu? Czy mamy wybór? Nie mamy gdzie uciekać, tu są nasze domy. Chcemy czy nie, wrócimy do tych domów, Ukraińcy nie otrzymają wszędzie pomocy. Czy to będzie Rosja, czy Ukraina, będziemy mieszkać w Mariupolu. Brak akceptacji oznacza, że wszyscy, mężczyźni, kobiety, nastolatki, powinni udać się na wojnę? Nie mam zamiaru walczyć. Zabrałam także syna, bo nie chcę, aby zabijał ludzi, bez względu na ich narodowość. Dziwi mnie, że w dzisiejszych czasach sprawy rozwiązuje się za pomocą walki, że nie można rozwiązać ich pokojowo.

Jekatierina nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, z jakim państwem identyfikują się mieszkańcy Mariupola.

– Nie wiemy, kim jesteśmy. Zdecydowanie nie identyfikujemy się z DRL. Oczywiście mam pretensje do Rosji, ale też do Ukrainy: być może mieliśmy za mało żołnierzy, za słabo broniliśmy Mariupola, trzeba było bardziej się postarać. Obrona Kijowa się powiodła. Niedawno wysadzone w powietrze centrum handlowe w Krzemieńczuku, wszyscy byli wstrząśnięci, że zginęło tam 20 osób. Można odnieść wrażenie, że wszyscy zapomnieli o Mariupolu i o tym, ile osób tam zginęło! Było to piękne, duże i przydatne miasto, znajdowało się tam wiele fabryk, port, kolej. Gdyby istniał pokojowy sposób na przywrócenie tego wszystkiego, chciałabym żyć tak jak wtedy, w Ukrainie. Teraz ludzie próbują po prostu żyć, przetrwać i stanąć na nogi najlepiej, jak potrafią. ●

waniu, naprawach instalacji, wodociągów.

Jekatierina z dziećmi tydzień temu opuściła Mariupol. Teraz jest w Czechach. Droga prowadziła przez Rosję, Białoruś i Polskę. Jak mówi, bała się jechać przez Ukrainę, niechętnie wybrała bezpieczniejszą opcję. W domu został mąż. Na pytanie, dlaczego zdecydowali się wyjechać teraz, kiedy życie wydaje się wracać do normy, 42-letnia kobieta początkowo nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

– Prawdopodobnie ze strachu. Nie wiadomo, co będzie dalej. Jeśli Ukraina zechce odzyskać Mariupol, to przebywanie tam będzie niebezpieczne. Ja, tak jak wielu innych ludzi, nie dam rady jeszcze raz tego przeżyć.

Na lokalnym profilu w serwisie Telegram zamieszczono filmik, na którym widać ludzi wypoczywających na plaży nad morzem. Gdyby nie było wiadomo, co to za miasto, nikt by nie pomyślał, że ci zrelaksowani ludzie w kostiumach kąpielowych niedawno przeżyli ostrzał i głód, siedząc w piwnicach.

– Moi sąsiedzi także chodzili na plażę, choć są tam tereny zaminiowane, dziwi mnie to. Sama nie mam się najlepiej, nie wiem, gdzie jestem, w jakim państwie, nie wiem, co będzie dalej. Wiem jedynie, że muszę wrócić: tam jest mój dom, na zakup drugiego za granicą nie mam pieniędzy, nie uda nam się ich uzbierać. Nie mogę żyć z zasiłków, całe życie pracowałam. Nie rozumiem, jak można iść na tę plażę w Mariupolu. Trzeba

ŻYJEMY W NAJLEPSZYCH CZASACH

Macie wybór: nierówności albo krótkie życie w bólu, głodzie i z częstymi pogrzebami dzieci

Z IZRAELSKIM EKONOMISTĄ
ODEDEM GALOREM*
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Przez setki tysięcy lat *Homo sapiens* żył w ekstremalnej nędzy. A każda poprawa warunków życia wiązała się z pewną pułapką.

– Od powstania *Homo sapiens* w Afryce jakieś 300 tysięcy lat temu na całym świecie ludzie wegetowali na granicy przetrwania. Każdy postęp powodował wzrost populacji, co wiązało się z dzieleniem zasobów między większą liczbę ludzi. Wzrost populacji cofał więc po jakimś czasie warunki życia do stanu sprzed wprowadzenia innowacji. To tzw. pułapka maltuzjańska.

Kiedy po raz pierwszy wyrwaliśmy się z jej objęć?

– Przez całą historię rozwojem rządziły trzy podstawowe siły. To postęp technologiczny, zmniejszanie rozmiarów ludzkich populacji oraz dostosowanie populacji do środowiska. Pierwotnie rozmiary ludzkich populacji były niewielkie, ale ludzie zostali wyposażeni w mózgi, które sprzyjały innowacji, a ten zwiększał rozmiary populacji. Innowacje technologiczne pozwalały z kolei na przetrwanie większym populacjom i skutkowały przystosowaniem do środowisk ekologicznych i technologicznych. A większe i lepiej przystosowane populacje sprzyjały projektowaniu nowych technologii i uzyskiwaniu jeszcze większej kontroli nad środowiskiem.

Stopniowo tempo zmian stawalo się coraz szybsze. Przez tysiące lat stagnacji gospodarczej pod powierzchnią narastał pozornie niewidoczny proces rozwoju, aż w końcu osiągnęliśmy punkt krytyczny. To moment, w którym edukacja stała się niezbędna, aby sprostać zmieniającym się warunkom. I stała się również niezbędna w procesie produkcji.

Takie okoliczności wymusiły na rodzicach inwestowanie w dzieci, które już mieli, zamiast w płodzenie kolejnych. Spadła płodność. Mniejsze rodziny stały się bardziej atrakcyjne. Taki spadek dzietności w połączeniu ze spadkiem umieralności określono przejściem demograficznym. Zburzyło ono jeden z fundamentów pułapki maltuzjańskiej.

W konsekwencji po raz pierwszy w historii poziom życia zaczął wzrastać. Ten moment to początek epoki długotrwałego wzrostu w historii.

Zwraca pan uwagę, że powszechne wyobrażenie o rewolucji przemysłowej, rodem z powieści Dickens’a, jest fałszywe. To w tym czasie staliśmy się zdrowsi i bogatsi.

– Rewolucja przemysłowa to wiek postępu i wybuch innowacji. Po raz pierwszy radykalnie wzrosła średnia długość życia, spadła śmiertelność dzieci, a edukacja stała się czymś powszechnym. Mówiąc o rewolu-

cji przemysłowej, powinniśmy przyjąć szerszą perspektywę. To wiek postępu. W następstwie rewolucji przemysłowej wprowadzono regulacje dotyczące pracy dzieci, a w krajach rozwiniętych ich praca została ostatecznie zlikwidowana.

Czy zatem żyjemy w najlepszych czasach w historii?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jeszcze kilka stuleci temu ludzkie życie przypominało słynne spostrzeżenie Hobbesa z „Lewiatana” – było „samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie”. Jedna czwarta noworodków umierała, a połowa nie dożywała dojrzałości. Przed 1857 r. podróż z Nowego Jorku do Chicago trwała sześć tygodni. Kolej skróciła ten czas do dwóch dni. Średnia długość życia niemal się podwoiła, średni dochód per capita w skali globu wzrósł czterdnastokrotnie. Dziś w większości obszarów świata korzystamy z jakiejś formy rozrywek i kultury, dzieci żyją dłużej od swoich rodziców, mamy dostęp do bardziej urozmaiconej diety i pracujemy w mniej niebezpiecznym środowisku.

Zwojny w Ukrainie możemy wyciągnąć optymistyczną lekcję – pragnienie wolności w społeczeństwach na całym świecie rośnie, a to sprzyja globalizacji

Tylko że przemysł nie odgrywa już takiej roli.

– Począwszy od ostatnich dekad XX wieku, stała poprawa warunków życia następuje nie dzięki produkcji przemysłowej, ale wbrew niej.

Gdy przyjrzymy się rozwojowi w sensie szerokim, w ostatnich 200 latach jego przyczyną jest postęp technologiczny, a nie sama industrializacja. Uprzemysłowane obszary współcześnie są mniej rozwinięte i gorzej wykształcone. Nie wymagają od mieszkańców zaawansowanych zdolności technologicznych. Dziś sam przemysł to tylko marnowanie ludzkiego kapitału. Przemysł oparty na niskich kwalifikacjach nie zachęca do budowania kapitału ludzkiego i nie sprzyja wzrostowi gospodarczemu, lecz go dławi – jak w przeszłości rolnictwo.

A może obecny wzrost poziomu życia również okaże się przejściową anomalią?

– Bardzo mało prawdopodobne. Towarzyszył mu ogromny wzrost popytu na edukację oraz olbrzymi spadek dzietności. A to nieodwracalne procesy pod względem kulturowym i ekonomicznym.

Tylko że wzrostowi dobrobytu towarzyszy wzrost nierówności.

– Nierówności są nieuniknioną konsekwencją dynamicznego postępu technologicznego. Przed rewolucją przemysłową na całym świecie ludzie żyli na podobnym poziomie. Wynagrodzenie za dzień pracy w Babilonie (3600–3800 lat temu) wynosiło równowartość 7 kg ziarna pszenicy, 5 kg w imperium asyryjskim (3350–3500 lat temu), 4 kg w Egipcie czasów Cesarstwa Rzymskiego. Jeszcze w przededniu rewolucji przemysłowej w krajach Europy Zachodniej płace wynosiły równowartość 10 kg pszenicy w Amsterdamie, 5 kg w Paryżu i 3–4 kg w Madrycie, Neapolu czy innych miastach Włoch i Hiszpanii.

Rozwój technologii zwiększa zapotrzebowanie na edukację, specjalistyczne umiejętności i wiedzę, więc pogłębia nierówności między wykształconymi i wyposażonymi w te umiejętności a resztą. Ale tę konsekwencję można złagodzić. Społeczeństwa powinny sprawić, aby a priori każda osoba miała taką samą szansę skorzystania z postępu technologicznego. I powinny zapewnić bezpieczeństwo tym grupom społecznym, które nie dysponują kluczowymi umiejętnościami.

Taka polityka jest moralnie słuszną i ekonomicznie uzasadnioną – długoterminowo sprzyja efektywności i łagodzi wpływ niepokoju społecznych na inwestycje i produktywność.

Jednak powstały już setki programów i akcji charytatywnych, a mimo to nierówności wciąż się utrzymują.

– W książce „Podróż ludzkości. O pochodzeniu bogactwa i nierówności” opisuję te regiony świata, które nie miały szczęścia, jeśli chodzi o odpowiednie położenie geograficzne czy warunki środowiskowe. Zauważmy, że te obszary rozwinęły normy kulturowe, instytucje czy społeczeństwa, które niekoniecznie sprzyjają rozwojowi lub wręcz go ograniczają. W niektórych miejscach przeszłość sprawia, że koła zębate zmian toczą się wolniej. W konsekwencji sam rozwój przebiega wolniej.

Jednak zastrzega pan również, że „los narodów nie jest wykuty w kamieniu”. Czy Afrykę Subsaharyjską czekają nowoczesne szpitale?

– Oczywiście. Historia ma olbrzymie znaczenie, ale nie determinuje w pełni losów zbiorowości. Jeśli znamy historię konkretnego kraju czy regionu, możemy opracować odpowiednią politykę i rozwiązania systemowe, które uwzględniają lokalną specyfikę.

To długotrwały proces, ponieważ warunki początkowe niezwykle trudno jest zmienić. Jeśli chodzi o Afrykę Subsaharyjską, to handel niewolnikami wpłynął do tego stopnia na obniżenie poziomu zaufania, że do dziś odciska się na wzroście gospodarczym. Badanie Afrobarometru



PARTNER STRATEGICZNY:
POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK
JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

wskazuje na znaczną różnicę w poziomie zaufania społecznego między obszarami dotkniętymi handlem niewolnikami i pozostałymi, choć te praktyki ustały już ponad sto lat temu.

Trudno zmienić instytucje czy normy kulturowe, ale jeśli je zrozumiemy, możemy zaprojektować np. odpowiedni system edukacji.

W Polsce również mówi się o Polsce A i B. W powszechnej opinii przyczyną są rozbiory z XVIII wieku. To dobre wyjaśnienie?

– Jeśli chodzi o ogólną prawidłowość – całkowicie się zgadzam. Spójrzmy na przykład obu Korei. Kulturowo, geograficznie i etnicznie są identyczne. Jednak półwysep został podzielony, jedna część znalazła się pod wpływem Zachodu, druga pod wpływem ZSRR. Współcześnie PKB Korei Południowej jest dwudziestoczworokrotnie wyższe niż u północnych sąsiadów, a oczekiwana długość życia w 2020 roku była o jedenaście lat wyższa. Nie wspominając o innych wskaźnikach jakości życia.

Mimo to podkreśla pan, że pojedyncze wydarzenia historyczne nie są tak istotne, jak się nam wydaje.

– Rozwój ludzkości kierowany jest przez wspomniane fundamentalne siły – rozwój technologiczny, rozmiar populacji i adaptacje do tych zmian. To proces, który doprowadził do powstania bardziej sprawnych i sprzyjających rozwojowi instytucji. W takiej perspektywie pojedyncze wydarzenia

FOT. EAST NEWS



zazwyczaj nie zwracały ludzkości rozumianej jako całość z jej podroży.

W książce podkreśla pan, że do tej pory ludzkość podnosiła się po każdej katastrofie. Czy poradzimy sobie i ze zmianami klimatu?

– Mam chyba więcej nadziei niż większość naukowców, ale to nie znaczy, że jestem naiwny. To największy kryzys, z jakim mierzy się ludzkość. Jednak nadzieję na jego przetrwanie dają trzy trendy wpisane w proces rozwoju. Rozwój oznacza przecież gwałtowny spadek populacji, olbrzymi wzrost innowacyjności oraz wzrost roli edukacji.

A więc w miarę rozwoju spada liczba osób, które wytwarzają zanieczyszczenia. To może dać naukowcom odrobinę czasu na opracowanie nowych technologii. No i wykształcone społeczeństwa lepiej rozumieją istotę zagrożenia, w większym stopniu dbają o środowisko czy stosują ekologiczne rozwiązania oraz wymuszają również na rządach np. standardy emisji czy odpowiednie regulacje prawne. Te trzy czynniki łącznie mogą kupić nam trzy lub cztery dekady, w których mamy szansę zawrócić z obecnego kursu.

Do tej pory żadna z dotychczasowych gróźb wymarcia się nie sprawdzała. Stąd moja nadzieja, że utrzymamy obecną tempo rozwoju gospodarczego przy jednoczesnym zachowaniu planety.

Jednak czy nie odnosi się to wyłącznie do bogatego Zachodu? Te czynniki mają jakiegokolwiek przełożenie na sytuację w Afryce czy biednych regionach Azji?

– Zachód jako jedyny ma możliwość zapobieżenia nadchodzącej katastrofie. Wiele obszarów świata pozostaje zbyt biednych. Zachód powinien wspierać te narody i upewnić się, że podejmują działania, które są korzystne dla planety. Stać nas na wspieranie biednych i wszyscy na tym zyskamy.

Poprzednie katastrofy odbywały się w innych warunkach – rynki nie były tak powiązane. Współczesne kryzysy, jak wojna w Ukrainie, nie zahamują rozwoju?

– Wojna to przerwa w rozwoju, jednak jest niezwykle mało prawdopodobne, aby efekt był długotrwały. W tej chwili można odnieść wrażenie, że obecny kryzys jest niezwykle destrukcyjny i cofa proces globalizacji, ale to wyłącznie chwilowa przerwa. Z obecnego kryzysu możemy wyciągnąć

optymistyczną lekcję – pragnienie wolności w społeczeństwach na całym świecie rośnie, a to sprzyja globalizacji. Nie jutro ani w nadchodzących latach, ale w najbliższych dekadach będziemy to obserwować.

Podkreśla pan istotną rolę różnorodności. Jak mawia znany popularyzator nauki i inwestor Matt Ridley, postęp technologiczny ma miejsce wtedy, kiedy „idee uprawiają ze sobą seks”.

– Wpływ różnorodności na rozwój jest niezwykle złożony. Różnorodność generuje bowiem dwie przeciwstawne siły. Z jednej strony pobudza przenikanie kultur, zwiększa kreatywność i inspiruje, choćby poprzez większą otwartość na nowe idee. Tym samym sprzyja postępowi technologicznemu. Z drugiej strony zmniejsza zaufanie,

rodzi konflikty, przez co zmniejsza spójność społeczną. A więc produktywności sprzyja umiarkowany poziom różnorodności.

Jednak poziom różnorodności będzie wzrastał – i sprzyjał dobrobytowi, bo współczesny system edukacji ma zdolność kształtowania tolerancji, a tym samym do zmniejszania negatywnych skutków, jakie różnorodność niesła dla spójności społecznej w przeszłości. Jesteśmy w stanie wyedukować ludzi, by byli bardziej tolerancyjni czy szanowali mniejszości. Dlatego kluczami do rozwoju naszego gatunku w nadchodzących dekadach są edukacja, tolerancja i równość płci.

Teorie w ekonomii koncentrują się na pojedynczych czynnikach. W swojej zunifikowanej teorii wzrostu odrzuca pan takie podejście.

– Znaczna część nierówności między narodami została zdeterminowana w odległej przeszłości, a zatem tylko jednolita teoria może rozwiązać najbardziej fundamentalne tajemnice procesu wzrostu. Jeśli zrozumiemy, jak garstka osobników, które wyemigrowały z Afryki po tysiącach lat stagnacji, dotarła do etapu zamożnego i bezpiecznego życia, będziemy wiedzieli, jak przezwyciężać, choćby z naszej perspektywy, dziejowe, lecz w istocie przejściowe fluktuacje.

Na rozwój cywilizacji składa się ogromna liczba czynników. Które są najważniejsze?

– Nie ma jednej siły, która by odpowiadała za rozwój. W jednych regionach świata obserwujemy większy wpływ instytucji, w innych religii i norm kulturowych, a w jeszcze innych geografii lub różnorodności. Dlatego konieczne jest podejście całościowe. Poka-



Katastrofę klimatyczną może zatrzymać rozwój gospodarczy i technologiczny.

Bo oznacza gwałtowny spadek populacji i olbrzymi wzrost innowacyjności

zanie, jak interakcja między postępowem technicznym a wielkością populacji i jej adaptacją do środowiska technologicznego ząębowała się z kulturą, geografą, zróżnicowaniem populacji. I jak dopiero to wszystko zebrane do kupy wypychało społeczeństwa na odrębne trajektorie historyczne i bogactwa narodów.

Czy możemy przewidzieć, co będzie decydować o dobrobycie w przyszłości?

– Już wspomniałem o różnorodności i edukacji. Kapitał ludzki odgrywa kluczową rolę od końca XIX wieku. W XXI wieku najważniejsza będzie wpływająca nań zdolność do adaptacji, przystosowania się do stale zmieniających się warunków. A więc odpowiednia, elastyczna edukacja. Taka, która umożliwi jednostce przyswajanie stale rosnącej ilości informacji. Nowe technologie będą generowały ich coraz więcej i więcej, a jednocześnie zmieniały proces kształcenia. Przewiduję wielką transformację kognitywną. Być może będzie to jakiś rodzaj fizycznej interakcji pomiędzy technologią a mózgiem?

No i bardzo ważne będzie tzw. myślenie przyszłościowe, zwane również nastawieniem na przyszłość. To jedna z cech najbardziej ułatwiających adaptację do zmieniającego się świata. ●

***Oded Galor** – ur. w 1953 r., ekonomista, profesor na Brown University, twórca zunifikowanej teorii wzrostu. Zaliczany do pionierów badania wpływu czynników ewolucyjnych, zróżnicowania populacji i nierówności na proces rozwoju gospodarczego

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości?

Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w naj-

rozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

Z KLAUSEM BACHMANNEM*
ROZMAWIA GRZEGORZ WYSOCKI

Zacznę brutalnie, panie profesorze...
– Proszę bardzo. W końcu takie mamy dzisiaj czasy.

Czy po 24 lutego „Problemy z Guliwerem”, pańską książkę o Niemczech, można wyrzucić do kosza?

– Bardzo niewiele bym dziś zmienił. Ta chwiejna, kunktatorska postawa socjaldemokratów i opinii publicznej, gdzie większość jest za przyjęciem Ukrainy do UE, ale przeciwko dostawom ciężkiej broni i popiera kurs kanclerza – absolutnie zgadza się z moim opisem tego, co się działo po 2014. Z tą różnicą, że teraz nikt już publicznie nie popiera polityki Rosji, ale ci, którzy popierali Rosję, już jej nie popierają, tylko ostrzegają przed bombą atomową i eskalacją, namawiają Ukrainę do negocjacji i wyolbrzymiają negatywne skutki sankcji dla Zachodu.

Na pewno napisałbym więcej o rosyjskich lobbystach w Niemczech czy niemieckich w Rosji. Ale rząd siedzący okrakiem pomiędzy NATO i Rosją widzieliśmy już w 2014 roku.

Nie wszyscy.

– To prawda, ale bardzo mnie zaskoczyło, że mój artykuł z „Wolnej Soboty” o lobbystach w Berlinie stał się taki popularny, a zwłaszcza że przedrukowano go w Austrii i w Niemczech. Napisałem go, by sobie ulżyć, nie by kogoś uświadomić, bo myślałem, że to wszystko jest powszechnie znane. W końcu ani Schröder, ani Merkel, ani Matthias Platzeck, były premier Brandenburgii, ani Manuela Schwesig, premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego, nie byli i nie są żadnymi rosyjskimi agentami. Wszystko, co robią, robią jawnie i do pewnego stopnia z przekonaniem.

Czyli Niemcy nie mają wyrzutów sumienia?

– Z tego powodu, że doszło do wojny? Nie bardzo. Jest mnóstwo ludzi, którzy się obecnie wstydzą za swój rząd albo, precyzyjniej, za swojego kanclerza, ale są to przeważnie ci, którzy się z nim nie zgadzają, którzy popierają Ukrainę i dostawy ciężkiej broni. Wstydzą się ci, którzy nie mają powodu, a ci, którzy mają powód – ani trochę. Ale winny nie czuje się chyba nikt.

Gerhard Schröder?

– Bundestag odebrał mu część uposażenia byłego kanclerza, personel go opuścił, a on zamierza się sądzić z Bundestagiem. Ale na pewno nie jest skruszony.

Angela Merkel?

– Również nie, co pokazał jej ostatni – i pierwszy po odejściu z urzędu – publiczny występ.

– Ale ona już nie ma władzy i to, czy przeprosza, czy nie, niczego nie zmienia. Wojna będzie trwać.

Kategorii winy pan nie lubi, ale możemy „winę” zastąpić „współodpowiedzialnością” czy „poczuciem obowiązku”.

– Tak, to już lepiej, bo wtedy może z tego wynikać coś pożytecznego. Wina na pewno nie skłoni Scholza do dostaw ciężkiej broni, poczucie odpowiedzialności – owszem. Poczucie obowiązku też, choć to akurat się w Niemczech źle kojarzy...

Z czym?

– Ze staroświecką cnotą, której nadużywała Trzecia Rzesza, aby wymusić posłuszeństwo od swoich poddanych. To się nazywało wtedy „Pflicht”. Siegfried Lenz pastwił się nad tym w powieści „Lekcja niemieckiego”.

Panu też zdarzało się nie docenić Rosji. Jeszcze dzień przed inwazją nie wierzył pan, jak zresztą wielu ekspertów, że będzie wojna.

– Coś takiego już mi się przydarzyło. W 1990 roku, kilka dni przed upadkiem muru berlińskiego, zapowiedziałem w publicz-

NIE ZABIJAJCIE REALISTY

FOT. LESZEK ZYCH/REPORTER



Walka z Rosją, by ją powstrzymać i osłabić, ma sens, ale czy ma sens walka o Donbas?

nej debacie w Warszawie, że żadnego zjednoczenia Niemiec nie będzie.

No i nie było! Czytałem w pańskiej książce.

– (*śmiech*) To prawda, nie było zjednoczenia, tylko NRD przystąpiła niczym petent do RFN, a RFN narzuciła swoją konstytucję, ustrój, prawo, inwestorów, a nawet elity polityczne. Dlatego nie lubię tego nazywać zjednoczeniem. Ale jednak na końcu powstało wspólne państwo.

Oba te przykłady: z upadkiem muru i z inwazją Rosji, przypominają nam, że eksperci to też ludzie i popełniają błędy?

– Problem nie tkwi w tym, że eksperci są omylni, bo to jest jasne. Tkwi w tym, że odbiorcy mediów oceniają dziennikarzy i specjalistów nie na podstawie argumentów, jakie zawierała ich prognoza, tylko według tego, czy się spełniła.

A dlaczego to aż takie złe?

– Według tej logiki najlepsi eksperci to ci, którzy zapowiadają dziś koniec świata, bo on na pewno kiedyś nastąpi.

Jeśli ktoś w styczniu argumentował, że Rosja nie dokona szerokiej inwazji na Ukrainę, bo to niesłychanie kosztowne, bo to izoluje Rosję, której nie stać na długotrwałą okupację, bo uwikła ją to w wieloletnią walkę partyzancką, to miał rację. Jedynie, co się nie zgadza, to wynik. Rosja jednak weszła.

Nie uwzględniliśmy, że oni tam na Kremlu naprawdę wierzyli, że Ukraińcy czekają na wyzwoliciele i będą ich witać kwiatami. A mówiono to Putinowi, bo zakładano, że on nie chce słyszeć niczego innego. Trochę jak nasi rządzący, którzy czytają tylko te gazety, które sami sponsorują i które osobiście wyczyścili z nieprawomyślnych dziennikarzy, a potem się dziwią, że ich wyobrażenia o świecie nie przystają do tego świata.

Zakładałem, że na Kremlu zapadają decyzje w miarę racjonalne, oparte na dostępnych faktach. Zdecydowanie nie doceniłem samotności Putina i wielkości jego kłapek na oczach, to znaczy faktu, że on miesiącami siedział sam, otoczony tylko ludźmi, którzy mówią mu dokładnie to, co chce słyszeć.

Zakładałem też, że mniej zależy od niego, a więcej od jego aparatu. Ale na tej słynnej naradzie Rady Bezpieczeństwa okazało się, że tam nie ma żadnej przestrzeni do dyskusji i rozważania argumentów, a decyzja o wojnie zapadła w ostatniej chwili i w bardzo wąskim gronie. Tak wąskim, że nawet szef wywiadu nie był w to włączony.

I skoro już jesteśmy przy moich pomyłkach, w ogóle nie liczyłem się z taką reakcją Zachodu. Sądziłem, że wojna skończy się po kilku dniach, Kijów padnie, Zachód przejdzie do porządku dziennego.

Czyli pomyłką było też to, co pan mówił kilka miesięcy przed wojną w „Nowej Europie Wschodniej” o szansach na zakończenie kryzysu we wschodniej Ukrainie? Że Ukraina „wiele by zyskała, gdyby zrezygnowała z Krymu i Donbasu”.

– Ja to mówiłem od wielu lat, nie tylko w tym kontekście i nie tylko o Donbasie. Uważałem, że jeśli coś jest nie do odzyskania, to trzeba z tego szybko zrezygnować, inaczej tylko ogranicza nasze pole manewru.

Łatwo powiedzieć, nie będąc Ukraińcem...

– Tak, to trochę ułatwia sprawę. Tak jak polskim emigrantom na Zachodzie uznanie powojennych granic ułatwił fakt, że sami nie pochodzili z Kresów. I tak samo łatwiej było niemieckim lewicowcom wzywać do uznania granicy na Odrze i Nysie, bo nie stracili swojej małej ojczyzny podczas wojny. Tu trzeba oddać sprawiedliwość tym, którzy sami coś stracili, a mimo to wzywali do akceptacji tej straty, jak hrabina von Dönhoff.

Przez cały okres powojenny RFN nie chciała uznać NRD jako odrębnego państwa i zrywała stosunki dyplomatyczne z każdym, kto je nawiązywał. Ale z czasem robiło to coraz więcej państw neutralnych i pojawił się dylemat. Jeśli taka Jugosławia uznaje NRD, a my zerwiemy z nią stosunki, to mamy potężny problem z mieszanymi małżeństwami niemiecko-jugosłowiańskimi, a do tego Niemcy z NRD i z RFN nie mogą się już tam spotykać i tracimy bardzo ważnego partnera handlowego.

Podobnie było z granicą na Odrze i Nysie – brak jej uznania tylko ograniczył pole manewru RFN. Trzymanie się zasady, że myśmy się nigdy nie rzekli Wrocławia czy Kaliningradu, bo nie było nas na konferencji poczdamskiej, doprowadziło tylko do tego, że za każdym razem, gdy jakiś minister spraw zagranicznych z Bonn o tym bąkał, natychmiast miał na głowie USA, ZSRR, Francję i Wielką Brytanię, które przypominały, że owszem, Poczdam również was, Niemców, obowiązuje.

To było dla nas taką samą kulą u nogi jak Kosowo dla Serbii. O czym mówiłem głośno również w Serbii.

I co, chwalono tam pana za rozsądek i pragmatyczne podejście?

– (*śmiech*) Reakcje były, powiedzmy, mieszane. Ale naprawdę nie ma sensu siłą zatrzymywać jakiegoś kraju tam, gdzie on sam nie chce być, zwłaszcza gdy wiąże się to z obciążeniami finansowymi i ekonomicznymi. Dotyczy to również Donbasu, i to zanim Rosja zrównała go z ziemią.

Oczywiście teraz to co innego. Okupując część Donbasu, Putin sam zlikwidował te tendencje w Ukrainie, które optowały za Rosją czy sprzeciwiały się integracji z Unią. Od ośmiu lat ci, którzy byli tak prorosyjscy i antyzachodni, że zostali w samozwańczych republikach i przyjęli rosyjskie paszporty, nie mają już żadnego wpływu ani na wybory, ani na opinię publiczną, ani na wyniki sondaży. Dzięki temu Ukraina jest dzisiaj proeuropejska.

Zresztą po 2014 według UNHCR Donbas opuściło około 1,5 mln ludzi. Zostali emeryci, renciści i te bandziory, których wysłało tam FSB i którzy się wzajemnie zabijają w walce o malutkie wpływy.

Wiem, że każdemu ukraińskiemu rządowi przez najbliższe 30 lat będzie tak samo trudno rezygnować z tych terenów, jak trudno było RFN uznać granicę na Odrze i Nysie albo Serbii uznać Kosowo. Ale kolejny argument – teraz jeszcze dochodzą koszty odbudowy.

Gdybym na moment został monarchą absolutnym Ukrainy, to zrobiłbym tak: niech Rosja przyjmie pełną odpowiedzialność za to, co tam zrobiła. Rzeczą jasną w odpowiedzi Ukraińcy urządziłoby mi taki Majdan, jak swego czasu Janukowyczowi.

Wylicza pan różne analogie historyczne. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: czy uważa pan, że Krym i Donbas są takimi kulami u nogi Ukrainy, jaką wcześniej było Kosowo dla Serbii?

– Krym ma duże walory turystyczne i nim Putin zaczął tam sztucznie rozkręcać separatyzm za pomocą żołnierzy bez odznak, tendencje separatystyczne z lat 90. prawie zniknęły. A to, że Donbas jest kłodą u nogi, było dyskutowane na Ukrainie już pod koniec lat 90.

Teraz nie ma o czym dyskutować: tam już nic nie ma. Same ruiny. Gdyby to był step albo dżungla, można by budować od zera. Ale tam trzeba najpierw rozminować i rozebrać ruiny, a następnie budować od zera, i jeszcze przekonać ludzi, że warto tam wracać,

to znaczy dać im poczucie, że Rosja już tu nie wróci.

To w przypadku, gdy Ukraina wkrótce odbije Donbas. A jeśli nie, to jestem ciekaw, co Rosja z tym robi. Po co im to było, zabijając tylu ludzi, poświęcać tylu żołnierzy, aby zdobyć teren kompletnie zrujnowany, wyludniony, do którego żaden rozsądny Rosjanin nie przyjedzie, bo wie, że nie wiadomo jak długo tam zostanie? Krym to jeszcze rozumiem – można sobie kupić dachę nad morzem. Ale w Donbasie?

Można powiedzieć, że jest pan jak Henry Kissinger, tylko uprzedził go pan – w ni-szowym czasopiśmie, ale zawsze – o jakies dobre pół roku. On w Davos bronił pokoju za cenę kompromisu, również terytorialnego. I wywołał wielki skandal.

– Teraz chyba powinienem się obrazić... Zresztą ciekawe to czasy, kiedy porównanie z Kissingerem może być obraźliwe. Różnica polega na tym, że ja tego nie mówiłem w związku z wojną, tylko odnośnie do wewnętrznej sytuacji Ukrainy. Na długo przed 2014 rokiem w Ukrainie dyskutowano, czy Donbas nie jest zbyt wielkim obciążeniem dla gospodarki i polityki zagranicznej, bo tworzy potężne lobby, które drenuje pieniądze i powstrzymuje od integracji z UE.

W Donbasie trzeba najpierw rozminować i rozebrać ruiny, a następnie budować od zera, i jeszcze przekonać ludzi, że warto tam wracać, to znaczy dać im poczucie, że Rosja już tu nie wróci

Walka z Rosją, by ją powstrzymać i osłabić, oczywiście ma sens, ale czy ma sens walka o Donbas?

Anne Applebaum w „Polityce”: „Amerykanie też chcą zakończyć tę wojnę, wszyscy chcieliby ją zakończyć. Jednak Europejczycy wykazują się brakiem realizmu, myśląc, że można to zrobić poprzez wymianę terytorium. Jeśli pozwoli się Rosjanom zatrzymać ziemie, które zdobyli w ciągu ostatnich trzech miesięcy, to nie zakończymy wojny, lecz zachęcimy ich do kontynuacji. Nie rozumiem tego stanowiska, uważam je za nierealistyczne”. I co na to Europejczycy?

– Przeszkadza mi, że ona tak nierówno rozdziela ten realizm. Różnica w spojrzeniu na ten konflikt nie bierze się z tego, że Amerykanie patrzą, jak jest, a Europejczycy biorą marzenia za rzeczywistość, tylko na tym, że mają inne interesy.

To Jacques Rupnik, znany francuski politolog: „Dla krajów Zachodu ważne jest, żeby ta wojna była jak najkrótsza i żeby obie strony negocjowały jak najszybciej. A Europa Środkowa żąda powrotu do sytuacji sprzed 2014 roku: Rosja musi zwrócić Krym i Donbas...”.

– Tak, ale Europejczycy nie będą o tym decydować. Powtórka z bylej Jugosławii, Iraku i Afganistanu: Zachód się angażuje, ale to znaczy, że Amerykanie bombardują, bo Europejczycy nie mają czym. Europejczycy przyjmują uchodźców i potem płacą za odbudowę.

Z tą różnicą, że dziś Amerykanie dostarczają i broń, i dają pieniądze, a Niem-

cy i Francja, zamiast dać broń, przyjmują Ukrainę do UE. A Polska przyjmuje uchodźców. Taki podział pracy oznacza, że to Amerykanie zdecydują, kiedy i jak ten konflikt się skończy.

A chcą, by wojna trwała jak najdłużej?

– Długi konflikt jest w interesie tych Amerykanów, którzy liczą na osłabienie Rosji albo nawet wyeliminowanie z grona supermocarstw. Taka swoista powtórka Afganistanu: ZSRR się wykończył, bo był ekonomicznie i technologicznie zacofany, więc musiał bardzo dużo wydawać, by dotrzymać kroku NATO w wyścigu zbrojeń, a jednocześnie wykrwawił się w Afganistanie, który uzbroili Amerykanie. Pasuje jak ulał.

I jest to atrakcyjne dla państw europejskich, którym Rosja bezpośrednio zagraża, jak kraje bałtyckie, Mołdawia czy Polska. Ale też to do tych krajów, a nie do Stanów, trafia najwięcej uchodźców, i to one mają problemy z surowcami czy inflacją. Jeśli pójdzie źle, to tu powstanie ukraiński rząd na emigracji, partyzantka i wojna rozszerzą się na nasz teren, a nie na teren Stanów. A jeśli wybuchnie jakiś ładunek chemiczny lub nuklearny, to w pobliżu Polski, a nie Stanów.

A teraz spójrzmy przez chwilę na Hiszpanię, Portugalię czy Włochy: Rosja im nie

– Jak dotąd Putin zawsze eskalował, kiedy natrafił na opór. To nie jest jakaś cecha immanentna dyktatorów: Łukaszenka potrafi się wycofać, Erdogan też. Znam całą gamę dyktatorów, którzy są podatni na naciski. On nie. Będzie eskalować i warto ustalić, kiedy. A nie da się tego ustalić, nie rozmawiając z nim. Bo nawet Ławrow nie wie, kiedy to nastąpi. Podsumowując: Macron dobrze robi, że często rozmawia z Putinem.

A dobrze robi, apelując, by wyłączyć Rosję do nowej architektury bezpieczeństwa w Europie i przestać ją upokarzać?

– Tu się z nim też zgadzam, choć inaczej. Jeśli Rosja się zdemokratyzuje w sposób wiarygodny, to integrujemy się. Jestem też za tym, aby zostawić Nord Stream 2 i uruchomić go właśnie wtedy: by wspierać demokratyczną Rosję. Po co wtedy tanie, bezzwrotne kredyty, jak po upadku ZSRR, i „pomoc rozwojowa”? Niech nowa Rosja sama sobie zarabia walutę.

A jeśli rozmontujemy NS2, to będzie znak, również dla Rosjan, że uważamy, że Rosja nigdy nie będzie demokratyczna, nigdy nie będzie obliczalna, nawet jeśli Putin ustąpi albo umrze.

Czyli wierzy pan w demokratyzację Rosji?

– Nie uważam, że jakiś naród jest niedemokratyczny z natury. Pogląd, że „Rosjanie nigdy się nie zmieniają”, że „cała historia i kultura Rosji jest prześląknięta faszyzmem” albo że „Rosjanie zamordyzm mają we krwi”, to poglądy niemal rasistowskie, podobnie jak to, że „Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki”. Demokratyzacja i budowanie państwa z zewnątrz ostatnio nie miały dobrej koniunktury.

Irak, Afganistan...

– Raczej odstraszać przykłady. Ale w Niemczech się udało, tak jak prawie w całej Europie Zachodniej.

Inna rzecz, że jeśli chodzi o Rosję, to obecnie nie widzę tam żadnych sił, które mogłyby przeprowadzić demokratyzację. Musiałaby to zrobić część rządzącej elity. Oddolnie się nie da, bo mielibyśmy powtórkę z Białorusi w 2020 roku.

Jakies dwie godziny temu mówiliśmy o błędnych prognozach ekspertów...

– Jeśli dla publiczności liczą się tylko trafione prognozy, to mądry ekspert zawsze powinien odpowiadać na pytanie, czy Rosja wejdzie, i na każde inne: „Nie wykluczam”. Zachęcam czytelników, aby się bardziej przyglądać argumentacji, a nie ostatniemu zdaniu prognozy.

Mogę pouprawiać coś, co jest bardzo popularne w kulturze austriackiej, co Elfriede Jelinek i Thomas Bernhard robili po mistrzowsku, czyli obrażenie publiczności?

Wręcz zachęcam!

– Otóż nie wiem, czy wynika to z edukacji szkolnej, czy z ekspansji mediów społecznościowych, ale od lat obserwuję zjawisko, które można by określić jako wtórny albo pośredni analfabetyzm. Czytelnik czyta tekst, niby rozumie każde słowo i każde zdanie, ale nie rozumie argumentacji. I reaguje agresją.

Agresją?

– Niektórzy nawet domagają się cenzury albo karania autora. W takiej sytuacji możemy sobie darować pisanie analiz czy prognoz i ograniczyć się do jednozdaniowych ocen, które można zmieścić na Twitterze. Bo czytelnicy oczekują moralnie jednoznacznych ocen zamiast argumentacji, która siłą rzeczy nie zawsze będzie czarno-biała.

Jak w przypadku tekstu dla „Wolnej Soboty”, w którym wystąpił pan przeciwko wejściu Ukrainy do UE?

– O właśnie. Próbowałem pokazać, że szybkie przyjęcie Ukrainy do UE jest bardzo niebezpieczne dla UE. Nie z powodu Ukrainy, tylko dynamiki zmian, które to wywoła w samej UE.

Chcę Ukrainy w UE, z otwartymi granicami, z odbudowaną gospodarką, chciał-

bym się spotykać w Parlamencie Europejskim z posłami z Ukrainy i chciałbym, by wielkie europejskie koncerny dały popalić ukraińskim oligarchom, podważyły ich kar-tele i by unijna prokuratura dobrała się do korupcji na Ukrainie...

To w czym problem?

– W tym, że to moje marzenie, a nie wy-nik analizy. Ta wojna ujawniła gigantycz-ne pokłady myślenia życzeniowego: wszy-scy, którzy chcą, aby Ukraina wygrała, gro-madzą, czytają i powtarzają już tylko takie dane, które do tego pasują. Z kolei ci, którzy chcą pokoju za wszelką cenę, malują Ukra-inę w najczarniejszych barwach. Nie chcę w tym uczestniczyć.

Jak to, nie chce pan należeć do grona ludzi przyzwotyich, do posiadaczy mo-ralnej racji?

– Jest taki cytat z „Ojca chrzestnego”: „Nie nienawidź swojego wroga, bo to osłabia twoją zdolność oceny”.

Renata Lis przypomniała mi ostatnio chińską maksymę: „Jeśli nienawidzisz, to już przegrałeś”.

– Poza tym to całe oburzenie w polityce słu-ży tylko do maskowania naszej bezradno-ści. Czyni ją trochę bardziej strawną: nic nie mogę, ale przynajmniej się pooburzam i już, nie jestem obojętny. Moje oburzenie daje mi jakąś iluzję sprawczości.

Mówi pan: przyjęcie Ukrainy uwalnia destrukcyjną dynamikę wewnątrz UE. Dla wielu odbiorców sprawa jest jasna: Bachmann (Niemiec!) jest przeciwko Ukrainie w UE.

– A mnie chodzi o to, że szybka droga do członkostwa wymaga przynajmniej czte-rech przemyślnych decyzji Rady, ratyfi-kacji przez parlamenty wszystkich państw członkowskich i europarlament. Za każ-dym razem ktoś, na przykład Węgry, może wyskoczyć, złożyć weto i żądać ustępstwa w innych sprawach, na przykład prawo-rządności albo korupcji. Tak jak to robi Tur-cja wobec NATO z Kurdami.

Chciałbym, aby politycy, którzy te-raz optują za szybkim przyjęciem Ukra-iny, mieli tego świadomość. Jeśli Orbán dowie się odpowiednio wcześniej, że je-go blokada może zaowocować pozbawie-niem go prawa głosu w ramach procedury art. 7 – sankcje za naruszenie praworząd-ności – to się dwa razy zastanowi, czy blo-kować Ukrainę.

Ale też chciałbym usłyszeć od premie-ra Morawieckiego, czy w takiej sytuacji gło-sowałby za pozbawieniem Węgry głosu, po-zbawiając wtedy siebie ochrony przed pro-cedurą art. 7. Czy z punktu widzenia inte-resów jego obozu członkostwo dla Ukrainy jest tego warte?

Taki realizm pachnie pozostawieniem Ukrainy samej sobie.

– O to się w ogóle nie boję. Mamy tu kwe-stię, jak pomagać, a nie czy w ogóle. Nikt tu Europejczyków nie wyręczy – Amerykanie nie, Chińczycy jeszcze mniej. Europejczycy mogą pomóc w odbudowie na zasadach bi-lateralnych – to mniej skuteczne, bo wtedy każdy będzie liczyć, że inni będą płacić i on nie musi. Albo poprzez UE, wtedy to po-moc niejako z automatu – pod kontrolą jed-nej, wyspecjalizowanej i dość profesjona-lnej biurokracji – Komisji Europejskiej, którą kontrolują Parlament Europejski i Trybunał Sprawiedliwości UE.

Jeśli pomoc będzie za małą, to jeszcze więcej Ukraińców emigruje i wtedy zamiast Ukrainy to Ukraińcy będą w UE i odbudowa Ukrainy będzie finansowana z przekazów diaspory do rodzin, trochę na wzór Indii.

Niektórzy komentowali pana tekst, że to „typowo niemiecka” argumentacja. Dla tych, co o Niemcach nie myślą źle, oznaczać to ma „precyzyjną argumen-tację”, „realizm polityczny”, „rozważania na zimno”. Ci, co o Niemcach myślą źle, odnotowali frazę, że „czysto moralne”

argumenty z tego właśnie względu są „mało istotne”.

– Bo akurat ten tekst nie zajmuje się kwe-stiami moralnymi. Ale wiele osób inter-pretuje, że Bachmann jest niemoralny albo uważa moralność za nieistotną. Ale tu jest jeszcze inny problem: moralności nie da się zmierzyć. Co dla mnie jeszcze jest moralne, dla kogoś innego może już być amoralne. To się też różni w zależności od kraju, kul-tury, przynależności klasowej, od tego, czy ktoś mieszka na wsi, czy w wielkim mieście.

Trochę jak z gustem: trudno o tym dys-kutować, bo każdy ma inny. Ale w Polsce dużo ludzi uważa, że to, co dla nich jest mo-ralne, jest moralne dla wszystkich.

Ci, co Niemców nie cierpią, mają chyba na myśli to samo, co Jarosław Kaczyński, który w „Gazecie Polskiej” obszernie się rozwodził: „Układ niemiecki w UE Ukraińców we Wspólnocie po prostu nie chce. Byliby za dużym kosztem – i finan-sowym, i politycznym. W tym drugim

■
Niemcy mogliby się wiele od Ukraińców nauczyć. Od Polaków zresztą też. O aplikacji na smartfon, która ostrzega przed nalotami, możemy tylko marzyć – kiedy w 2021 była wielka powódź w Nadrenii-Westfalii i w Palatynacie, nie działały nawet syreny

przypadku chodzi oczywiście o relacje z Rosją”.

– Ja mam generalnie problemy z tym, co Ja-rosław Kaczyński mówi o polityce zagra-nicznej...

Nie jest pan w tym zakłopotaniu osamot-niony.

– Na przykład nie rozumiem, jak można być za szybkim przyjęciem Ukrainy do UE, je-śli ta UE jest bezduszną biurokracją, która prześladuje Polskę, pozbawia ją suweren-ności i szantażuje pieniędzmi? Ale Niem-cy akurat Ukraińców w UE chcą, bo rozwią-żą bardzo wiele problemów na rynku pra-cy, w systemie emerytalnym, w usługach i być może nawet w cyfryzacji, gdzie Niem-cy mogliby się bardzo wiele od Ukraińców nauczyć. Od Polaków zresztą też. O aplika-cji na smartfon, która ostrzega przed nalota-mi, możemy tylko marzyć – kiedy w 2021 ro-ku doszło do wielkiej powodzi w Nadrenii-Westfalii i w Palatynacie, nie działały na-wet syreny.

Nie ma problemu z Ukraińcami w UE, jest problem z państwem ukraińskim w UE. Ale to też akurat nie dotyczy Niemców, bo według ostatniego sondażu za przyjęciem Ukrainy jest 60 procent. Jak na kraj, o któ-rym Niemcy nic nie wiedzą, to bardzo dużo.

A czy Niemcy mogą wygrać tę wojnę? W sensie: czy bez Niemiec na pewno nie uda się pokonać Putina? Czy też rola Niemiec nie jest wcale tak wielka, jak niektórzy, np. w Polsce, sądzą?

– Od Niemiec teraz bardzo niewiele zale-ży. Kunktatorstwo i siedzenie okrakiem na barykadzie między Rosją i NATO najpierw Merkel, a potem Scholz za spowodowało, że o przyszłości Ukrainy i europejskiego sys-temu bezpieczeństwa to nie Niemcy bę-dą decydować. Ale niemieckie media, opi-nia publiczna i politycy cały czas dyskutują tak, jakby los świata i ewentualnej nuklear-nej zagłady ludzkości zależały od nich. Mało kto widzi, że ta debata jest kompletnie bez-przedmiotowa, właśnie dlatego, że rząd zde-cydował, by nie dostarczyć Ukrainie ciężkiej broni, tylko udawać, że to robi. A to całko-wicie wyklucza Niemcy z jakichkolwiek ne-gocjacji o przyszłości Ukrainy.

Wiele osób uważa, że Niemcy robią to z premedytacją i że będą tak długo deba-tować i procedować, że prędzej skończy się wojna, niż nadejdzie pomoc.

– Niemcy są znowu podzielone, jak w 2014 roku. Wtedy był obóz prorosyjski i antyrosyjski, teraz jest obóz wojny – „doz-brając Ukrainę” – i obóz pokoju – „nie pro-wokować Rosjan”. Przy czym ten drugi ma potężny problem, bo nie jest w stanie za-proponować niczego innego niż kapitul-a-cja Ukrainy i nadzieja, że to udobrucha Pu-tina. Ale żadna z tych rzeczy nie zależy od Niemiec. W dodatku jest w tej argumen-tacji wewnętrzna sprzeczność: Putin jawi się w niej człowiekiem tak z gruntu złym, że może rzucić bombę atomową na Niemcy, ale jest też taki dobry, że po zwycięstwie na pewno nie zaatakuje nikogo innego.

To mam dla pana małą zabawę. Ja rzu-cam kilka anonimowych cytatów z pol-skiej prasy, a pan krótko odpowiada, czy się zgadza, czy nie.
– Zaczynamy!

Polska jest „chyba jedynym, a w każdym razie jednym z niewielu państw euro-

■
Niemcy mogliby się wiele od Ukraińców nauczyć. Od Polaków zresztą też. O aplikacji na smartfon, która ostrzega przed nalotami, możemy tylko marzyć – kiedy w 2021 była wielka powódź w Nadrenii-Westfalii i w Palatynacie, nie działały nawet syreny

pejskich, które może sobie pozwolić na to, by nie mieć żadnych interesów. Tak, nie żartuję, nie kpię, mówię całkiem poważnie: w Polsce nie wypada oceniać rozwoju sytuacji na Ukrainie w innych niż czysto moralnych kategoriach. Jest to, jak zewsząd słyszę, starcie dobra i zła, metafizycznych mocy ciemności z moca-mi światłości i dlatego tak tylko można do tej wojny podchodzić”.

– Zgoda, choć takie podejście dominuje te-raz chyba w całej Europie, jak również w li-beralnej amerykańskiej prasie. W Niem-czech „czołgi czołgami, ale my musimy za-dbać, abyśmy potem jeszcze mogli z Rosja-nami pogadać” mówią – ale raczej półgęb-kiem – głównie socjaldemokraci z chowu Schrödera i Steinmeiera.

„Dodatkowym ważnym elementem jest ślepa wręcz wiara w zdolności Ameryki i, nie mniej osobiłwa i mocna, ufność w jej dobre intencje. Polacy kochają Amerykę, powtarzam, bardziej niż sami Ameryka-nie. Idealizują, upiększają, nie przyjmują do wiadomości, że jest ona, poza wszyst-kim innym, po prostu imperium, które kieruje się swoimi interesami”.
– Też zgoda.

I ostatni cytat: „Polska zdała egzamin z pomocy. Nie możemy jednak unikać rozmów o tym, że Polacy ponoszą tego poważny ekonomiczny koszt. I że ściąga-my na siebie wiele innych problemów”.

– Och, największe problemy to ściągnęliśmy na siebie znacznie wcześniej, antagonizu-jąc niemal cały świat, likwidując usługi pu-bliczne i rozdając kolejne kawalki budżetu państwa obywatelom.

A co do pomocy: Polska przyjęła na ra-zie bardzo wielu uchodźców, ale bardzo chaotycznie i zakładając, że zostaną krótko i poradzą sobie sami. Jak byśmy wygląda-li teraz, gdybyśmy mieli nadwyżkę budże-tową, sprawne szkolnictwo, bogate samo-rządy i służbę zdrowia, która nie musi uzu-pelniać emigracji lekarzy i pielęgniarek do Niemiec pracownikami z Ukrainy, Białoru-si, Syrii, Indii? Można te braki zrzuć na Ukraińców, ale to naprawdę nasze podwór-ko. Ukraińcy Polsce bardziej pomagają, niż są obciążeniem.

To mam dla pana przykrą niespodziankę: cytaty pochodzą z tekstów publicystów „Do Rzeczy” – kolejno: dwa razy naczelny

Paweł Lisicki oraz Wojciech Golonka. Czy właśnie ujawniam Bachmanna jako zaka-muflowanego prawnicowca?

– Są sprawy, wobec których wszyscy ma-my to samo zdanie: Rosja nam zagraża, jest agresywną dyktaturą i należy się przed nią bronić. Ale gdybyśmy weszli głębiej w tę te-matykę, zaczynają się schody. Ja nigdy nie uważałem, że Putin ma nam do zaoferowa-nia „rozsądny konserwatyzm”, dlatego że on też zwalcza LGBT, jest męskim szowini-stą przesiąkniętym „toksyczną męskością”, jak to niedawno powiedział Boris Johnson, którego męskość też nie jest wolna od tok-syn, więc wie, o czym mówi.

Ale za sugestią, że mogę mieć cokolwiek wspólnego z publicystami antyszczepion-kowcami albo ze Zjednoczoną Prawicą, kry-je się poważny problem: że można być al-bo całkowicie za wszystkim, co mówi i pisze PiS, albo całkowicie przeciwko. Kto wpad-nie w tę pułapkę, pozwala PiS – albo innej partii, która tego żąda – na zmianę swoich poglądów. Mam odszczekać wszystko, co o Ukrainie i Rosji napisałem, dlatego że ktoś w PiS pisze to samo? To logika podobna do tej, że kto lubi psy, musi popierać Putina, bo Putin też lubi psy.

A rządy PiS w Polsce? Jak się one panu tak generalnie podobają?

– O, tutaj to mam kompletne rozdwój-e-nie jaźni!

Symetrysta?

– Na pewno nie. Jeśli ktoś tak się obchodzi z konstytucją, która w końcu też chroni jego prawa, to naraża się na podejrzenie, że wła-dzy raz zdobytej nie odda nigdy. Bo inaczej pójdzie siedzieć. PiS stworzył system, który na nim samym wymusza pozostanie u wła-dzy za wszelką cenę. Mogę nawet przyjąć, że nie taki był zamiar, ale było to do przewi-dzenia od 2016 roku, od momentu przejścia Trybunału Konstytucyjnego.

Od tamtego czasu jest tylko gorzej?

– Jak patrzeć na obiektywne wskaźniki – i to już od 2015 roku, a nie dopiero teraz, kiedy wszyscy narzekają na ceny – to widzę bar-dzo wyraźnie, że toniemy. Jeśli się rozmon-towuje i kolonizuje wszystkie instytucje po-wołane do kontroli rządu i parlamentu, to jest nie tylko droga do dyktatury, ale też za-proszenie do rozkręcania spirali kumoter-stwa i korupcji i do załatania skutków wła-snych błędów coraz większymi transfera-mi na kredyt. Widziałem to w wielu kra-jach Afryki, znam – choć tylko z czyta-nia – z Ameryki Południowej, po części też z Białorusi i Ukrainy za prezydentury Kuc-zmy, kiedy tam byłem korespondentem.

Natomiast tak prywatnie, to zawsze mi się żyło świetnie, kiedy PiS rządził – i nawet w dużej mierze dlatego, że to PiS rządził.

Jakim cudem? PiS jest zły tylko w teorii, a w praktyce jest dużo lepiej?

– Każda partia jest dobra dla jednych i nie-dobra dla innych. Problem z PiS polega na czymś innym: polityka tej partii jest do-bra dla tych, którym ona wcale nie chce sprzyjać, i fatalna dla tych, których podob-no wspiera.

Przykłady?

– PiS widowiskowo walczy z komercjali-zacją szpitali, a szpitale prywatyzują jedną usługę za drugą. Polityką pandemiczną do-prowadza do zapaści służby zdrowia, która się coraz bardziej prywatyzuje.

PiS rozchwalia szkolnictwo, dzięki cze-mu bogatsi ludzie uciekają do prywatnych szkół, gdzie jest więcej autonomii, mniej cenzury i mniej zamordyzmu.

Za chwilę zacnie się prywatyzacja woj-ska, Polacy będą się sami uczyć strzelać i kupować sobie broń, tak jak kupowali pul-soksymetry, respiratory i prywatne testy w pandemii, szyli sobie maseczki i sami od-syłali się do kwarantanny, wszystko poza systemem i na własny koszt.

PiS zakazuje aborcji, więc Polki wyjeżd-żają za granicę i tam dokonują aborcji za pomocą polskich pielęgniarek i polskich le-

karzy, którzy emigrowali do Niemiec, Holandii albo na Słowację. Nawet jeśli akceptowałbym pogląd, że aborcja jest zła – to na czym polega wtedy ta moralna przemiana Polski, jeśli Polki i Polacy nadal czynią zło, tyle że nie na polskiej ziemi? PiS twierdzi, że chroni „życie poczęte”, ale de facto jedynie chroni ziemię. Może rolnicy to doceniają.

Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego żyje się panu pod rządami PiS tak świetnie?

– To wszystko jest do wytrzymania dla do-
brze zarabiających mieszkańców dużych
miast, którzy są wdzięczni, że państwo da-
je im spokój i sami dają radę – albo przynaj-
mniej w to wierzą – a jest fatalne dla prze-
ciętnego wyborcy PiS, którego nie stać, któ-
ry nie ma dostępu do tych prywatnych
usług w miastach, bo najbliższa przycho-
dzą jest 30 km dalej, a autobus zlikwidowa-
no lata temu. On bierze 500+, kupuje sta-
ry niemiecki samochód, dojeżdża na wła-
sny koszt i jest wdzięczny rządowi, że mu to
umożliwił. Jak dają, to trzeba brać i nie za-
stanawiać się, jak mogłoby lepiej funkcjo-
nować.

To katastrofa dla kraju, która powo-
li zaczyna być widoczna – kiedy po wiel-
kiej inflacji przyjdą wielkie odsetki, los fran-
kowiczów podzielią kredytobiorcy w zło-
tych i banki będą się uginać pod ciężarem
złych kredytów.

To co będzie dalej?

– Zamiast na usługi publiczne i transfery
socjalne rząd będzie wydawać coraz wię-
cej na obsługę długu – już to robi, bo pla-
ci większe odsetki niż Grecja – kurs zło-
tego pójdzie ostro w dół, Polakom zno-
wu będzie się opłacać pracować w Niem-
czech, Holandii, Szwecji i Francji. Dobrze
się będzie żyło tym, którzy mają nieru-
chomości, oszczędności i dochody w ob-
cych walutach oraz mieszkają w dużych
miastach. Reszta będzie rozwijać go-
spodarkę obcą, a nie polską, by zacyto-
wać klasyka.

Ciągłe powtarzam: dla mnie rządy PiS
to sam miód. Płacę niskie podatki, do-
staję 500+, a kiedy pójdę na emerytu-
rę, pewnie dostanę 17. albo 18. emerytu-
rę, na które składać się będą ci Nielicz-
ni młodzi, którzy zostali w kraju i pracu-
ją, oraz przyszłe pokolenia, które spłacą
długi, jakie rząd zaciąga, by kupować gło-
sy emerytów. Tylko współczuję Polakom,
zwłaszcza tym młodszym, których koszt-
em się to odbywa. I wyborcom PiS, bo to
ich od ośmiu lat ktoś systematycznie ro-
bi w konia.

**Czyli współczuje pan wielu moim krew-
nym głosującym na PiS. Oni mówią mi
tak: PiS podwyższył stawkę godzinową
i pensję minimalną, obniżył wiek eme-
rytalny, dał 500+ i jeszcze „zauważył
ich” i „docenił”. Z kolei Tusk to dla nich
„niemiecki zdrajca” podporządkowany
Merkel, który nie ma dla takich prostych
Polaków jak oni żadnej propozycji. Jak
by pan ich przekonał, że ktoś ich „robi
w konia”? W ogóle umiałby pan usiąść
z nimi do stołu?**

– Robiłem to wiele razy. Nie uważam, że
moim zadaniem jest zmienianie ich po-
głądów. Sami muszą tego chcieć. W cza-
sie takich rozmów jestem bardzo grzeczny,
uprzejmy i tylko zadaję pytania.

To zupełnie jak ja.

– (*śmiech*) Nie podchwytliwe i wredne, tyl-
ko takie spokojne, które pokazują, że inte-
resują mnie ich poglądy i jak do nich doszli.
Wtedy sprzeczności same wychodzą. Nie
ma sensu konfrontować ich z moimi poglą-
dami, bo to nic nie daje poza atmosferą jak

w radiu czy telewizji, gdzie prowadząca cią-
gle pyta, dlaczego polityk się z nią nie zga-
dza. Ja ich konfrontuję z ich własnymi po-
głądami.

Kiedy podczas pandemii miałem kon-
takt z antyszczepionkowcami, to za-
wsze im serdecznie dziękowałem, że się
nie szczepili, bo dzięki temu moi kole-
dzy i przyjaciele w Afryce mogą się szyb-
ciej szczepić. To prawda, bo UE ekspor-
towała nieużywane szczepionki za dar-
mo do Afryki. Ale antyszczepionkowcy
często są też rasistami i wtedy nagle sta-
ją przed dylematem, że ich decyzja, z któ-
rej są tak dumni, jest korzystna dla kogoś,
kogo wcale nie chcą popierać, i że są, jak
to się kiedyś mówiło w Polsce, „sto lat za
Murzynami”.

**Ale zgadza się pan, że dla wyborców PiS
powinno się mieć jakąś konkretną opo-
wieść? Czy wystarczy anti-PiS?**

– Zależy, co się chce osiągnąć. Aby zdobyć
władzę, nie trzeba z nimi rozmawiać. Kam-
panie wyborcze nie polegają na tym, że jed-
na strona przekonuje zwolenników drugiej
do siebie, tylko na tym, by przyciągnąć nie-
zdecydowanych. I to z nimi trzeba rozmawiać.
Przekonywanie twardego elektoratu
PiS jest tak samo bezsensowne jak prze-
konywanie twardego elektoratu PSL, PO
czy lewicy.

Ale ja nie kandyduję. I chcę z nimi roz-
mawiać z czysto egoistycznych powo-
dów: by poznać ich ogłąd świata, ich spo-
sób myślenia. No i dlatego, że są ludźmi.
W Rwandzie rozmawiałem z nacjonalis-
tami Hutu na emigracji i z przedstawiciela-
mi władzy, którzy mają zadanie ich
znaleźć i aresztować, ewentualnie porwać
i zabić. Dlaczego rozmowa z wyborcą al-
bo politykiem PiS miałaby mnie przera-
zić? Jeśli ma coś ciekawego do powiedze-
nia – dawaj. Jeśli tylko powtarza frazesy
prezesa, to sobie darujmy – obojętnie, do
jakiej partii należy.

*Dla mnie rządy PiS-u to sam miód. Płacę niskie podatki,
dostaję 500+, dostanę 17. albo 18. emeryturę, na które składać się
będą ci Nieliczni młodzi, którzy zostali w kraju,
oraz przyszłe pokolenia, które spłacą długi, jakie rząd zaciąga,
by kupować głosy emerytów*

**A czy są jakieś rzeczy, za które pan PiS
docenia? Czy coś robią dobrze?**

– Na pewno dobrze robili, że nie negowali
pandemii. Przy tym poziomie obskuranty-
zmu i takich wpływach antyszczepionkow-
ców w obozie władzy to było realne zagro-
żenie. Zwłaszcza że Trump, Bolsonaro i Łu-
kaszenka tak robili. Można było ogłaszać, że
to rodzaj grypy, nie wprowadzać żadnych
restrykcji, nie kupować szczepionek, knaj-
py i szkoły otwarte, a potem kazać TVP fil-
mować specjalnie opróżnione OIOM-y na
dowód, że w szpitalach jest wszystko cacy.
Przy całej krytyce o podporządkowaniu re-
strykcji pandemicznych potrzebom wybor-
czym, o marnotrawstwie i korupcji przy ku-
powaniu masek czy respiratorów – sama
kampania szczepień była dobrze przygo-
towana i przeprowadzona, o niebo lepiej niż
w Niemczech, gdzie lekarze i aptekarze mu-
sieli ręcznie wpisywać dane o szczepionych
do systemu informatycznego, bo zapomnia-
no o digitalizacji.

I to tyle? Nisko pan ustawia poprzeczkę.

– Uważam, że wszystko, co robi PiS w ob-
szarze tak zwanej obyczajowości – LGBT,
mniejszości, uchodźcy, emancypacja kobiet,
aborcja – jest genialne.

**Ha, a więc jednak blisko panu do tego
„Do Rzeczy”!**

– (*śmiech*) Ja wiem, że to się panu ma-
rzy, panie Grzegorzu, ale chodzi mi o to,
że wszystkie te działania PiS niesamowicie
przyspieszą zmiany obyczajowe i mobi-
lizują młodych, dobrze wykształconych
mieszkańców dużych miast, zwłaszcza ko-
biety. A taki minister Czarnek na przykład,
o, on potrafi polityzować i zbuntować każ-
dą szkołę!

Wiem, o czym mówię, w Badenii-Wir-
tembergii tak robił w latach 80. minister
edukacji z CDU. Też przy każdej okazji pro-
wokował, obrażał, wprowadzał jakiś kiczowaty
pseudopatriotyzm i staroświeckie cno-
ty do szkolnictwa. Całe pokolenia uczniów
pchał w ramiona Zielonych i lewicy.

Dlatego mnie to wszystko specjalnie nie
niepokoi. Naprawdę zaniepokojeni powinni
być konserwatyści. PiS doprowadzi do tego,
że za parę lat konserwatyzm w Polsce nie
będzie się kojarzyć z Jerzy Buzkiem, Wiesławem
Chrzanowskim czy Aleksandrem Hal-
lem. Młodzi będą myśleć, że konserwatysta
to ktoś, kto jest uczciwy jak Czarnecki, elo-
kwentny jak Kaczyński, skromny jak Gła-
piński i umiarkowany jak Terlecki, a do te-
go cały czas myśli tylko o seksie, niczym Ję-
draszewski, i jednocześnie ma wyrzuty su-
mienia. Oto obraz polskiego konserwaty-
zmu po PiS. ●

***Klaus Dieter Bachmann**

• ur. w 1963 r., dziennikarz, publicysta, histo-
ryk, politolog. Podczas studiów był radnym
miejskim w Bruchsalu, w Polsce zamieszkał
w 1988 r., był korespondentem wielu nie-
mieckich i austriackich gazet w Warszawie,
Kijowie, Mińsku i Wilnie. Na początku XXI w.
korespondent w Brukseli i krajach Beneluxu.
Do Polski wrócił w 2004 r., by zostać kierow-
nikiem katedry politologii na Uniwersytecie
Wrocławskim. Obecnie wykładowca Uni-
wersytetu SWPS. Autor wielu książek i prac
naukowych, po polsku ukazały się „Polska
kaczka w europejskim stawie. Polskie szanse
i wyzwania po przystąpieniu do UE”, „Długi
cień Trzeciej Rzeszy” i „Problem z Guliwerem.
Dlaczego Niemcy stają się coraz większe,
a Europa coraz mniejsza”





STOPY LEPIEJ MROZIĆ

Nowoczesna edukacja, sprawna administracja i skuteczna, dostępna powszechnie służba zdrowia są właśnie dzisiaj, w środku szalejącej inflacji, konieczną i bardzo zyskową inwestycją

Robert Drachal*

Stopy procentowe niewiele pomogą, jeżeli nie uzdrowimy gruntownie struktury państwa i społeczeństwa. Widać to wyraźnie, porównując poziom inflacji w Polsce oraz w krajach Unii Europejskiej, zwłaszcza w państwach strefy euro. Postulaty programowe Platformy Obywatelskiej: zamrożenie rat kredytów do wysokości z grudnia 2021 roku, podniesienie o 20 proc. pensji w sferze budżetowej oraz hasło traktowania mieszkania jako prawa, nie zaś przywileju, krytykowane są z rozmaitych pozycji i w różnych środowiskach oraz przedstawiane jako przejaw przedwyborczego populizmu. Nic bardziej błędnego.

W tym ataku trudno doszukać się matematycznego, ekonomicznego i systemowego myślenia. Jest to często kopia powierzchownych, odległych od matematycznej wyobraźni i wielowymiarowego

postrzegania ekonomii popularnych akademickich podręczników. Te infantylne analizy, a często po prostu dogmaty, dalekie są od rozpatrywania przypadków ekstremalnych. A z takimi mamy do czynienia dzisiaj w Polsce. Bowiem nie ma obecnie u nas ani demokratycznego państwa prawa, ani ekonomicznie, nowoczesnie i głęboko wykształconego, obywatelskiego społeczeństwa. Toteż klasyczne mechanizmy, znane z zupełnie elementarnej ekonomii, nie mają dzisiaj w Polsce prostego przełożenia.

Przyczyny dużo wyższej inflacji w Polsce niż w krajach UE oraz strefy euro są o wiele głębsze i bardziej zróżnicowane niż tylko poziom stóp procentowych i podaż pieniądza. Sprawdzone terapie, które bywają skuteczne w dojrzałych demokratycznych gospodarkach, w Polsce nabiorą mocy dopiero wówczas, gdy równolegle nastąpi gruntowna przebudowa struktur państwa i mentalności społecznej. I w znacznym stopniu takiej przebudowie służy z założenia program Platformy.

Ekipa sprawująca w Polsce władzę od 2015 roku poprzez błędne działania ekonomiczne, polityczne i społeczne doprowadziła do sytuacji, w której nie mamy dziś żadnej luki deflacyjnej w znaczeniu znacznym szerszym niż podręcznikowe rozumienie tego terminu. Chodzi o różnicę pomiędzy potencjalnymi możliwościami rozwoju cywilizacyjnego i gospodarczego polskiego społeczeństwa a możliwościami, jakie od 2015 roku w zakresie mentalnym, naukowym, edukacyjnym, kultury prawnej, budowania społeczeństwa obywatelskiego i demokratycznego państwa prawa, wreszcie relacji z cywilizacją Zachodu stwarza aktualny polski rząd. Możemy powiedzieć z dużym przybliżeniem, że dzisiaj w Polsce poziom produkcji potencjalnej pokrywa się z poziomem produkcji rzeczywistej. Luka deflacyjna pojawiłaby się dopiero jakiś czas po zmianie władzy, systemu edukacji, świadomości społecznej, poziomu nauki i technologii, wreszcie ucywilizowania systemu prawnego i tego wszystkiego, co nazywamy demokratycznym państwem pra-

• **Spotkanie Jarosława Kaczyńskiego z mieszkańcami Sochaczewa. 8 czerwca 2022 r.**
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



wa i obywatelskim społeczeństwem oraz gospodarką opartą na wiedzy.

ZAMROŻENIE STÓP KREDYTÓW PARADOKSALNIE MOŻE OSŁABIĆ INFLACJĘ

Jeżeli zamrozimy raty starych i nowych kredytów hipotecznych na poziomie z grudnia 2021 roku, zwiększy się popyt na nowe kredyty. Określona pula pieniędzy będzie przeznaczana na wkłady własne i kolejne strumienie rat związanych z tymi kredytami.

Dlatego trzeba oszacować, czy suma nowych wkładów własnych plus strumienie nowych rat, przy oprocentowaniu z grudnia 2021 roku, będzie większa niż suma różnic pomiędzy aktualną wielkością rat i wielkością z grudnia 2021 roku dla wszystkich już uruchomionych kredytów, liczonych przy aktualnych stopach procentowych. Jeżeli nawet druga z tych wielkości byłaby większa, choć jest to mało prawdopodobne, to do wielkości pierwszej trzeba dodać długofalowe korzyści społeczne, które również można ilościowo i ekonomicznie oszacować. Punkt trzeci programu Platformy – emisja obligacji – dodatkowo zabezpiecza liczbową równowagę.

A dodatkowo przy niższym oprocentowaniu kredytów udział kapitału w każdej

racie będzie procentowo wyższy. Przy ratach annuitetowych jest to ekonomicznie i psychologicznie niezmiernie istotne, bowiem w początkowym okresie kapitał spłacany jest w minimalnym stopniu.

MIESZKANIE JAKO PRAWO

W rezultacie zamrożenia rat kredytów hipotecznych mogą wzrosnąć ceny mieszkań, bowiem wzrośnie popyt. Jednak państwo ma sposoby zwiększenia podaży mieszkań poprzez ułatwienie firmom otwierania nowych inwestycji na rynku nieruchomości, odbiurokratyzowanie całego procesu, nowe tereny pod zabudowę, plany zagospodarowania przestrzennego itd. Może równocześnie ściągać pieniądze z rynku, skłaniając banki państwowe do podniesienia oprocentowania lokat przy racjonalnym oprocentowaniu kredytów hipotecznych, zachęcającym do uruchomienia nowych kredytów. Istnieje optymalny stosunek oprocentowania kredytów do oprocentowania lokat. To arytmetyczny elementarz.

Mieszkanie prawem, a nie przywilejem nie jest przejawem populizmu. Ma głębokie i oczywiste uzasadnienie ekonomiczne. Od wielu lat znaczna część polskich obywateli dobrze wykształconych, o najwyższych kwalifikacjach, w tym często o głębokim doświadczeniu zawodowym, wyjeżdża z Polski z powodu sytuacji mieszkaniowej. Jako społeczeństwo inwestujemy w wykształcenie młodych ludzi, po czym ich wiedza, inteligencja i kwalifikacje nie przysparzają społeczeństwu jakichkolwiek korzyści. Z punktu widzenia wolnorynkowej ekonomii jest to klasycznie nietrafiona inwestycja. Dlatego skuteczny program mieszkaniowy jest elementarnym rynkowym, inwestycyjnym instrumentem, o wyjątkowo dużej, długookresowej stopie zwrotu i niemal zerowym współczynniku ryzyka.

Dziś rosnąca inflacja wywołuje dramatyczny wzrost kosztów materiałów i robocizny w budownictwie. Rosną ceny mieszkań, a kryzys w sektorze kredytów będzie skutkował mniejszą zdolnością kredytową i spadkiem popytu na coraz droższe mieszkania. Być może wiele firm budowlanych przejdzie do innych sektorów gospodarki. Spadnie podaż na rynku pierwotnym. Lecz popyt ze względów społecznych pozostanie. Przeniesie się prawdopodobnie na rynek wtórny, gdzie ceny zaczną jeszcze bardziej rosnąć.

Tymczasem w rozsądnie zarządzanym państwie, obok nauki, edukacji i służby zdrowia, długofalowe inwestowanie w standard czy komfort życia obywateli jest z punktu widzenia matematyki inwestycyjnej jedną z najbardziej racjonalnych strategii. Przy niewielkim ryzyku daje społecznie i gospodarczo stabilną i długofalową stopę zwrotu.

OBLIGACJE, NIE WAKACJE KREDYTOWE

PiS w kampaniach wyborczych zaciekle walczył o przejmowanie banków przez państwo. Podkreślał, że będą one wówczas ściśle współpracowały z rządem. Tymczasem wysokość lokat w Pekao SA i PKO BP jest dzisiaj śmiesznie niska. Poza dramatycznym wzrostem rat kredytów, który przynosi bankom ogromne korzyści, a klientów stawia na granicy wypłacalności, po stronie lokat nie widać działań antyinflacyjnych. Przecież wzrost oprocentowania lokat w tych bankach wpłynąłby na wysokość oprocentowania w bankach pozostałych. Obligacje zaproponowane przez Platformę są konkurencją wobec lokowania na niski procent w bankach oraz dodatkowym instrumentem zabezpieczającym średnio-terminową równowagę. Natomiast proponowane przez rząd wakacje podatkowe nie są prawidłowym rozwiązaniem, patrząc na nie nawet z poziomu elementarnej matematyki. Ale przy aktualnym poziomie wykształcenia społeczeństwa w zakresie na-

uk dedukcyjnych pomysł ten, jak widać, nie budzi poważnych społecznych zastrzeżeń.

Wyobraźmy sobie sytuację, że z dnia na dzień pojawiła się w Polsce poważna, udokumentowana naukowo informacja o możliwości stworzenia, wyprodukowania i eksportowania przełomowego dla nauki i światowej technologii produktu. Wyobraźmy sobie również, że badania geologiczne dowiodły, iż kraj nasz może być znaczącym eksporterem strategicznego surowca. Warunkiem jest jednak zainwestowanie w każde z tych przedsięwzięć sumy porównywalnej

Im więcej PiS, tym gorsze szkolnictwo, im gorsze szkolnictwo, tym większa aprobata dla pisowskiej polityki

z tą, jaka jest potrzebna do podniesienia wynagrodzenia w sferze budżetowej o 20 proc. albo w program mieszkaniowy. W pierwszych dwóch przypadkach nie mielibyśmy wątpliwości, że dodatkowe pieniądze na rozwój tych projektów mają szansę zostać znakomicie spożytkowane. Wysoka inflacja nie byłaby w takiej sytuacji uważana za istotną przeszkodę. Ale tak samo jest z rozpoczęciem w Polsce naprawiania budżetowej sfery i mieszkaniowego bezpieczeństwa. Są to inwestycje o prawdopodobnie wyższej stopie zwrotu i mniejszym wskaźniku ryzyka.

QE, CZYLI JAK TO SIĘ ROBI W STANACH

W sytuacji galopującej inflacji pojawienie się na rynku dodatkowych środków pieniężnych istotnie powinno mieć głębokie uzasadnienie ekonomiczne. Musi to być bardzo dobra inwestycja o wysokiej stopie zwrotu i małym ryzyku. Takie cechy miał mechanizm poluzowania polityki pieniężnej w Stanach Zjednoczonych, zainicjowany w 2007 roku, znany pod nazwą quantitative easing, QE, czyli zwiększenie podaży pieniądza w obiegu. Interwencje monetarne i fiskalne takie jak QE i TARP, stosowane przez Fed i rząd USA w czasie kryzysu, dały w 2010 roku zysk ze stopą zwrotu ponad 8 proc., zaś w przeważającej opinii ekspertów pozytywnie wpłynęły na rynki finansowe i przyczyniły się do złagodzenia recesji. Ben Bernanke, były szef Fed, stwierdził w 2016 roku, że poluzowanie ilościowe może być uzasadnione ze względu na zagrożenie kryzysem oraz ograniczenia polityczne i że dzięki takim instrumentom udało się uniknąć spadku zatrudnienia w gospodarce amerykańskiej o blisko 2 mln miejsc pracy.

Przyjrzyjmy się dokładniej QE. Wprawdzie instrument ten zastosowany został w okresie bardzo niskich stóp procentowych, to jednak dodatkowy strumień finansowych środków przysporzył wymiernych ekonomicznych i społecznych korzyści, zaś zgodnie z kosztownym i wyizolowanym od innych czynników pojmowaniem związku ilości pieniądza z inflacją powinien był pograżyć amerykańską gospodarkę.

Oczywiście, jeżeli chodzi o stopy procentowe, jest to sytuacja diametralnie różna w stosunku do tej, jaka występuje dzisiaj w Polsce. Jednak poluzowanie ma miejsce szczególnie wtedy, gdy mamy do czynienia z recesją gospodarczą. Jeżeli niebezpieczeństwo recesji może się pojawić mimo bardzo niskich stóp procentowych i bank centralny nie waha się wówczas zwiększać emisji pieniądza do pobudzenia gospodarki, to czy powinno się a priori w każdej możliwej sytuacji, w tym w sytuacji rosnących dramatycznie stóp, kiedy

perspektywa stagflacji staje się pewna, krytykować bez zaawansowanej i szczegółowej analizy każde zwiększanie podaży pieniądza? Szczególnie zaś krytykować takie zwiększenie, którego celem jest długofalowe i trwale uzdrowienie sfery budżetowej, w tym zwłaszcza szkolnictwa tak, aby dobrze wykształcone, rozumne społeczeństwo nie poddawało się manipulacji i propagandzie cynicznych polityków, a czego wynikiem jest w znacznej mierze właśnie obecna dziś w Polsce potworna inflacja.

Istotnie, w Stanach wstępnie inflacja

oscylowała wokół 2 procent. Program QE stwarzał ryzyko wzrostu o blisko 4 punkty procentowe. Ale i ten poziom nie został osiągnięty. W Polsce wzrost płac w sferze budżetowej skutkowałby prawdopodobnie mniejszym wzrostem inflacji z tego tytułu niż 4 punkty procentowe, przy punkcie wyjściowym nie 2, ale 16 procent.

Po wybuchu kryzysu w 2007 roku działania ekonomiczne w Stanach rozciągnięte były w czasie. System Rezerwy Federalnej w marcu 2009 roku, już po obniżeniu stóp, wykupił przez okres jednego roku obligacje skarbu państwa oraz hipoteczne listy zastawne o skumulowanej wartości blisko 1,25 bln dol. w programie QE1. Potem był program QE2 o wartości 1 bln dol. przez okres ośmiu miesięcy oraz QE3 bez granicy czasowej. Podobne programy realizowały równocześnie inne banki centralne, w tym Japonii i Anglii.

A jak to się miało do inflacji? Na przestrzeni ostatnich 16 lat najwyższą stopę dyskontową Fed odnotowano w roku 2007, a więc na początku kryzysu finansowego. Natomiast potem nigdy, do dzisiaj, nie osiągnęła ona tak wysokiego poziomu, a nawet z niewielkimi wahaniami systematycznie malała z lokalnym maksimum równym 3 proc. w roku 2018, aby w rezultacie zejść do poziomu 0,25 proc. A przecież od początku działań związanych z QE miał miejsce bardzo znaczny przyrost bazy monetarnej, która w latach 2007-13 powiększyła się z ponad 800 mld dol. do ponad 3 bln dol.

Wzrost podaży pieniądza od początku kryzysu finansowego nie doprowadził do inflacyjnej katastrofy. W okresie tym parametr ten nie przekroczył 4 proc., a niemal przez cały czas był niższy. Operacje poluzowania nie doprowadziły do jakiegokolwiek dramatycznych wydarzeń w zakresie stabilności tempa wzrostu amerykańskiego PKB ani nie wpłynęły istotnie na poziom inflacji.

500+ POWINNO ZOSTAĆ, ALE...

Dzisiaj w Polsce z powodu fatalnej polityki społecznej i gospodarczej obecnego rządu zmierzamy do głębokiej i długotrwałej stagflacji. Ale podniesienie pensji w budżetówce o 20 proc. jest właśnie uzasadnioną ekonomicznie inwestycją. Nowoczesna edukacja, sprawna administracja i skuteczna, dostępna powszechnie służba zdrowia są właśnie dzisiaj, w środku zalegającej inflacji, konieczną i bardzo zyskowną inwestycją. Roztropny inwestor, lokując w przedsięwzięcie finansowe środki, kieruje się głównie wysokością dwóch podstawowych parametrów: stopą zysku oraz współczynnikiem ryzyka.

Dlatego należy porównać pod kątem stopy zysku i współczynnika ryzyka dla polskiego społeczeństwa, które jest inwestorem, program 500+, który kosztuje nas wszystkich rocznie około 40 mld złotych, zaś sama jego obsługa około 1,8 mld złotych, z programem podniesienia o 20 proc. pensji w sferze budżetowej i rozpoczęciem programu mieszkaniowego.

Jest oczywiste, że program 500+ powinien po wyborczym zwycięstwie zostać z czysto psychologicznych powodów zachowany. Ale zarazem musi zostać udoskonalony zestawem działań ekonomicznie bardziej efektywnym, matematycznie zdecydowanie bardziej inteligentnym. Aktualna władza prowadzi bowiem rodziny wielodzietne o niskich albo przeciętnych dochodach do ekonomicznej katastrofy.

W momencie przejmowania władzy przez PiS mediana wynagrodzeń netto w Polsce wynosiła około 2500 złotych. Istniała deflacja w wysokości 0,9 proc. Mediana netto prognozowana na koniec bieżącego roku wynosi około 3400 złotych. Jeżeli na koniec bieżącego roku inflacja wyniosłaby 20 proc., to po uwzględnieniu wartości pieniądza w czasie dana osoba traciłaby około 45 złotych miesięcznie według wartości pieniądza z roku 2015. Procentowo podobne straty występują w odniesieniu złotówki wobec głównych zachodnich walut. Załóżmy, że tempo wzrostu inflacji utrzyma się na obecnym poziomie. Wówczas zgodnie z poziomem prognozowanego wzrostu mediany wynagrodzeń w rodzinie, w której mamy dwoje pracujących rodziców oraz dwoje dzieci, na które pobierane jest po 500+, w przyszłym roku realne dochody będą mniejsze niż w ostatnim roku rządów Platformy Obywatelskiej. Jest to szczególnie prawdopodobne w przypadku bardzo głębokiej stagflacji.

TRZY DROGI

Kosztom potwornej inflacji i wieloletniej recesji PiS rozdaje pieniądze obywateli, aby pozostać u władzy. Platforma proponuje wydatki mające na celu rozpoczęcie procesu reformowania państwa i świadomości społecznej, tak aby obywatele dzięki wykształceniu i wiedzy zawczasu nie dopuszczali do tak drastycznych procesów jak dzisiejsza inflacja i przyszła recesja.

Istnieją trzy oczywiste drogi, aby zniwelować różnicę pomiędzy popytem a podażą. Pierwsza: zwiększyć albo zahamować popyt i zarazem znacznie zwiększyć podaż, druga: zmniejszyć popyt oraz zwiększyć podaż, wreszcie trzecia: zmniejszyć albo zahamować podaż i zarazem bardzo zmniejszyć popyt.

Spolecznie akceptowalny jest jedynie wariant pierwszy. Jednak przy obecnej władzy nie ma najmniejszych szans na jego realizację. Przy kompetencjach rządzącego ugrupowania najbardziej prawdopodobny wydaje się ostatni wariant, o ile w ogóle uda się w rozsądnym czasie zrównać ze sobą wspomniane wielkości. Ale taki scenariusz oznacza przecież społeczną, ekonomiczną, cywilizacyjną katastrofę.

Tempo inflacji w porównaniu z państwami zachodniej Europy pokazuje nieudolność rządu, tragiczne skutki bezmyślnej strategii braku euro i forsowanej przez władzę obsesyjnej, antyintelektualnej i antyekonomicznej ideologii, która o lata świetlne oddalona jest od matematyki finansowej. Ten rząd poświłci Polskę, aby tylko nie dopuścić do tego, żeby decyzje o obowiązującej w kraju walucie zapadały poza jego kompetencjami i prerogatywami. Przecież dla rządzących jest najważniejsze, aby przez kolejną kadencję oni sprawowali władzę. Do tego muszą mieć kontrolę na krajową walutą. Temu podporządkowana jest w całości sfera społeczna i ekonomiczna. A zapaść w edukacji i administracji jest dla tej władzy niezmiernie korzystna. Rządzącym łatwo jest takim społeczeństwem skutecznie sterować.

STOPY I INFLACJA

Dyskusja na temat sposobu walki z inflacją koncentruje się dzisiaj głównie na operowaniu stopami procentowymi. A stano-wisko to nie uwzględnia przecież otoczenia cywilizacyjnego, społecznego, prawnego, a zwłaszcza poziomu technologicznego i naukowego polskiej gospodarki. Dlatego możliwości skutecznej walki z inflacją jedynie za pomocą podnoszenia stóp są po siedmiu latach rządów PiS ekstremalnie ograniczone, aby nie powiedzieć: po prostu niemożliwe. I właśnie dlatego należy jak najszybciej rozpocząć reformy w strukturze państwa, jego roli i odpowiedzialności wobec obywateli, poziomie wolności gospodarczej, stałości i pewności obowiązującego prawa, ale głównie w zakresie edukacji na wszystkich jej poziomach.

Obecny rząd tego nie zrobi, bo uderzy to w jego interesy, zaś w dalszej perspektywie pozbawi ten rząd władzy.

Mieszkanie prawem, a nie przywilejem nie jest przejawem populizmu. Ma głębokie i oczywiste uzasadnienie ekonomiczne

Sfera budżetowa, która w rozwiniętych krajach ma kluczowe znaczenie dla sprawności i ekonomicznej siły państwa, możliwości skutecznego i szybkiego reagowania na ekonomiczne zagrożenia, gdzie jednym z nich jest galopująca inflacja, w Polsce znajduje się w tragicznej kondycji.

PiS doprowadził przez siedem lat do całkowitego zniwelowania potencjału społecznego, edukacyjnego i technologicznego, do kompletnej niezdolności do szybkiego mobilizowania społeczeństwa i gospodarki, do podejmowania skutecznych działań intelektualnych, organizacyjnych i inwestycyjnych, wreszcie do podjęcia zdecydowanych inicjatyw o wysokiej konkurencyjności technologicznej i naukowej na międzynarodowej arenie gospodarczej.

Dlatego, choć realizacja postulatów Platformy być może spowoduje krótkotrwałe impulsy inflacyjny, stanie się jednak pierwszym krokiem w ciągu działań zabezpieczających stagflacji.

ZAPAŚĆ WYOBRAŹNI

Powodem zwycięstwa PiS w wyborach jest nie tylko populizm, lecz, co może wydać się na pierwszy rzut oka bardzo dziwne, właśnie stan sfery budżetowej.

Dlaczego? Bo cechuje ją anachroniczny styl funkcjonowania, całkowicie sprzeczny ze standardami nowoczesnego, europejskiego, demokratycznego państwa. Styl ten petryfikuje niewyobrażalnie wsteczną społeczną i polityczną świadomość tak wielu obywateli, że ma to swój bardzo mocny wyraz w wynikach wyborczych.

Większość z nich nie wyobraża sobie bowiem, że w nowoczesnym państwie praca, w obywatelskim społeczeństwie aktywnym politycznie, społecznie i ekonomicznie cała sfera budżetowa powinna funkcjonować zupełnie inaczej.

Wśród wielu osób, które potem oddają swój głos w wyborach, rodzi się przekonanie, że sytuacja obecna jest przecież zupełnie normalna, a wszelkie próby postępowych, idących ku nowoczesności i demokratyzacji zmian są z gruntu nierealne, jedynie teoretyczne, a może po prostu zbęd-

ne. Że może dzisiejsze państwo jest two-rem normalnym, wraz z powszechną prywatą, brakiem szerokiego postrzegania struktury, istoty oraz interesów państwa, z brakiem utożsamiania się z jego wspólnotą i interesami. Przekłada się to na polityczne wybory, w których myślenie państwotwórcze, kategoriami wspólnoty rozmaitych szczebli, staje się z dnia na dzień coraz bardziej marginalne. U coraz większej liczby wyborców dominuje bowiem myślenie chwilowe, zawężone do najbliższej perspektywy, do bezpośredniego otoczenia społecznego i materialnego i głównie do stanu własnego portfela.

ARYTMETYKA WYBORCZA

Dotyczy to szczególnie kształtu oświaty i szkolnictwa wszelkich szczebli. PiS z premedytacją doprowadza ten sektor pod względem programowym i organizacyjnym

nia przez wystarczającą liczbę wyborców racjonalnych, bazujących na fundamentach naukowych programów i rozwiązań w ekonomii. To bardzo ważny warunek sprawnego funkcjonowania dojrzałej demokracji. W kraju o rozwiniętym ustroju demokratycznym odpowiednio duży procent wyborców musi posiadać gruntowne wykształcenie, nowoczesną wiedzę i szeroką wyobraźnię. Z punktu widzenia wyborczej arytmetyki musi być wystarczająco dużo ludzi inteligentnych. Dotyczy to kwestii ekonomicznych, społecznych i politycznych. To oni muszą liczbowo nadawać ton w polityce. W przeciwnym razie w wyniku demokratycznych wyborów władzę przejmą osoby pozbawione kompetencji, wyobraźni, wiedzy i inteligencji, o poglądach szkodliwych dla kraju i obywateli. I taką od siedmiu lat mamy sytuację w Polsce.

NAUKA I EDUKACJA, CZYLI INWESTYCJA

Nowoczesna gospodarka oparta jest na wiedzy. W wielu wysoko rozwiniętych krajach zawód nauczyciela uważany jest za jeden z najważniejszych i dobrze wynagradzany.

Nowoczesne państwo i wykształcone, rozumne społeczeństwo jest wartością większą niż chwilowy, nawet silny, impuls inflacyjny związany z postulowanym przez Platformę zwiększeniem wynagrodzeń w sferze budżetowej. Dlatego uparcie serwowane oszczędności na nauczycielskich pensjach, ale także w całej budżetowej sferze, to tak, jakby zmniejszać koszty funkcjonowania firmy o 2 proc., powodując, że jej wartość spadnie o połowę i żałować niewielkich pieniędzy, nawet gdyby w wyniku tej skromnej inwestycji wartość firmy miała się podwoić. Tak jest dzisiaj z polską oświatą, a także z dużą częścią sfery budżetowej, w tym z uspołecznioną służbą zdrowia i administracją.

Zmiany w sferze budżetowej, zwłaszcza w oświacie, powinny być takie, aby myślenie nauczycieli nie koncentrowało się głównie na zachowaniu posady, utrzymaniu poprawnych relacji z przełożonymi i rodzicami oraz dorobieniu do skromnej pensji. Muszą zachować intelektualną swobodę, niezawisłość polityczną i światopoglądową. Jednym, choć nie jednym, warunkiem takich przemian jest materialna niezależność.

Tymczasem wyraźnie widać, że pisowska władza nie potrzebuje nowoczesnej edukacji i uwiera ją polska inteligencja. Zdaje sobie sprawę, że samodzielni intelektualnie obywatele nie zaaprobuja serwowanej przez PiS irracjonalnej i antynaukowej narracji. I dlatego PiS nadal będzie płacił nauczycielom tak, jak wspomaga się żebraków.

Dzisiaj pieniądze PiS wykorzystuje w celu utrzymania się u władzy, kosztem zapaści cywilizacyjnej państwa i trwałego spadku standardu życia obywateli. Naprawa państwa, zwłaszcza w okresie rosnącej inflacji, zgodna z postulatami Platformy, będzie ekstremalnie trudna. Jeśli tego jednak zaniechamy, rosnące stopy procentowe i galopująca inflacja, drogie kredyty i słabnący złoty na długie lata rozmontują i pogrążą polskie społeczeństwo w stagflacyjnym marazmie. ●



*Robert Drachal

• matematyk, wykładowca Collegium Civitas, członek zarządu Unii Europejskich Demokratów

Lewicowy pomysł na tolerancję

Jeśliś liberal, jak się nie odwrócisz, wrażliwą część ciała zawsze wystawisz do uderzenia.

Marcin Matczak*



Tolerancja wydaje się czymś dobrym – Wolter pisał o niej, że jest znakiem prawdziwego człowieczeństwa i chyba tak, w duchu Oświecenia, zwykliśmy ją postrzegać. Przecież gdy mówimy o kimś, że jest tolerancyjny, raczej chwalimy, niż obrażamy.

Jednak Goethe pisał, że tolerować znaczy obrażać. Tolerancja ma w sobie element odrzucenia: bez sensu jest powiedzieć, że toleruję coś, co uwielbiam. Toleruję coś, czego wcale nie uwielbiam, ale z jakichś powodów nie zwalczam tego i pozwalam temu czemuś być. Tolerowanie ma w sobie coś z obrażania, bo toleruje się coś, co uważa się za złe. Stąd według Goethego tolerancja powinna być tylko stanem przejściowym na drodze do akceptacji.

Potwierdza to jej łaciński źródłosłów – tolerować to znosić, a nawet cierpieć. Czyżby więc ta piękna cecha otwartych umysłów nie była aż tak bardzo piękna? Lewicowa krytyka tolerancji zmierza w tę stronę – Wendy Brown w książce „Regulowanie niechęci” krytykuje tolerancję jako narzędzie „umacniające dominację potężnych” i „podtrzymujące odrzucenie tolerowanych”. Bo „tolerować to nie afirmować, ale warunkowo dopuszczać to, co jest niepożądane i dewiacyjne”.

Skąd mnie naszły te myśli? Z patrzenia na Polskę i nasze społeczeństwo. Tak bardzo chcemy ją podzielić na plemiona: plemię konserwatywnych talibów, egoistycznych libków i wyzwolonych lewaków. Wydaje się nam, że tak uporządkowana rzeczywistość będzie łatwiejsza do opanowania – posłuchasz pierwszych trzech zdań i już wiesz, z kim masz do czynienia, i czy warto słuchać dalej. Przeczytasz nagłówek artykułu albo tylko nazwisko autora i już dalej czytać nie musisz, bo zaszufladkowałeś. Czyż to nie prostsze niż wnikiwanie i szukanie niuansów, które mogą prowadzić do kłopotliwej myśli, że ludzie nie są jednowymiarowi i że większość do wąskich szufladek nie pasuje?

Polska polaryzacja opiera się na dwóch skrajnościach: prawicowej i lewicowej, a liberalom dostaje się z obu stron. Od prawicy dostają po głowie, bo są za bardzo postępowi. Oprócz liberalizmu ekonomicznego (z którym prawica nie ma problemu) wyznają liberalizm światopoglądowy, a więc są zbyt wyzwoleni z okowów tradycji i religii. Z lewej strony, która z liberalizmem światopoglądowym się utożsamia, dostaje się liberalom za to, że są liberalni, a nawet neoliberalni gospodarczo. Tak więc jeśliś liberal, jak się nie odwrócisz, wrażliwą część ciała zawsze wystawisz do uderzenia.

Te skrajne podejścia dobrze ilustruje George Lakoff, wybitny lingwista kognitywny, znany z prac poświęconych metaforom jako narzędziom naszego myślenia. Píše, że prawica przedstawia sobie społeczeństwo na wzór Rodziny Surowego Oj-

ca. W takim społeczeństwie jest silny lider, obrońca stałej hierarchii wartości, który bezwarunkowo narzuca ją innym i surowo karze tych, którzy się do niej nie stosują. Z kolei lewica postrzega społeczeństwo na wzór Rodziny Karmiącej Matki: państwo jest po to, by chronić, dostarczać komfortu i bezwarunkowo akceptować. Jak każda metafora, także i te upraszczają rzeczywistość. Rozumienie jednak musi zaczynać się od uproszczenia – byleby na nim się nie kończyło, jak w przypadku szufladkowania.

Ponieważ liberalom dostaje się z obu stron, warto ich wziąć w obronę, a temat tolerancji dobrze się do tego nadaje. Otóż zdaje się, że lewicowy pomysł na tolerancję to pomysł Goethego – tolerancja obraża. Nie masz tolerować, masz kochać, akceptować, bezwarunkowo, jak archetypiczna Karmiąca Matka. Problem w tym, że ludzie są bardzo różni i – przymuszani do miłości – rzadko odpowiadają miłością szczerą. Częściej buntują się przeciwko temu przymusowi, zwłaszcza jeśli mają ciążoty prawicowe. Wtedy odzywa się w nich głos Surowego Ojca, który zamiast akceptować i bezwarunkowo kochać, bezwarunkowo zakazuje tego, co niby ma być przez niego pokochane. I tak im więcej z lewej strony zmuszania, by bezwarunkowo kochać, tym więcej z prawej strony buntu, aby surowo zakazywać.

Przykładem najbardziej kontrowersyjnym jest aborcja: walka o nią już dawno toczy się w maksymalnie spolaryzowanym środowisku – po jednej i po drugiej stronie są ludzie, którzy są gotowi albo zakazać jej bezwarunkowo, albo nie tylko równie bezwarunkowo dopuścić, ale chwalić się publicznie tym, że jej dokonują. Znowu ta sama ekstremalna konfiguracja – pochwała albo zakaz. Czy nie można inaczej?

Oświeceniowa idea tolerancji nie jest spektakularna. Tolerować znaczy znosić coś, czego się nie pochwała: toleruję nie wtedy, gdy akceptuję, ale też wtedy, gdy uważam, że to, co robisz, jest złe i wolałbym, żebyś tego nie robił. Ale ponieważ chcemy żyć w pokoju, nie ingeruję w twoje życie. Oczywiście gdy to, co robisz, zacznie zagrażać naszemu pokojowemu współistnieniu, moja tolerancja się skończy.

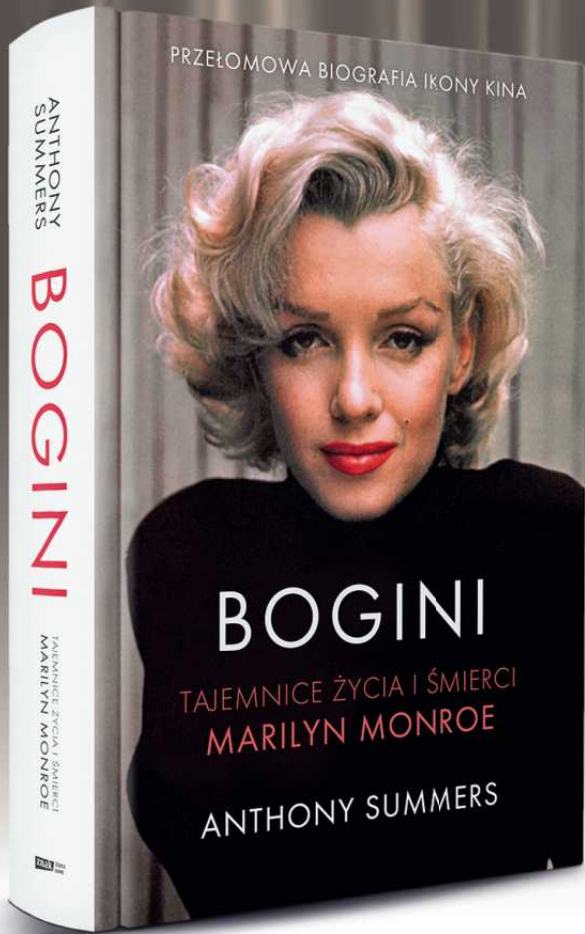
Dlatego jest ona tak trudną do kultuowania wartością – skrajności, czy to prawicowa, czy to lewicowa, zwalniają z myślenia, bo są zero-jedynkowe. A tolerancja wymaga ciągłego baczenia, czy poziom tego, co się cierpliwie znosi, nie przekracza niebezpiecznej granicy, albo czy dzięki zwiększającemu się zrozumieniu nie wymaga większej akceptacji. Baczenia, czy „tolerancji negatywnej” nie zamienić na „pozytywną” – czy od znoszenia czegoś, co jest naszym zdaniem „odchyleniem od normatywnych oczekiwań”, nie przejść do „sprzyjającej akceptacji” dla odmienności (Ija Lazari-Pawłowska).

Jest zatem tolerancja chłopcem, a raczej dziewczynką do bicia – dla prawych akceptuje za dużo, dla lewych akceptuje za mało. Jeśli jednak odrzucasz tolerancję – albo z prawej strony, bo jest dla ciebie słabością (jak dla Chestertona, dla którego to cnota ludzi pozbawionych przekonań) – albo z lewej, bo jest dla ciebie obrazą, zwiększasz ryzyko, że społeczeństwo zatraci się w walce skrajności. Potrzebujemy tej niespektakularnej, liberalnej idei tolerancji, która nie jest jak zdecydowany, równomierny marsz w raz obranym kierunku, ale raczej jak chodzenie po linie – wymaga utrzymania delikatnej równowagi, aby nie popaść w bezwarunkowy zakaz albo bezwarunkową akceptację. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę
2. Fragmentu książki „Bogini” Anthony’ego Summersa



Życie jak rollercoaster. Owiana tajemnicą śmierć. Tabuny kochanków (i kochanek). Romanse z braćmi Kennedy. Demony przeszłości. Używki. Powiązania z mafią. Oto ludzka twarz bogini XX wieku.
Kultowa biografia Marilyn Monroe teraz w nowym wydaniu, zaktualizowanym z okazji 60. rocznicy tragicznej śmierci ikony kina.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Bogini” Anthony’ego Summersa oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

BAS22LA

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

FOT. ANDREW HARNIK/AP



TRUMP MA PLAN

A w zasadzie dwa. Sąd Najwyższy przyjmie zapomnianą doktrynę, a jak nie, to wojna domowa

Andrzej Lubowski

Trump ma plan na rok 2024. Pomoże Sąd Najwyższy. Już czterech sędziów zgadza się z doktryną, która pozwoli mu wrócić do Białego Domu. A poznaliśmy ten mechanizm dzięki konserwatywnemu sędziemu, który nad lojalność wobec Republikanów, których wspierał przez dekady, przedłożył wierność konstytucji.

Przez 16 lat sędziował w federalnym sądzie apelacyjnym. Jako konserwatysta doradzał Reaganowi. Był zastępcą prokuratora generalnego u Busha seniora. Bush junior rozważał jego kandydaturę do Sądu Najwyższego.

Ale J. Michael Luttig uległ pokusie. Jako sędzia federalny zarabiał rocznie 178 tys. dol. Boeing dał mu na dzień dobry 2,8 mln pensji plus akcje. Sędzia kupił posiadłość w Kolorado i przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Mimo to Republikanie o nim pamiętali – Trump w 2018 r. rozważał jego kandydaturę na prokuratora generalnego. Ostatecznie został nim William Barr. A Luttig cieszył się życiem zamożnego emeryta.

Aż w idyllicznym Kolorado wczesnym rankiem 5 stycznia 2021 r. zadzwonił telefon.

Wieloletni przyjaciel pracujący dla wiceprezydenta USA błagał o pomoc. Trump domagał się od Mike’a Pence’a unieważnienia wyników wyborów. Wiceprezydent wiedział, że Trump przegrał, a to, na co naciskał prezydent, byłoby złamaniem konstytucji. Zależało mu na wymówce podbudowanej głosem kogoś szanowanego na prawicy. Luttig najbardziej się do tego nadawał.

Liczyły się już nie godziny, ale minuty. Pence czekał na odpowiedź, zanim usią-

dzie z Trumpem do lunchu. Chciał mu powiedzieć po raz ostatni, że nie ma wyboru, że musi policzyć głosy elektorów tak, jak je oddano. W jaki sposób ma oznajmić narodowi, że nie może pomóc Trumpowi? Tego nie wiedział nikt w sztabie Pence’a.

Luttig był przekonany, że gdyby Pence się zламаł, oznaczałoby to koniec demokracji, rewolucję i ewentualność wojny domowej. Wpadł na pomysł tweetu. Ale tweet ma nie więcej niż 180 znaków. Kilka połączonych załatwiłoby sprawę. Sędzia nie wiedział, jak to zrobić. Ale jakoś to poskładał z pomocą syna. W kilka minut po tym, gdy wysłał tweeta, „New York Times” umieścił go na pierwszej stronie jako cytatu dnia. Reszta mediów to powtórzyła.

Luttig napisał: „W myśl konstytucji jedyną odpowiedzialnością i jedyną siłą w ręku wiceprezydenta jest uczciwe zliczenie głosów kolegium elektorów, tak jak zostały one oddane. Konstytucja nie daje wiceprezydentowi mocy jakiegokolwiek zmiany oddanych głosów albo drogą odrzucenia niektórych z nich, albo jakąkolwiek inną metodą. Sposób, w jaki wiceprezydent spełnia ten konstytucyjny obowiązek, nie jest kwestią jego lojalności wobec prezydenta, podobnie jak nie byłoby testem lojalności prezydenta wobec jego wiceprezydenta to, czy prezydent zgodzi się na impeachment i sąd nad jego wiceprezydentem za przestępstwa popełnione w czasie sprawowania urzędu. Żaden prezydent ani żaden wiceprezydent nie może – lub nie powinien – uznać takiego wydarzenia za test politycznej lojalności wobec drugiej strony. A jeśli którykolwiek tak by się zachował, musiałby zaakceptować, że polityczna lojalność musi podporządkować się konstytucyjnemu nakazowi. Ani prezydenta, ani wiceprezydenta nie obowiązuje wyższa lojalności niż lojalność względem Konstytucji Stanów Zjednoczonych”.

Prokurator generalny William Barr, wierny Trumpowi przez cztery lata – ten sam, który pozbył się niewygodnych: specprokuratora Roberta Muellera, który

węszył wokół powiązań Trumpa z Kreml, i szefa FBI Jamesa Comeya – znalazł granice. Powiedział Trumpowi w grudniu 2020 r., że zarzut sfalszowanych wyborów to „bulshitt”. Ze ścian gabinetu trzeba było potem zebrać ketchup, Pomarańczowy tak się wkurzył. Barr pożegnał się z posadą.

Również ukochana córka Ivanka była tego samego zdania co prokurator Barr. Jared Kushner też nie miał wątpliwości, że teść przegrał. Ale podobnie jak wielu republikanów umywał ręce. Zresztą był piekielnie zajęty. Razem z Ivaną kupowali właśnie działkę na ekskluzywnej wysepce w pobliżu Miami, za 32 mln dol.

Przesłuchania przed komisją Izby Reprezentantów badającą szturm na Kapitol 6 stycznia 2021 roku, które ruszyły 9 czerwca, to wiwisekcja puczu, który o mały włos się nie powiódł.

Gdy Trumpa proszono, aby wezwał tłum do rozejścia się, bo słychać okrzyki „Powiesić Mike’a Pence’a”, urzędujący prezydent USA odpowiedział: „Może nasi zwolennicy mają dobry pomysł”. Rudy Giuliani, osobisty prawnik Trumpa, który zdobył sławę, gdy jako burmistrz Nowego Jorku pozował na szeryfa, i szef sztabu Białego Domu Mark Meadows wiedzieli, że to, w co się uwikłali, było przestępstwem. Poprosili o prezydencki pardon, czyli prawo łaski. Nie dostali go.

Większość zeznań najbardziej obciążających Trumpa pochodzi od jego współpracowników i rodziny.

Historycy będą latami badać, jak Trump okaleczył amerykańską demokrację. Uzbójny motłoch nie pojawiłby się w Kapitolu, gdyby Trump nie kłamał, że wygrał i próbuje się mu skrócić zwycięstwo.

Fox News nie zdecydował się na transmisję przesłuchań. W to miejsce gwiazdy potężnej prawicowej telewizji opowiadają kłamstwa na temat Ukrainy i wstawiają się za Putinem.

Liz Cheney, córka byłego wiceprezydenta, jedna z nielicznych w Partii Republikańskiej, która głosowała za impeachmentem, a teraz

przesłuchuje świadków szturm na Kapitol, powiedziała partyjnym kolegom: „Nadejście dzień, kiedy nie będzie Donalda Trumpa, ale wasza hańba pozostanie”.

Przesłuchania w Kongresie nie zajmują się Trupem bufonem, ignorantem, kłamcą, rasistą ani hurtowym malwersantem, którego los zaprowadził do prezydentury. Zajmują się człowiekiem, dla którego nie liczy się nic innego niż władza. Którego nie obchodzi, bo nigdy nie obchodziła, prawda, który w nosie ma życie swego wiceprezydenta, którego nie przekonują błagania bliskich do radców i własnych dzieci. A już najmniej interesują go konstytucja i demokracja.

W przeszłości Kapitol był zaatakowany tylko raz – w 1814 roku, przez Anglików. Tym razem był to atak od środka. Fanatyków i niedoinformowanych, zmanipulowanych frustratów spuścił ze smyczy człowiek, który ślubował chronić konstytucję.

Gdy chaos rozkwitał, członkowie gabinetu Trumpa rozważali sięgnięcie do artykułu 25, odbierającemu mu władzę, ale zabrakło im odwagi.

Jakiś czas temu sędzia Luttig napisał dla „New York Timesa” i CNN o projekcie Republikanów na następne wybory. Przypomniał, że instytucje i narzędzia demokracji nie są wystarczające, jeśli liderzy nie działają w interesie całego kraju, tylko swoich partykularnych interesów partyjnych. I ostrzegł, że to, co się Trumpowi nie udało w 2020 roku, może mu się udać w 2024. I nie ma wątpliwości, że tego spróbuje. Trump i jego sojusznicy nie czynią z tego tajemnicy.

Tę myśl rozwinął w czerwcu w długim wystąpieniu w Kongresie. Mówił tak wolno, że słuchacze i przyjaciele sądzili, że jest po wylewie. Ale Luttig, jak później powiedział, nigdy nie czuł się lepiej. I nigdy nie czuł na sobie bardziej ciężaru odpowiedzialności. Dlatego dobierał starannie każde słowo, a potem jeszcze je czytelował.

A mówił, że Trump i Republikanie mają ambitny cel: jak skutecznie zmienić w 2024 roku wynik wyborów, jeśli Trump

lub wyznaczony przez niego następca prze-
gra. Fundamentem planu jest przyjęcie
przez Sąd Najwyższy mało znanej doktryny
„niezależnej stanowej legislatury”, która uto-
rowałaby drogę do wykorzystania procesu
liczenia głosów elektorskich. W świetle tej
doktryny parlamenty stanowe mogłyby de-
cydować o liczbie głosów elektorskich przy-
znanych poszczególnym kandydatom nieza-
leżnie od tego, jak głosowali wyborcy.

W świetle dziennym, na publicznym wi-
doku, bez najmniejszej żenady Trump i je-
go ludzie przygotowują się do tego scenariu-
sza. – Przygotowują się – mówił sędzia Lut-
tig – aby wrócić do Sądu Najwyższego, któ-
ry zaakceptuje doktrynę niezależnej legisla-
tury stanowej, zważywszy że do składu sę-
dziowskiego dołączyła, rzutem na taśmę, kil-
ka dni przed wyborami 2020 roku, arcykon-
serwatywna Amy Coney Barrett. Wprawdzie
nie odniosła się jeszcze do tej kwestii, ale
jest zgodna w swych innych interpretacjach
konstytucji z co najmniej trzema sędziami
Sądu Najwyższego, którzy tę doktrynę uzna-
ją za słuszną. Piąty, zdaniem sędziego Lutti-
ga, znajdzie się bez problemu.

Zmieniając granice obwodów wybor-
czych i obsadzając lojalistami Trumpa par-
lamenty stanów będących języczkiem u wa-
gi, republikańska machina pracuje nad tym,
aby w przyszłości nie trzeba było stawiać
przed kamerami tak groteskowych postaci
jak ociekający potem i farbą do włosów Ru-
dy Giuliani. I żeby nie powtórzyła się histo-
ria z 2020 roku, kiedy republikańscy stanowi
urzędnicy wysokiego szczebla mieli czelność
zaświadczać, że wygrał kandydat innej par-
tii. Ludzie Trumpa zdobywają kontrolę nad
nadzorem i certyfikacją wyników przyszłych
wyborów – czego w 2020 roku zabrakło.

Nie ustają spekulacje, czy Trump
wciąż króluje w Partii Republikań-
skiej, czy też jego dominacja kapkę
zelżała. Jednak nawet jeśli bliższy prawdzie

jest drugi wariant, to kiepska pociecha. Bo
rozwścieczony Trump może się okazać
jeszcze bardziej niebezpieczny, jeszcze
bardziej skłonny do prowokacji. A już teraz
od czasu do czasu, mimochodem, mówi
o wojnie domowej przeciwko „wrogowi
wewnętrznemu”, zaś liderzy Republika-
nów puszczają to mimo uszu. Jakie jeszcze
demony Trump może uwolnić, pokazuje
popierany przez niego kandydat na guber-
natora Georgii (urzędujący podpadł, bo
uszanował wyniki wyborów). Były senator
David Perdue o czarnoskórej rywalce do
fotela gubernatora Stacey Abrams powie-
dział, że „powinna wrócić tam, skąd przy-
szła”.

W maju na „Truth Social” – to jego alter-
natywa dla Twittera, gdzie go dożywotnio
zbanowano – Trump podzielił się ćwierka-
niem swego sojusznika, prezydenta Salwa-
doru. Nayib Bukele napisał o USA: „Coś tak
wielkiego i potężnego nie może być znisz-
czone szybko, chyba że wróg nadejdzie od
wewnątrz”. Trump dorzucił komentarz in-
nego użytkownika: „Wojna domowa”.

Nie wyraził się jasno, czy „wojna domo-
wa” to jego rekomendacja, przestroga czy
prognoza. Lecz nie ma wątpliwości, że opo-
wiadająca się za rozwiązaniami siłowymi
skrajna prawica to jego ulubiona formacja.

Groźba wojny domowej jest dziś w Sta-
nach większa niż kiedykolwiek od czasów
Lincolna. Prezydencja Trumpa i atak na Ka-
pitol sprawiły, że po raz pierwszy od 1800 ro-
ku kraj stracił status „pełnej demokracji” we-
dle indeksu stosowanego przez CIA dla mo-
nitorowania stabilności i politycznej prze-
mocy za granicą.

Na zakończenie wystąpienia w Kongre-
sie sędzia Luttig stwierdził, że Trump i jego
sojusznicy stanowią ewidentne zagrożenie
dla amerykańskiej demokracji. „Będą pró-
bowali zmienić wynik wyborów w 2024 ro-
ku w ten sam sposób, w jaki chcieli tego do-
konać w 2020 roku, ale tak, aby im się uda-

Wedle indeksu stosowanego przez CIA do monitorowania stabilności i politycznej przemocy za granicą USA straciły status „pełnej demokracji”

lo. Nie rzucam tego lekko. Nigdy w życiu
bym tych słów nie wypowiedział, gdyby nie
fakt, że to nam mówią były prezydent i jego
sprzymierzeńcy”.

Miesiąc po wystąpieniu sędziego
Luttiga szesnastu senatorów z obu
partii przedstawiło propozycję re-
formy Prawa Liczenia Elektorów (Electoral
Count Act – ECA).

Jeśli projekt przerodzi się w prawo,
utrudni tworzenie konkurencyjnych elektro-
rów. Zakłada, że gubernator stanu zatwier-
dza listę elektorów i jego decyzja jest osta-
teczna. A co się stanie, jeśli gubernator nie
uszanuje woli wyborców wyrażonej w po-
wszechnym głosowaniu? Tego projekt nie
reguluje. Sąd mógłby unieważnić decyzję
gubernatora, ale nie jest jasne, co może za-
oferować w to miejsce.

Projekt ogranicza także Kongresowi moż-
liwość odrzucenia elektorów. Obecnie proces
liczenia głosów może być wstrzymany, jeśli
jeden senator i jeden z członków Izby Repre-
zentantów sprzeciwia się liście przedstawi-
onej przez stan. W myśl najnowszej propozy-
cji do zatrzymania procesu potrzeba głosów
20 proc. Izby Reprezentantów (czyli 87 osób)
i 20 proc. Senatu (czyli 20 senatorów). Nie za-
łatwia to jednak sprawy, skoro, przypomnij-
my, w styczniu 2021 aż 147 republikańskich
członków obu izb Kongresu zakwestionowa-
ło listy elektorów kilku stanów.

Najlepszą receptą byłoby odrzucenie
całego ECA, skoro twórcy konstytucji nie
chcieli, aby Kongres wybierał prezyden-
ta. Ale Kongres nie pali się, aby kompletnie
wyliminować sam siebie z procesu za-
twierdzenia wyników wyborów. Projekt se-
natorów nie tworzy wprawdzie szczelnej
tamy na drodze opisanego przez sędzie-
go Luttiga planu Trumpa i trumpistów,
ale zmniejsza prawdopodobieństwo błę-
du o potencjalnie katastrofalnych politycz-
nych skutkach. ●

Wakacyjny numer w sprzedaży

- Mariusz Szczygieł o szczegółach
- Renata Lis o łechtaczce
- George Saunders o dobrych nauczycielach
- Maria Poprzęcka o małych muzeach
- Michał Rusinek o „Fistaszkach”

Więcej na: Wyborcza.pl/ksiazki Zamów do domu z darmową dostawą: prenumerata24.pl

P.S. Herytiera: pół Polski czyta
książki maturzystki o złej miłości

KSIAZKI
MAGAZYN DO CZYTANIA

Detektyw
**Raymonda
Chandlera**

99+ innych rzeczy,
które czynią
świat
znośniejszym

LISTĘ DLA KSIAZEK
STWORZYLI M.I.N.:
Barry • Bednarek
Domosławski • Gebert
Kuczek • Leder • Lis
Murek • Podsiadło • Rak
Rejmer • Reszka • Rusinek
Saunders • Stawiszyński
Strout • Sumińska
Szczygieł • Szejnert
Tokarczuk • Wicha

Najważniejsze
premiery lata

Sponsorka numeru
**Elfriede
Jelinek**

NASZA EUROPA

Ameryka się boi

WOJNA DOMOWA JUŻ
JEST DO POMYŚLENIA?

Rozkręcające się przesłuchania w sprawie ataku na Kapitol i klimat trwałego ideologicznego pęknięcia: czy Amerykę czeka era chaosu z nieprzewidywalnymi skutkami? A może po prostu się rozpadnie, gdy kolejne stany dokonają secesji, bo nie będą chciały trwać w Unii, która już im nie odpowiada?

Iker Seisdedos

EL PAÍS

Słowa, które zestawione razem robią piorunujące wrażenie. „Wojna” i „domowa” to jedna z takich par. Ale faktem jest, że obecnie w Stanach Zjednoczonych słyszy się je razem coraz częściej, już nie wyłącznie jako wspomnienie rzezi sprzed półtora wieku. I nie są to także jeremiady marginalnych ekstremistów: sformułowanie „wojna domowa” rezonuje w debacie publicznej od sześciu tygodni, czyli przez cały czas przesłuchań przed kongresową komisją badającą atak na Kapitol z 6 stycznia 2021 roku. Słysząc je w ustach kongresmenów, uczestników ataku i współpracowników Donalda Trumpa, których zeznania coraz bardziej potwierdzają tezę o planowanym przez byłego prezydenta zamachu stanu. Pojawiają się również notorycznie w esejach oraz w artykułach publicystycznych i naukowych, a także w wystąpieniach umiarkowanych polityków.

Może to brzmieć przesadnie – zresztą nadmierne uproszczenie i przesada to sporty narodowe w amerykańskim społeczeństwie – ale, jak przekonuje Barbara F. Walter, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego, wydawało się to również absurdalne w miesiącach lub latach przed wybuchem konfliktów w różnych miejscach świata, od byłej Jugosławii, przez Syrię, po Irak. Walter bada tamte okoliczności, by zrozumieć, jak dochodziło do wybuchu przemocy w wewnętrznie skłóconych państwach i jakie wnioski można z tego wyciągnąć, by zapobiec powtórkom, także w USA. „Uświadomiłam sobie coś niepokojącego: oznaki niestabilności, które już zidentyfikowaliśmy w innych krajach, to te same, które zaczęłam dostrzegać we własnym” – wyjaśnia w książce „How Civil Wars Start”.

Walter jest przynębiająco przekonująca, gdy np. wskazuje, że Stany spełniają dwa najczęściej powtarzające się warunki zbliżającego się bratobójczego konfliktu. Pierwszy: kraj po raz pierwszy w ostatnich latach wpadł do kategorii, którą think tank Center of Systemic Peace uważa za anokracje, czyli reżimy leżące w szarości między pełną demokracją a czystą autokracją. A to dwa bieguny na tej skali stanowią systemy, które z diametralnie różnych powodów nigdy nie osuwają się w wojnę domową, przekonuje Walter. Anokracje – przeciwnie.

Drugi czynnik ryzyka pojawia się, gdy partie polityczne zaczynają organizować się po przeciwnych stronach czerwonych linii wytyczonych przez stosunek do „rasy, religii lub tożsamości”, czyli tych wyznaczników, które analitycy obserwują już jako kluczowe w wojnie kulturowej prowadzonej przez Re-



• Strażnicy w Kapitolu bronią Izby Reprezentantów przed napastnikami 6 stycznia 2021 r.

FOT. J. SCOTT APPLEWHITE / AP

publikanów i Demokratów. Dla Walter „atak na Kapitol i upolitycznienie użycia zwykłych masek przeciwwirusowych podczas pandemii” to dwa przejawy czegoś, co sięga jeszcze dalej: „W ostatniej dekadzie radykalnie wzrosły nierówności, a nasze instytucje publiczne osłabły [faktycznie, według sondażu Instytutu Gallupa są na historycznie niskich poziomach, jeśli chodzi o zaufanie obywateli do nich]. Amerykanie są coraz bardziej zniewoleni przez demagogów, poprzez swoje stacje telewizyjne i swoje lokalne rządy pozostające w kontrze do władz federalnych”. A do tego „brutalne grupy ekstremistyczne na radykalnej prawicy są silniejsze niż kiedykolwiek, choć ich wzrost z perspektywy Waszyngtonu może się wydawać nadal niezauważalny”.

Z kolei eseista Stephen Marche w książce „The Next Civil War. Dispatches from the American Future” prowokuje już od pierwszych zdań: „Ameryka zbliża się do końca. Pytanie brzmi: jak dużo czasu jej pozostało”. Marche przypomina mi w rozmowie, że magazyn „Foreign Policy” już krótko po wyborze Donalda Trumpa w 2016 r. poprosił grupę ekspertów ds. bezpieczeństwa narodowego o ocenę prawdopodobieństwa wybuchu wojny domowej w ciągu najbliższych 10-15 lat. – Co trzeci odpowiedział już wtedy, że to bardzo możliwe w takiej perspektywie czasowej – mówi Marche. – W sondażu przeprowadzonym w 2019 r. przez Georgetown University zapytano dużą reprezentatywną grupę zarejestrowanych wyborców obu partii, jak realnie postrzegają ryzyko wojny domowej, w skali od 0 do 100. Średnia ich odpowiedzi wyniosła 67,23 punktu.

To, co wydarzyło się między tymi dwoma sondażami, to oczywiście prezydentura Trumpa, która zaczęła się od tego, że na schodach Kapitolu powiedział: „Amerykańska wojna ideologiczna musi się natych-

miast skończyć”. A skończyło się na tym, że jego następca Joe Biden wyznał prywatnie w przeddzień wyborów w 2020 r.: „Mam nadzieję, że wygram. Jeśli tak się nie stanie, to nie jestem pewien, czy nadal będziemy mieli wspólne państwo” (tamto napomnienie Bidena powtarzają Jonathan Martin i Alexander Burns w wydanej niedawno książce „This Will Not Pass: Trump, Biden and the Battle for America's Future”).

KRAJ PODZIELONY NA LINII
PÓŁNOC – POŁUDNIE

Choć niesprawiedliwe byłoby zrzucanie całej winy na Trumpa, który w 2017 r. głosił: „Nie przyszedłem tu, by dzielić nasz kraj. Był już wystarczająco głęboko podzielony, gdy objąłem Biały Dom”.

Najnowsza, ponura „depesza z przyszłości Ameryki” nadeszła w tym tygodniu z Kentucky. Niejaki C. Wesley Morgan, który dorobił się fortuny na sklepach monopolowych, został napadnięty w swojej rezydencji przez napastnika, który zamordował jedną z jego córek. Na nic zdało mu się przekształcenie swojej posiadłości w ufortyfikowany bunkier w celu „zabezpieczenia się na wypadek wojny domowej”. A zrobił to za kadencji Obamy, bo już wtedy był przekonany, że społeczeństwo jest „na skraju upadku”.

– Oczywiście żadna prognoza nie jest proctwem wyrytym w kamieniu, ale myślę, że niezaprzeczalnym faktem jest to, że amerykański system polityczny się kruszy, że rośnie przemoc polityczna i że są dwie połowy Ameryki, które nie tylko nie podzielają żadnych poglądów politycznych, ale nie dzielą nawet najbardziej elementarnego konsensusu co do rzeczywistości. Niektórzy mogą twierdzić, że te konwulsyjne epizody zdarzały się już w latach 60. i 70. – mówi Marche, obser-

wujący to z pewnego dystansu jako Kanadyjczyk. – Obawiam się jednak, że tym razem nie pokonamy tych różnic poprzez eksponowanie hedonistycznego konsumpcjonizmu i nie znajdziemy się nagle w „nowej erze disco”, czyli łatwo dostępnej przyjemności.

Marche wspomina, że gdy pisał książkę – a rozpoczął tuż po inauguracji Trumpa (która sama stała się obiektem manipulacji dokonywanych przez obóz prezydenta) – jego przyjaciele i redaktorzy próbowali go odwieść od przesadnego, ich zdaniem, „panikarstwa”. – „Zobaczysz, że jak zawsze nadejdzie zewnętrzny wróg, który zjednoczy nas wszystkich” – mówili mi. Przyszła pandemia i było jeszcze gorzej. Po 6 stycznia odetchnęli z ulgą: „Dobrze, że to się stało, bo po czymś takim nie pozostaje nam wszystkim nic innego, jak tylko pogodzić się jako społeczeństwo”. Musiałem się bardzo starać, żeby nie śmiać się im wtedy w twarz – mówi.

W końcu jego książkę wydał sześć miesięcy temu prestiżowy imprint oficyny Simon & Schuster – i od tego czasu Marche obserwuje, jak piętrzą się kolejne dowody, które potwierdzają jego czarnowidztwo. Najnowsze dwa: zabicie w Buffalo dziesięciu czarnych Amerykanów przez młodego człowieka wyznającego idee białego suprematyzmu oraz aresztowanie uzbrojonego napastnika w pobliżu domu konserwatywnego sędziego Sądu Najwyższego Brett Kavanaugh.

W kraju, w którym w domach jest więcej sztuk broni palnej (ok. 400 milionów) niż mieszkańców (332 miliony) i w którym kandydat do Senatu (republikanin Eric Greitens z Missouri) może wystąpić w reklamie wyborczej, w której fantazjuje o zabijaniu rinosów (od Republican In Name Only, republikanów tylko z nazwy), zarówno Marche, jak i Walter niezależnie od siebie wskazują na tę samą sprawę, którą uważają za paradygmatyczną dla nowej i złowrożej rzeczywistości:

aresztowanie w październiku 2020 r. 13 mężczyzn podejrzanych o zaaranżowanie spisku mającego na celu porwanie demokratycznej gubernator Michigan Gretchen Whitmer. Planowali zabrać ją w tajne miejsce, „osądzić” za jej dekrety podczas pandemii, za zdradę (ich gwarantowanej przez konstytucję osobistej wolności, ma się rozumieć) i wykonać egzekucję. Połowa podejrzanych miała bliskie relacje z innymi skrajnie prawicowymi grupami kluczowymi dla późniejszego ataku na Kapitol takimi jak Proud Boys i Oath Keepers.

Lider tej ostatniej Stewart Rhodes w wywiadzie dla „The Atlantic” opublikowanym w listopadzie 2020 r., czyli dwa miesiące przed napacją zwolenników przegranego Trumpa na Kapitol, oświadczył: „Przestaniemy się oszukiwać. Jesteśmy już w stanie wojny domowej”. Marche przypomina, że według Instytutu Badań nad Pokojem w Oslo wystarczy tysiąc zgonów ludzi zaangażowanych w wewnątrz krajowy konflikt w ciągu roku, by uznać, że ten konflikt ma znamiona de facto stanu wojny domowej. – Definicja konfliktu cywilnego przyjęta przez ekspertów – mówi – zaczyna się od 25 zgonów w ciągu roku. Tymczasem w USA antyrządowi ekstremiści zabili w 2019 r. 42 osoby, w 2018 – 53, w 2017 – 37, w 2016 – 72, a w 2015 – 70.

Na skrajnie prawicowych grupach skupiła się uwaga jednej z sesji komisji śledczej badającej okoliczności wydarzeń z 6 stycznia, podczas której demokratyczny kongresmen Jamie Raskin próbował wykażać związek między tym, co Trump mówił i robił w dniach poprzedzających fatalny dzień i w jego trakcie, a przemocą rozpętaną przez tych bojówkarzy, którzy przybyli na jego wezwanie do Waszyngtonu („Bądźcie tam. To będzie dzikość” – obiecał im Trump w tweecie).

Raskin, błyskotliwy orator ze stanu Maryland, który faszeruje swoje wystąpienia odniesieniami do intelektualnej i politycznej historii Ameryki, zgadza się z tymi ekspertami, którzy twierdzą, że druga wojna domowa, jeśli do niej dojdzie, nie będzie taka jak pierwsza (z lat 1861–65).

– Nie sądzę, że zobaczymy w pełni zmilitaryzowany konflikt – powiedział mi ten demokrat z wielkimi politycznymi ambicjami. – Ale myślę, że jeśli nie prześwietlimy i nie wyciągniemy wniosków z insurekcji, która została zorganizowana 6 stycznia, zobaczymy więcej rasowej, etnicznej i politycznej oraz ideologicznej przemocy, zwłaszcza w momentach krytycznych, takich jak kampanie wyborcze lub wszelkie z założenia łączące wydarzenia publiczne. Innymi słowy, grozi nam, że staniemy się krajem podobnym do Irlandii Północnej.

To odwoływanie się do Troubles, czyli długotrwałego krwawego konfliktu w Irlandii Północnej, jest powtarzającym się elementem retoryki ludzi, którzy ostrzegają przed wojną domową w USA. Jednak to porównanie uwiiera urodzonego w Dublinie Fintana O’Toole’a, stałego współpracownika „The New York Review of Books”, gdzie zwykle pisze o amerykańskiej polityce. „Należy pamiętać, że konflikt w Irlandii Północnej nigdy nie stał się wojną domową – zauważa O’Toole. – Regularnie dochodziło do aktów ekstremalnej przemocy ze strony grup paramilitarnych i gwałtownych odpowiedzi ze strony państwa, ale to nie jest jeszcze wojna domowa. Nie oznacza to, że wydarzenia w Ulsterze nie były straszne ani że tego rodzaju konflikt nie rujnuje społeczeństwa. Owszem, rujnuje – i nie jest to niewyobrażalne, że Stany mogą pogrążyć się w tego rodzaju trwałej przemocy politycznej na poziomie lokalnym. Jednak nazywanie tego wojną domową nie służy pacyfikacji nastrojów, ale wręcz napędza toksyczne myślenie tych, którzy właśnie chcieliby widzieć przemoc na dużą skalę, bo jest im to na rękę”.

A GDYBY KALIFORNIA OGŁOSIŁA SECESJĘ?

Agnieszka Paczyńska – badaczka ze School of Conflict Analysis and Resolution na George

Mason University’s w Arlington w stanie Wirginia – nie należy do tej grupy, ale nie wyklucza „rozpadu” kraju, np. w postaci nagłej decyzji Kalifornii o wyjściu z Unii – w końcu to jedna z największych gospodarek świata (nawiasem mówiąc, także parlament stanowy Teksasu przebąkiwał już o secesji). Dla niej problem leży w systemie, który nie działa, na przykład w podziale głosów elektorskich, który pozwala, by „miejsce takie jak Wyoming [580 tys. mieszkańców] miało dwóch senatorów, tyle samo co Kalifornia [39 mln]”. Żeby to zmienić, trzeba by zmienić konstytucję, a członkowie Partii Republikańskiej – która przecież straciłaby na wszelkim rozwiązaniu bardziej przystającym do demograficznej rzeczywistości – musieliby to najpierw poprzec. Dlaczego mieliby to zrobić?

Ta idea rozpadu kraju, który najlepiej byłoby zorganizować pokojowo, zanim będzie za późno, również coraz częściej przewija się w debacie („Secesja poszczególnych stanów nie będzie niespodzianką, biorąc pod uwagę obecne napięcia”, uważa Marche). Być może Unia była tylko 160-letnim mirażem? „W rzeczywistości nigdy nie byliśmy narodem. Jesteśmy raczej republiką federacyjną dwóch narodów: niebieskich [liberałów] i czerwonych [konserwatystów]. To nie metafora; to geograficzna i historyczna rzeczywistość – napisał niedawno analityk Michael Podhorzer. – Zarówno geograficznie, jak i kulturowo linia podziału nadal idzie z grubsza po granicy Północy i Konfederacji. Ten podział jest wyraźnie widoczny na tak elementarnych szczegółach jak rady szkolne, które pandemia zamieniła w istne ideologiczne pola bitewne, oraz w kwestiach takich jak aborcja: niedawne orzeczenie Sądu Najwyższego, które unieważniło federalne prawo dostępu do niej, namalało mapę stanów permissywnych i restrykcyjnych, która de facto przypomina podziały sprzed wojny secesyjnej”.

Podhorzer uważa jednak, że problemem jest nie tyle ewentualna wojna domowa, ile raczej to, że Stany Zjednoczone mogą pogrążyć się w autorytaryzmie, a pierwsza partia w tym meczu została już przegrana wraz z aborcyjnym orzeczeniem Sądu Najwyższego (następne przesilenie nastąpi zapewne w 2024 r., jeśli stronnicy Trumpa zdobędą kontrolę nad organizacją wyborów w kluczowych, wahających się stanach).

Tego dryfu obawia się również Paul Stanley z Uniwersytetu Yale, który dowodzi, że „współczesnemu amerykańskiemu ruchowi faszystowskiemu przewodzi oligarchiczne, związane z biznesem węglowodorowym interesy, dla których interes publiczny jest uciążliwym balastem, a ubrane są w ruch społeczny, polityczny i religijny mający korzenie w ultrakonserwatywnej Konfederacji. Jak we wszystkich ruchach faszystowskich siły te znalazły w postaci Trumpa trybuna niepodlegającego regułom demokracji”.

Wszystkie głosy w tej debacie zgadzają się co najmniej w jednym: wydarzy się coś nie dobrego i tylko od stopnia pesymizmu zależy, czy będzie to wojna domowa, faszystowski reżim, czy secesje.

Marche pociesza się myślą, że „jeśli jakikolwiek kraj jest zdolny do politycznego myślenia się na nowo i na wielką skalę, to są to Stany Zjednoczone”. O’Toole woli przywołać europejskiego mędrca Hansa Magnusa Enzensbergera, który w latach 90. napisał, że „nie ma pożytecznej wojny domowej”.

Tymczasem niestrudzony lewicowiec Bernie Sanders w tym tygodniu zrobił w sieci furorę z filmikiem, w którym jakiś młody zwolennik zwrócił się do niego (osiemdziesięciolatka!) o radę, jak, biorąc pod uwagę okoliczności, nie popaść w fatalizm i „utratę wszelkiej nadziei”. – To są trudne czasy i ważne jest, aby sobie to uczciwie uzmysłowić. Ale nie są to żadne ciężkie czasy, przez które przeszliśmy jako naród. Nie daj się złapać na pesymizm. Wszystko się ciągle zmienia. Zresztą często na lepsze. Byłe nigdy nie rezygnować z walki – odparł stary senator. ●

Tłum. Łukasz Grzymisławski

MADE IN CHINA

Czarne diabły, czyli kłopoty Chińczyków z rasizmem



Chiny, które „nigdy nie miały kolonii”, chciałyby w relacjach z Afryką korzystać z przywileju czystej karty. Ale to się nie udaje.

Robert Stefanicki

Jestem czarnym diabłem! Mam niskie IQ! – recytuje po chińsku grupa dzieci z afrykańskiej wioski. Filmik został umieszczony w chińskich mediach społecznościowych na koncie „Żarty o klubie czarnych ludzi”. Od niego zaczęło się śledztwo BBC. Reporterzy ustalili, że Chińczyk nazwiskiem Lu Ke, mieszkaniec Malawi, zrobił sobie źródło utrzymania z kręcenia podobnych nagrań na zamówienie dla solenizantów czy nowożeńców.

Spersonalizowane życzenia recytowane przez „małe murzyniątka” cieszą się w Chinach sporą popularnością. Na niektórych filmach dzieciaki recytują: „Jesteśmy głodne”, albo śpiewają, że „żółta skóra i ciemne oczy to najpiękniejsze kolory”.

Określenie hei gui, jakim Lu Ke kazał nazywać się samym nieświadomym dzieciom, oznacza po chińsku diabła, ale jest powszechnie używane jako odpowiednik „czarnucha”. Za dzień występów „Susu” (wujek) płacił równowartość 2 zł. Dzieci powiedziały, że jak był niezadowolony, to bił je kijem i więził. Po konfrontacji z dziennikarzami Lu Ke uciekł z Malawi do Zambii.

Tu sprawa mogłaby się zakończyć. W każdym narodzie znajdują się osobnicy, którzy szargają jego reputację i nie warto z tego wyciągać generalizujących wniosków. Lecz ten akurat incydent nabrał charakteru dyplomatycznego. W Malawi reportaż wywołał oburzenie, internauci gromili Chińczyka, a szefowa MSZ stwierdziła, że kraj został obrażony. Zambia w ekspresowym tempie wydała Lu Ke w ręce malawijskiego wymiaru sprawiedliwości, postawiono mu zarzuty.

Sprawa jest mocno ambarasująca dla Pekinu. Chiny chętnie nagłaśniają incydenty o podłożu rasistowskim w USA, aby oskarżyć swego globalnego rywala o rasizm i łamanie praw człowieka, a szerzej – obnażyć degrengoladę systemu liberalnej demokracji, które-oro USA są forpcztą. Ta argumentacja ma rezonować zwłaszcza w Afryce, masowo korzystającej z chińskich inwestycji i pożyczek.

Do Malawi udał się dyrektor departamentu ds. Afryki w chińskim MSZ i po spotkaniach z urzędnikami państwowymi kadził, że „to piękny kraj z cudownymi ludźmi”. W dąże przywrócił nowe stypendia na studia magisterskie w Chinach. Wcześniej ambasada ChRL usiłowała bagatelizować incydent. Dopiero gdy wybuchł pożar, zaczęła go gasić zapewnieniami, że „społeczność chińska w Malawi w mocnych słowach potępiła rasizm” i „jeden głupiec nie zmienia całego obrazu”.

Afrykanie nie uważają jednak, że problem leży w jednym głupcu. Właściwie nikt nie jest zdziwiony, że Chińczyk nagrywał rasistowskie filmy, bo to tylko potwierdziło ogólne wrażenie o przybyszach z tego kraju, których w Afryce mieszka ponad milion. Np. wielokrotnie pojawiały się doniesienia, że chińscy restauratorzy zakazują wstępu Afrykanom. Rządy na kontynencie wcześniej nie były skłonne podnosić tych problemów – ze względu na znaczenie Chin dla ich gospodarek.

Współczesne związki Chin z Afryką sięgają lat 50., kiedy Pekin, na fundamencie wspólnej historii ucisku przez białych imperialistów, budował przyjaźń ze świeżo niepodległymi państwami, usiłując zostać przywódcą świata rozwijającego się. Wysyłał medyków, kładł

tory kolejowe, oferował stypendia. Pod koniec lat 70., gdy Chiny zaczynały otwierać się na świat, studenci z Afryki przybyli w większej liczbie. Rozproszono ich po kampusach w całym kraju, pragnąc osłabić ryzyko napięć na tle rasowym.

Nie udało się. W 1979 r. Afrykanie w Szanghaju zostali pobici za zbyt głośnie odtwarzanie muzyki. W 1986 r. po kolejnej awanturze, w Pekinie, dwustu afrykańskich studentów przemaszerowało przez stolicę, krzycząc, że chińskie twierdzenia o przyjaźni to „maska rasizmu”. W mieście Nanjing doszło do bitwy podczas imprezy w kampusie. Rząd twierdził, że czarni studenci przybyli uzbrojeni, pobili strażników, nauczycieli i chińskich kolegów. Afrykanie utrzymywali, że kiedy próbowali zatańczyć z Chinką, jej koledzy obrzucili ich rasistowskimi obelgami. Później tej nocy rozeszła się fałszywa plotka, że Afrykanie uwięzili chińską kobietę, potem – że została zgwałcona i zabita. Chińscy studenci rzucali cegłami w okna Afrykanów – i ostatecznie wypędzili ich z miasta.

W 1988 r. w mieście Hangzhou Chińczycy uznali, że Afrykanie są nosicielami wirusa HIV – mimo że studenci zagraniczni musieli uzyskać negatywny wynik testu przed wjazdem do kraju. W tym czasie w Pekinie 2 tys. lokalnych studentów bojkutowało zajęcia w proteście przeciwko czarnym umawia-

Ta sprawa to wizerunkowy cios dla Pekinu. Chiny chętnie nagłaśniają incydenty o podłożu rasistowskim w USA, aby obnażyć degrengoladę systemu liberalnej demokracji

jącym się z Chinkami. W Wuhanie na kampusach pojawiły się plakaty, które nazywały Afrykanów „czarnymi diabłami” i zachęcały, by wrócili do domu. Wielu to zrobiło.

Konfrontowani z oskarżeniami o rasizm Chińczycy zwykle zaprzeczają, ewentualnie tłumaczą – jak felietonista „China Daily” – że dyskryminacja wynika stąd, iż przez tysiące lat ci, którzy pracowali na świeżym powietrzu, mieli ciemniejszą skórę i niższy status społeczny, więc ci jaśniejsi nimi pogardzali.

Ale to wyjaśnienie raczej nie tłumaczy pogardy Chińczyków wobec Afrykanów. Dochodzi także brak wyczucia co do tego, na co można sobie w dzisiejszych czasach pozwolić. W jednej z reklam proszku do prania – jakby inspirowanej „Murzynkiem Bambo” – Chinka wrzuca do pralki Afrykanina, by wyciągnąć z niej „czystego” Chińczyka. W 2017 r. muzeum w Wuhanie przeprosiło za wystawę zatytułowaną „Oto Afryka”, gdzie autor zestawiał wizerunki Afrykanów i dzikich zwierząt, doszukując się między nimi podobieństw.

Ekspozycja cieszyła się powodzeniem. Po wybuchu pandemii w Kantonie – gdzie jest największa w Azji populacja Afrykanów – poddawano ich przymusowym testom i kwarantannie, na długo zanim te procedury zaczęto powszechnie stosować wobec Chińczyków.

Zupełnie zapomniana jest też historia niewolnictwa afrykańskiego w Chinach w XI w. Bogaci Chińczycy pozazdrościli czarnych sług arabskim kupcom. Stworzono więc linię przelotu z Afryki Wschodniej do portów w Chinach. Ci, którzy przeżyli podróż, musieli wykonywać ciężkie prace. ●

Oieplo i tłumy turystów, tak wygląda Budapeszt. Turyści o różnym kolorze skóry, w różnym wieku, rozsiadają się w licznych ogródkach restauracyjnych, z nosami w komórkach upewniają się, że idą w dobrą stronę w poszukiwaniu kolejnego zabytku, muzeum, którego jeszcze nie odwiedzili, chociaż w mobilnym przewodniku mają je zaznaczone gwiazdką.

Szczególne zainteresowanie wzbudziła wystawa dzieł Hieronima Boscha w Muzeum Sztuk Pięknych. Na mapie wycieczek obowiązkowo figuruje Wzgórze Zamkowe, z kościołem króla Macieja oraz Galerią Narodową. Tu jednak gości czeka niespodzianka. Swobodny ruch blokują budowy oraz siedziby najważniejszych osób w państwie. Tutaj z parlamentu przeniesli się premier i prezydent.

Decyzję o przeprowadzce urzędu premiera władze podjęły w 2014 r., kiedy przez Budapeszt przetoczyła się fala antyorbánowskich manifestacji. Na pl. Kossutha przed parlamentem gromadziły się tysiące najczęściej młodych ludzi, którzy domagali się ustąpienia premiera, rozliczenia z nadużyć, „zmiany rządu”, „Europy”, „demokracji”.

Ktoś wtedy uznał, że plac zbyt sprzyja organizowaniu wielkich demonstracji, i rządzący zdecydowali o wyprowadzeniu najważniejszych urzędów na Wzgórze Zamkowe, gdzie znacznie łatwiej zapewnić władzy spokój. W ten sposób urząd Orbána, który lubi ubierać naród węgierski w szaty Chrystusa Narodów w świecie, gdzie katami są urzędnicy Brukseli i George Soros, zajął budynki, które w XVIII wieku należały do zakonu karmelitów. Potem, z woli cesarza Józefa II, były tam kasyno i teatr dla urzędników monarchii, w końcu pierwsza siedziba węgierskiego Teatru Narodowego. Po wojnie do budynku ponownie wrócił teatr.

Do węgierskiej ulicy nie dociera huk bomb spadających na ukraińskie miasta, trzask osuwających się ścian grzebiących starców, którzy nie zdążyli zareagować na syreny, płacz dzieci i kobiet zabijanych i gwałconych przez rosyjskich agresorów. Przygłusza to wszystko skoordynowana kanonada mediów rządowych i prorządowych, uprawiających propagandę jak w czasach komunizmu. Z nich społeczeństwo może usłyszeć o słusznej wojnie prowadzonej przez Moskwę.

W stolicy nad Dunajem, który niegdyś był modry, a teraz dopiero wraca do dawnego koloru, obserwujemy zacieśnienie relacji węgiersko-rosyjskich. Orbán z Putinem spotykają się niemal co roku. Od 2010 r., czyli od powrotu Fideszu do władzy, to już 11 razy.

Po raz pierwszy Orbán przyjechał do Moskwy w listopadzie 2010 r., pół roku po katastrofie smoleńskiej i w przededniu objęcia przez Węgry prezydentury w Radzie UE. Putin wyraził wtedy nadzieję, że prezydentura węgierska przyczyni się do polepszenia kontaktów między Unią a Rosją, a Orbán, że relacje węgiersko-rosyjskie zostaną zbudowane na nowym fundamencie. Obaj zgodzili się, że ważne było jeszcze inne spotkanie, niemal rok wcześniej. Mniej się o nim mówi, a prawdopodobnie było kluczowe dla obecnych relacji między Budapesztem a Moskwą.

Była jesień 2009 r. Na zaproszenie przewodniczącego Dumy do Sankt Petersburga przyjechał przewodniczący opozycyjnej partii Fidesz Viktor Orbán. Tam, przy okazji zjazdu partii Jedna Rosja, spotkał się z jej przewodniczącym, a jednocześnie (wówczas) premierem Rosji, Putinem. Jak się potem okazało, to wtedy u Orbána doszło do cudownej przemiany, porównywalnej do tej z „Dziadów” Mickiewicza. Była to jednak przemiana à rebours. Tak jakby Konrad zamienił się w Gustawa, a nie odwrotnie.



• Viktor Orbán i Władimir Putin, Budapeszt, rok 2017.
FOT. PETR DAVID JOSEK/AP

Adam Michnik poleca: **Węgry, Rosja, wojna**

SZCZUROLAP ORBÁN

Część Węgrów pyta: Dlaczego Polska realizuje politykę amerykańską? Słono za to zapłaci

Leszek Hensel*

Od lat węgierscy i nie tylko węgierscy obserwatorzy sceny politycznej zachodzą w głowę, co takiego się wydarzyło w czasie tamtej rozmowy premiera jednego wielkiego kraju z przyszłym premierem kraju nie największego, że późniejszy premier Węgier porzucił całkowicie antyrosyjską retorykę i stał się jednym z najwierniejszych przyjaciół Putina.

Kilka miesięcy po tamtym spotkaniu do Moskwy udali się dwaj wysłannicy Orbána, którzy w siedzibie dawnego KGB, a obecnie FSB, przeprowadzili rozmowy na tematy gospodarcze. O czym? Można tylko snuć przypuszczenia na podstawie tego, jakie interesy prowadziły później Węgry i Rosja.

Orbán skończył z rusofobią. Po wyprowadzeniu ostatnich żołnierzy rosyjskich z Węgier w 1992 r., zdekomunizowany został pomnik Wyzwolenia na Górze Gellerta. Wzniesiony w 1947 r., jak głosił napis, z wdzięczności dla rosyjskich wyzwolicieli, którzy zginęli w walkach o Budapeszt. Po usunięciu z niego kilku elementów, w tym figury rosyjskiego żołnierza, pomnik przemianowano na pomnik Wolności.

Żołnierzom radzieckim pozostawiono jednak drugi pomnik. Stoi na jednym z centralnych placów Budapesztu, pl. Wolności, od 1946 r. Z przegłądającą się w słońcu pozłacaną gwiazdą i napisem „Chwała radzieckim wyzwolicielom”. Jego obecne istnienie na mapie Budapesztu jest jak symbol nowych czasów.

W ostatnich latach zmienia się nie tylko Orbán. Przemiana następuje także w społeczeństwie, a to już niewątpliwe osiągnięcie rządzącej w Budapeszcie ekipy. Węgry od XIX wieku – m.in. dlatego, że w 1849 r. to właśnie Rosja carska przyczyniła się do zgniecenia węgierskiego marzenia o niepodległym państwie, a potem w 1956 zrobiły to wojska sowieckie – mieli nastawienie antyrosyjskie. Ale w ciągu 12 lat władzy Fideszu zaakceptowali zmianę polityki i sojusz z Putinem i dzisiejszą Rosją. Widać to m.in. w badaniach trendów w Europie Środkowej i Wschodniej, przeprowadzonych na potrzeby słowackiej organizacji GLOBSEC w 2021 r. Tylko 13 proc. ankietowanych określiło USA jako strategicznego partnera Węgier, a 35 proc. upatruje go w Rosji.

Ocieplenie relacji z Rosją odbija się na obchodach rocznicy wydarzeń 1956 r. Ich znaczenie zaczęło maleć. Z oficjalnych wystąpień wyparowała sowiecka agresja, coraz więcej miejsca zajmuje aktualna polityka. Premier mówi o dumnych Węgrach i o wrogach, a tymi są migranci, Unia, w której „unos się duch Breżniewa”, „lewicowa” opozycja, która „walczy o to, kto będzie później krajowym namiestnikiem Sorosa i Brukseli”, i o to, „żeby wyrwać Węgry z rąk Marii i rzucić je pod nogi Brukseli”.

W czasie kampanii przed wyborami parlamentarnymi w kwietniu 2022 r., odbywającej się już w cieniu wojny rosyjsko-ukraińskiej, do wyobraźni wyborców przemó-

wiła argumentacja Orbána, że tylko jego rząd obroni Węgrów przed wojną, w którą „chciałaby wplątać Węgry opozycja”, gotowa wysłać do Ukrainy sprzęt i uzbrojenie, a także otworzyć kraj na tranzyt broni dla Kijowa. Węgry uwierzyli, że tylko rząd Orbána, dzięki bliskiej współpracy z Putinem, zapewni im niskie ceny paliw i gazu.

To przemówiło do wyobraźni Węgrów nie tylko z powodu wojny, ale też w wyniku trwającej niemal od czasu aneksji Krymu kampanii medialnej przeciwko Ukrainie. Zaostrzyła się ona po uchwaleniu w 2017 r. przez Kijów nowej ustawy oświatowej, ograniczającej możliwość edukacji w językach mniejszości narodowych.

Ostro zaatakowała ją Moskwa, twierdząc, że „stanie się [ona] aktem »etnობjstwa« rosyjskiej ludności w Ukrainie”. Zawtórowali Węgry, domagając się, aby ustawa została wycofana (gwoli ścisłości trzeba przyznać, że akceptowalne dla Polski rozwiązanie znalazł rząd PiS w podpisanym przez minister Annę Zalewską bilateralnym porozumieniu, jeszcze w 2018 r.).

Wobec odmowy Kijowa Budapeszt sięgnął po broń, która zaskoczyła wszystkich. Zaczął blokować współpracę Ukrainy z NATO, nie mając przy tym wsparcia żadnego innego natowskiego kraju. Odmówiła mu Grupa Wyszehradzka, odmówiła Warszawa, na której zrozumienie liczył szczególnie.

Węgry byli tak konsekwentni, że jeszcze przed rosyjską agresją uniemożliwili włą-

czenie Ukrainy do natowskiego centrum do walki z cyberprzestępczością, co skrytykowane zostało m.in. przez Polskę ustami wiceministra spraw zagranicznych Marcina Przydacza. W 2021 r. Budapeszt uderzył w Kijów, podpisując nową umowę z Gazpromem, która przewidywała dostarczanie gazu z ominięciem ukraińskiego gazociągu.

Przez cały ten czas w mediach węgierskich trwała kampania krytykująca Ukrainę jako kraj przesiąknięty nacjonalizmem, dążący do zniszczenia węgierskiej mniejszości na Zakarpaciu, a do tego uzależniony od Sorosa. W lutym 2022 r. Węgry łatwo przyjęły narrację rosyjską o Ukrainie faszystowskiej i o słuszności „specjalnej operacji wojskowej”.

Symptomatyczna wydaje się potyczka twitterowa, w której tydzień przed wyborami węgierskimi osoba niezwykle wpływową na Węgrzech, Mária Schmidt, szefowa Muzeum Terroru oraz dwóch instytutów, XX i XXI wieku, próbowała przypisać Ukrainie winę nawet za 1956 r.

W reakcji na krótki wpis brytyjskiego komika Johna Cleese’a, który zapytał: „Kto brutalnie zaatakował Węgry w 1956?”, i dał do wyboru Rosjan i Ukraińców, odpisała: „Inwazji dokonały wojska sowieckie, w których byli też Ukraińcy. Na podstawie decyzji Ukraińca [sic] N. Chruszczowa”.

Lekceważona nad Wisłą prorosyjskość Budapesztu zaczęła kluć w oczy dopiero w dniach wojny w Ukrainie. Sfrustrowani z tego powodu i zdezorientowani węgierscy znajomi bliscy kręgom władzy pytają mnie, kiedy wreszcie polski rząd stanie się bardziej pragmatyczny, zacznie mówić wspólnym głosem z Węgrami, by mogły powrócić dobre kontakty polsko-węgierskie. Dodatkowo ostrzegają – Ukraina w NATO i Unii to zagrożenie dla Węgier, Polski, dla całego regionu, dla struktur euroatlantycznych. Od przypadkowo poznanych Węgrów

słyszę też pytanie, dlaczego Polska realizuje politykę amerykańską, i przestrożę, że za to słono zapłaci.

Tylko 13 proc. ankietowanych określiło USA jako strategicznego partnera Węgier. 35 proc. widzi go w Rosji

Słyszę to w czasie krótkiego pobytu kilka razy. To nie może być przypadek, ale kiedy pytam, skąd im to przyszło do głowy, wzruszają ramionami. Wolą mówić o tym, że w przeciwieństwie do naszego, ich rząd prowadzi racjonalną politykę dobrych relacji z Putinem. Dzięki temu mają najtańsze paliwo w Europie, i to bez żadnych manipulacji podatkami, oraz tani gaz, a w konsekwencji tańsze koszty utrzy-

mania. Poza tym w Ukrainie mieszka węgierska mniejszość i dlatego stojąc z boku, dystansując się od „nie swojej wojny”, bronią rodaków.

Choć 15 marca opozycja wzywała, żeby naród węgierski stanął po stronie Ukrainy, w czasie wyborów wybrał Orbána. Premiera, który dopiero miesiąc po wyborach przyznał na Facebooku, że przyczyną wojny jest rosyjska napaść.

Przypominają się słowa pierwszego i jak dotąd jedynego węgierskiego laureata literackiego Nobla Imre Kertésza. W 2012 r. w wywiadzie dla „Le Monde”, oceniając stosunki panujące na Węgrzech, odwołał się do słów francuskiego malarza Marcela Duchampa: „Nie ma rozwiązania, ponieważ nie ma problemów”, i wytłumaczył, że na Węgrzech dzieje się to samo, co w czasach Kádára. „Orbán zaczął naród tak, jak zrobił to szczurołap”.

Dalej, zastanawiając się, „dlaczego Węgrzy zawsze stają po złej stronie”, stwierdził, że „zawsze mieli pociąg do błędów”. Również wtedy, w 2012 r., kiedy wybrali konflikt z Brukselą i w obronie wartości narodowych stworzyli iluzję, że tylko w ten sposób mogą obronić suwerenność. „Jest to kolejna zła decyzja, ale i ona nie jest niczym nowym”.

Kádár jest nadal popularnym politykiem na Węgrzech. Jak wykazały badania przeprowadzone w 1989 r. przez węgierski Instytut Badania Opinii Publicznej, naród uwielbiał jego gulaszowy komunizm, z prostym przepisem:

1. Polityk powinien być purytaninem („János Kádár nie był zbyt bogaty, nie posiadał zbyt nowoczesnego domu i ubrań”).
2. Ważne, żeby dużo rzeczy było za darmo.
3. Ważne, żeby wszystko było stale trochę lepsze – tj. by poziom życia się poprawiał.

4. Od wolności ważniejsze są spokój i pieniądze.

Według przeprowadzonego w 2017 r. badania Fundacji Friedricha Eberta na temat marzeń Węgrów ponad 44 proc. ankietowanych rządu Kádára i jego wersję gulaszu oceniło jako najlepszy okres w historii Węgier w ciągu ostatnich 100 lat.

Jak widać, wymyślony przez Kádára przepis na gulasz ciągle cieszy się powodzeniem. Spośród wszystkich rządów po zmianie systemu najlepiej opanowali go politycy Fideszu.

Dlatego jego zadowoleni z ekonomicznej sytuacji kraju wyborcy, czytając na Facebooku wpisy o tym, jak węgierscy mieszkańcy Zakarpacia modlą się za Putina i czekają na jego armię jak na wybawienie (pytanie, czy są one prawdziwe, czy to tylko fake newsy), wolą nie słuchać o historii, losie, jak spotkał polskich Żydów, którzy mieszkali na terenach zabranych Polsce przez Rosjan po 17 września 1939 r. Kiedy hitlerowskie Niemcy wypowiedziały Rosji wojnę, z kwiatami witali wkraczające do ich wsi i miasteczek wojska „cywilizowanego świata”. O tym, jak dalej potoczyła się ich historia, mieszkańcy Europy, zwłaszcza Europy Środkowej, powinni pamiętać na wieki.

Wojna rządzi się własnymi regułami – przekonał się o tym w 1938 r. premier Wielkiej Brytanii Chamberlain w czasie rozmów z Hitlerem. To doświadczenie powinno wystarczyć całym pokoleniom polityków, nawet jeśli uważają, że to oni są sprytniejsi. ●

***Leszek Hensel** – hungarysta, dyplomata, specjalista ds. Europy Środkowej i Bałkanów. Tytuł tekstu: „Wyborcza”

Podziemna armia. To ona zmieniła bieg II wojny światowej

Honor ponad życie i walka aż do końca. Armia Krajowa nigdy nie poddała się Niemcom. O tym, jak Państwo Podziemne podjęło walkę z okupantem i jak zmieniło bieg II wojny światowej opowiada czteroodcinkowy serial „Podziemna armia”, którego premiera odbędzie się 1 sierpnia o godz. 22:00 na antenie Polsat Viasat History.

Pamięć o bohaterach nie może nigdy zginąć, a świadectwa wojny powinny być przestrożą dla każdego, kto sięga po brojne rozwiązania, dlatego przypomnienie o polskiej historii staje się dziś ważniejsze niż kiedykolwiek. Przeszłość naszego kraju naznaczona jest krwią i cierpieniem, ale jest też opowieścią o odwadze i bohaterskiej walce. Wielokrotnie w naszej historii, szczególnie w skrajnie trudnych sytuacjach, pokazywaliśmy, że potrafimy zjednoczyć się dla dobra ogółu, a pragnienie wolności mobilizowało nas do niezwykłych czynów.

Szczególnie dobitnie pokazały to czasy II wojny światowej. Niesamowity hart ducha, umiejętność organizacji i wspólnego działania sprawiły, że podczas tego okrutnego konfliktu, to od dolnie utworzona, podziemna armia zmieniła jego bieg. I to ona, będąca najliczniejszą podziemną formacją bojową w okupowanej Europie, stała się symbolem wielkiego patriotyzmu oraz pragnienia wolności i bohaterstwa.

Archiwalne zdjęcia i rekonstrukcje wydarzeń

O tym, jak formowało się Polskie Państwo Podziemne i jaką rolę odegrało podczas II wojny światowej opowiada serial „Podziemna armia”, który od 1 sierpnia będzie emitowany na antenie Polsat Viasat History. Historia opowiedziana przez naocznych świadków i poprzez dramatyczne materiały archiwalne pochodzące z czasów II wojny światowej, pozwala nie tylko przypomnieć



sobie ważne fakty, ale i z dumą wspominać bohaterskość społeczeństwa polskiego.

O działaniach podziemnej armii opowiadają m.in. Paweł Ukielski, wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, profesor Rafał Wnuk z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, pułkownik Piotr Gąstał, były dowódca Jednostki Wojskowej GROM, oraz historycy, biografowie i komentatorzy polityczni, m.in. Alexandra Richie, Jochen Böhrer i Roger Moorhouse. Wzbożony imponującymi rekonstrukcjami, zrealizowany w Polsce dokument ukazuje rolę Państwa Podziemnego w zbieraniu informacji wywiadowczych, komunikacji z aliantami i rozbijaniu niemieckiej maszyny wojennej.

Tajne obozy szkoleniowe, akcje sabotażowe, walka partyzancka

Państwo Podziemne zaczęło formować się bardzo szybko po kapitulacji wojsk polskich. Dokładnie 28 września 1939 roku Warszawa poddała się Niemcom, a 6 października – skapitulowała ostatnia duża jednostka Wojska Polskiego. Polska po niemal 20 latach od odzyskania wolności, znów przeszła w ręce okupantów. Nie był to jednak koniec walk. „Wprowadzili krwawy terror od pierwszych dni okupacji. W związku z tym narodził się ruch podziemny” – mówi w 1. odcinku serii „Podziemna armia” Romuald Malinowski, były żołnierz AK.

Organizacja podziemnego państwa ruszyła jeszcze w 1939 roku i w miarę upływu lat wzbierała na siłę. Tajne obozy szkoleniowe, akcje sabotażowe, walka partyzancka, uderzanie z zaskoczenia, zasadzki na konwoje z zaopatrzeniem wojskowym, szybkie, nieregularne ataki na wroga – tak działała armia, która 14 lutego 1942 roku oficjalnie zaczęła funkcjonować pod nazwą „Armia Krajowa”. Była jedną z najliczniejszych podziemnych formacji bojowych w okupowanej Europie. Według niektórych źródeł, w momencie maksymalnej zdolności bojowej, latem 1944 roku, siły AK liczyły około 390 tys. osób. Największą operacją militarną Armii Krajowej była akcja „Burza” i w jej ramach Powstanie Warszawskie, ale po drodze były setki tysięcy innych pokazujących wrogowi, że społeczeństwo polskie jest silniejsze niż sądzono i jego możliwości mobilizacji należy doceniać.



Cztery godzinne odcinki serii „Podziemna armia” pozwalają odbyć podróż do jednego z najsłabszych momentów w historii naszego kraju, ale jednocześnie pokazującego, jak wielka może być mobilizacja społeczeństwa, która może zmienić bieg wojny.

Premiera dokumentu odbędzie się 1 sierpnia o godz. 22:00 na kanale Polsat Viasat History. Data jest nieprzypadkowa. 1. odcinek zostanie wyemitowany w 78. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, jednego z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii Polski. Emisja kolejnych odcinków zaplanowana jest w poniedziałki o tej samej porze. **Oglądaj w Polsat Box, pozycja 69.**

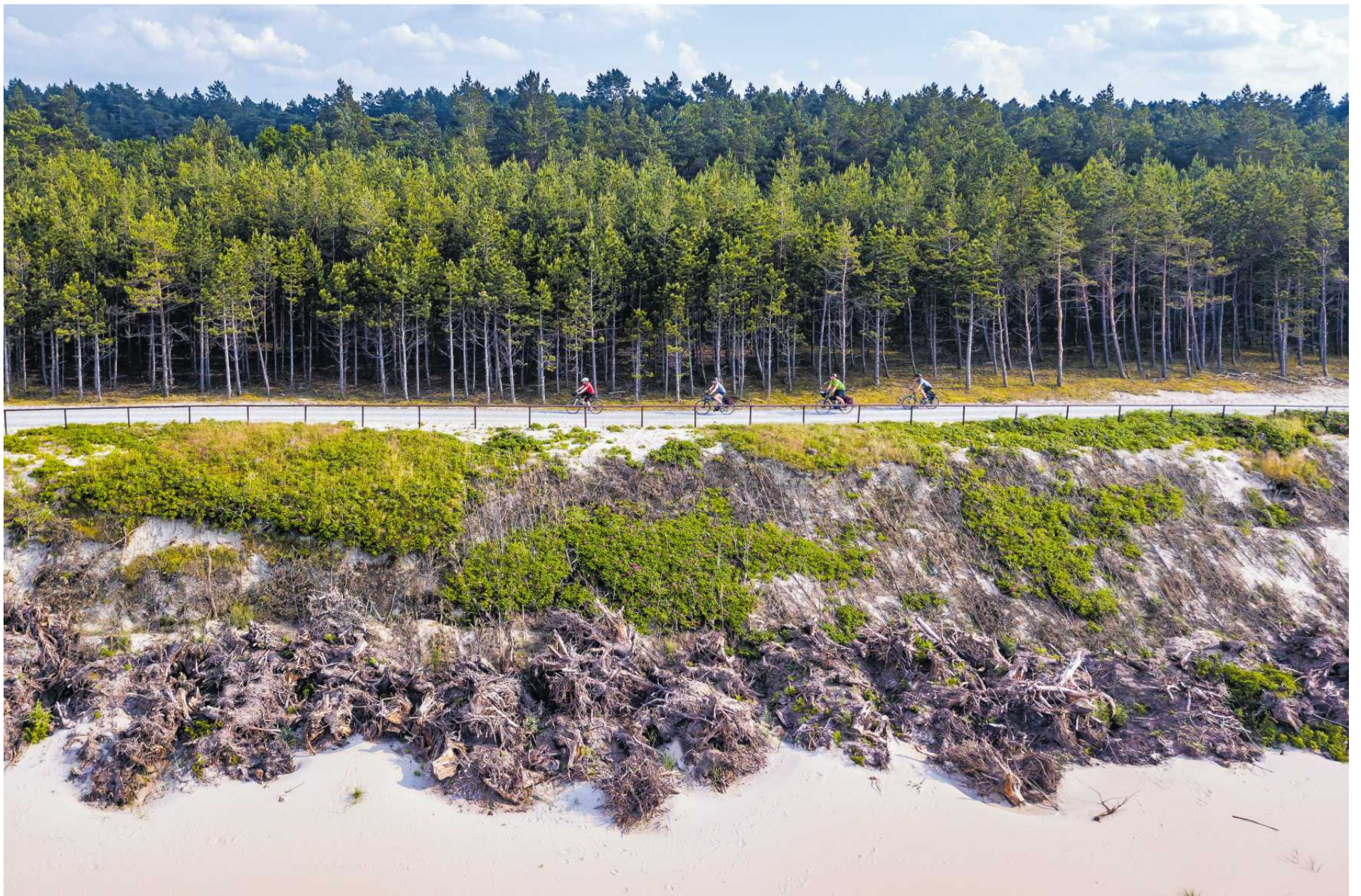


PRZEJEDŹ SIĘ PO POLSCE

Rowerami nad morską falą, prezydencki tulipan, a może do zamku, który lubi grać w filmach?
Odkryj najlepsze miejsca turystyczne w Polsce

Michał Tokarczyk

FOT. SZYMON NITKA/POMORSKIE. TRAVEL



Najpiękniejsza trasa rowerowa

Raz tafla morza błyszczy zza szumiących drzew, a za chwilę mamy ją na wyciągnięcie ręki – tak można opisać najładniejszą trasę rowerową w Polsce, na Mierzei Wiślanej.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Trasa wiję się wśród tuneli roślin, mija sosnowe lasy i żuławskie domy. Najwięcej wrażeń dostarczy fragment między przepokiem Mierzei Wiślanej a Krynica Morską. To przyjemna, siedmiokilometro-

wa jazda po szerokim klifie. Bliskość wody kusi, w podróż warto zabrać ręczniki i stroje kąpielowe. Latem co rusz najdzie ochota, aby zejść na chwilę z siodełka, wygrzać się na piasku i zanurkować w Bałtyku.

Wprawy rowerzysta przejedzie szlak w trzy godziny. Jazda w tempie rekreacyjnym (ok. 13-15 km na godz.) potrwa dwie godziny dłużej. Zostaje sporo czasu, by zobaczyć, co okolice Mierzei Wiślanej mają do zaoferowania.

W Kątach Rybackich działa Muzeum Zalewu Wiślanego, za Krynica Morską czeka Wielbłądzi Grzbiet, najwyższy szczyt Mierzei Wiślanej, z którego widać zarówno Morze Bałtyckie, jak i Zalew Wiślany. Piaski są ostatnią polską miejscowością na Mierzei Wiślanej. Trzy kilometry od zabudowań znajduje się granica Unii Europejskiej.

Trasa po Mierzei Wiślanej przeważnie omija nadmorskie miejscowości. Dzięki temu pedałujemy w ciszy. A jeśli jesteśmy

głodni lub spragnieni? Możemy zjechać ze szlaku, by zjeść obiad w smażalni U Pirata w Stegnie lub w barze rybnym U Basi w Kątach Rybackich.

Szlak wzdłuż Mierzei Wiślanej biegnie po międzynarodowej trasie Euro Velo 10. Dlatego trudno tu się zgubić – widać pomarańczowe tabliczki z kolejnymi etapami szlaku. Gdzieś tam stoją większe tablice informujące o pokonanych odległościach. Różnice wysokości są niewielkie, a nawierzchnia skrojona pod rowery trekkingowe i gravelowe.

Powrót do Mikoszewa warto odłożyć na następny dzień. Trzeba jednak wcześniej zadbać o nocleg w Krynicy Morskiej lub Piaskach.

Zamki na Jurze

Tomasz Haładyj

Położone dość daleko od głównych dróg – w dwóch trzecich pieszego i rowerowego Szlaku Orlich Gniazd między Krakowem a Częstochową – dwa sąsiadujące ze sobą zamki przeszły w ostatnich latach metamorfozę. Ruiny warowni wzniesionych przez Kazimierza Wielkiego kupili pod koniec XX w. bracia Jarosław i Dariusz Laseccy (pierwszy to przedsiębiorca, były senator; drugi był starostą myszkowskim). Najpierw odbudowali Bobolice, które są dziś ikonicznym „orlim gniazdem” na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej i jedynym w swym pierwotnym, średniowiecznym kształcie. Dlatego często zaglądają tu filmowcy, np. w serialu „Korona królów” Bobolice udawały Wawel. Obecnie dobiegają końca prace w pobliskim Mirowie. Ten zamek nie będzie jednak całkowicie odbudowany, zrekonstruowano jedynie wieżę i część korpusu budowli. Między oboma warowniami biegnie, przez Grzędę Mirowską, piękny, widokowy szlak (płatny) wijący się pośród białych, jurajskich ostańców.



FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. ŁUKASZ CYNALOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Kraina 100 Jezior

Tomasz Cylka

Szczęśliwi będą tu zarówno ci, którzy lubią leżeć na plaży, jak i ci, co preferują aktywne formy wypoczynku – na łódzie lub na wodzie, do tego wśród pięknej przyrody i w czystym środowisku. Największym jeziorem na tym terenie jest Chrzypskie. Nieopodal tego akwenu znajduje się jedna z największych hodowli tulipanów w Polsce. Słynie z tego, że nowe odmiany dostają imię znanych osobistości. Jest np. tulipan Irena Sendlerowa, a jeden nosi imię Agaty - żony prezydenta Andrzeja Dudy.

Ale to Jezioro Jaroszewskie w Sierakowie jest najpopularniejsze. Nad jego brzegiem odbywają się liczne koncerty i zawody sportowe. Natomiast Jezioro Śremskie jest trzecim co do głębokości w Wielkopolsce i stanowi jedyną w regionie kryptodepresję – to znaczy, że jego najgłębsze miejsce leży 6 m poniżej poziomu morza. Okolice nadają się dla kajakarzy o różnym stopniu doświadczenia. Najlepsze do pływania są jeziora: Lutomskie, Chrzypskie i Wielkie. Kajaki wypożyczymy również w Olandii nad Jeziorem Kuchennym. Tylko Czaple Wyspy, rezerwat Jezioro Gołyńskie i rezerwat na Jeziorze

Zgierzyńskim są zamknięte dla kajakarzy ze względu na ochronę przyrody. Charakterystycznym elementem krajobrazu są tu również wydmy, stworzone dzięki piaskowi naniesionemu przez topniejący lądolód i późniejszą działalność wiatru. W południowej części zobaczymy wiele wzgórz morenowych porośniętych lasami liściastymi, które są imponującymi punktami widokowymi. Najpopularniejszy znajduje się przy szosie z Pniew do Łęczeczek, która prowadzi dalej do Chrzypskiej Wlkp. Stoi tu pierwszy na świecie pomnik (w kształcie grzyba) odsłonięty w III tysiącleciu. Stało się to dokładnie minutę po północy 1 stycznia 2001 r. W okolicy wyznaczono sześć ścieżek dydaktycznych oraz utworzono sieć szlaków pieszych, rowerowych, konnych i wodnych,

których długość szacowana jest na ponad 1000 km. Działa też Ośrodek Edukacji Przyrodniczej w Chalinie, skąd ruszyć można na certyfikowane szlaki nordic walking i drożki prowadzące do malowniczych wąwozów. Przyjdzie tu, jeśli chcecie zobaczyć niebo pełne gwiazd. Przez Sierakowski Park Krajobrazowy przebiega również rowerowy Szlak 100 Jezior, który zaczyna się w Poznaniu i biegnie aż do Międzychodu. W Krainie 100 Jezior nikt się nudzić nie będzie i tylko szkoda, że nie można już tu dojechać na wycieczkę pociągiem. Międzychód, który był kiedyś ważnym węzłem kolejowym, jest dziś odcięty od świata. Choć są plany rewitalizacji linii z Szamotuł, przez Sieraków, do Międzychodu. ●

DZIECI Z OSIEDLA PRZYCZEP

FOT. EAST NEWS



Nikt już nie wierzy, że droga wzwyż prowadzi przez wiedzę

Renata Lis*

Bitwa o słowa Olgi Tokarczuk o literaturze nie dla idiotów przyćmiła tego lata rocznicę bitwy pod Grunwaldem.

Internet stanął w ogniu od lewa do prawa: nieustraszeni pogromcy klasizmu polewali napalmem arystokratów ducha; dziedzice kapitałów kulturowych spryskiwali jadem awansowany społecznie komentariat, ten zaś odszcze kiwał się, że może żyć bez Manna i Mahlera, a cała ta rzekomo wysoka kultura służy wyłącznie utrwalaniu podziałów klasowych oraz obronie interesów liberalnej burżuazji.

Wychodzimy z tej awantury poobijani i jeszcze bardziej spolaryzowani. Nikt nikogo nie przekonał, doszło natomiast do niezliczonych wylewów tragikomicznych manifestów, komentarzy i złośliwości.

Widać wyraźnie, że wzięliśmy udział nie tyle w sporze o społeczno-kulturowe imponderabilia,

ile w n-tej inbnie, jaką media społecznościowe urządziły sobie naszym kosztem.

Sztuczna inteligencja znowu użyla naszych emocji, żeby zamifestować i potwierdzić samą siebie: wyciągnęła z nas to, co najlepsze i najgorsze, zantagonizowała nas i radykalizowała.

Dostarczyliśmy jej nową porcję wiedzy o sobie, którą oczywiście zapamięta, przetworzy i wykorzysta do profilowania reklam, przed którymi na próżno będziemy uciekać.

A co z literaturą? Dla kogo ona jest? To najciekawsze pytanie w całej tej historii i tego akurat nadal nie wiadomo.

WIEDZA – POTĘGI KLUCZ

Trzydzieści, a nawet jeszcze dwadzieścia lat temu słowa Olgi Tokarczuk o strzechach i idiotach nie wywołałyby takiej burzy.

Dla ludzi z mojego pokolenia książka była oczywistym symbo-

lem emancypacji rozumianej jako równanie w górę.

Awans przez wiedzę był ideałem, który zaszczebiał mi mój polski dziadek, kolejarz z Falenicy. Mawiał: „Ucz się, bo tego nikt ci nie odbierze”. Do pamiętnika wpisywał mi zawsze ten sam wierszyk o wiedzy, która jest „potęgą kluczem”, zakończony frazą: „Ten zuch, kto więcej umie!”.

To ja byłam ludem, który wszedł do śródmieścia – właśnie dzięki zamilowaniu do książek. I oczywiście dzięki bezpłatnej edukacji, która to umożliwiała.

O składzie społecznym renomowanego warszawskiego liceum, do którego trafiłam trochę przez przypadek, nie decydowały zarobki rodziców ani nawet (w każdym razie nie do końca) adres zamieszkania. Córkę i synowie kurlandzkiej arystokracji, kresowego ziemiaństwa, lewicującej inteligencji, mieszczaństwa i proletariatu – rekrutowaliśmy się z absolutnie wszystkich dzielnic Warszawy oraz z podwarszawskich miściniek.

Oczywiście tym z klas ludowych nadal łatwiej było zagubić się w płątaniu dróg socjalizacji, niepojętej dla nich tak samo jak dla ich rodziców, niemniej pewien wysiłek państwa w kierunku wyrównywania szans dawał się zauważyć.

Pożerałam wtedy książki – z listy lektur i spoza niej. Nie policzę, ile godzin przesiedziałam w bezpłatnym dyskusyjnym klubie filmowym założonym przez społeczniczkę Jolantę Słobodzian.

Korzystałam ze szczęśliwego dla mnie splotu okoliczności, który sprawił, że wybitne dzieła nie dla idiotów w odpowiednim momencie znalazły się w moim zasięgu.

Co z nich rozumiałam? Patrząc z dzisiejszej perspektywy – niewiele. Rozumieć sztukę uczyłam się w biegu. Moja akulturacja przypominała razwiedkę bojem: im więcej czytałam, im dłużej się uczyłam, tym więcej rozumiałam z tego, co czytam i oglądam.

Kompetencje kulturowe, które pozwoliły mi najpierw rozeznaczyć się w dziwnym miszmaszu książ-

żek, jakie zebrali na trzech półkach moi rodzice, a potem wydeptać własne ścieżki wśród bibliotecznych regałów, zdobywałam w publicznych szkołach wszystkich szczebli albo na ich obrzeżach.

Przekonałam się na własnym przykładzie, że nawet wrażliwość na sztukę nie jest czymś, z czym się po prostu rodzi. Również ona podlega kształceniu, a nawet jest w pewnym stopniu wyuczalna.

Na tej zasadzie przeciętnie zdolny syn profesora od małego uczy się w domu sposobów obchodzenia się z dziełami kultury, co szybko zapewnia mu biegłość, która zaczyna wyglądać na dar natury, a w przyszłości pozwala bez większego wysiłku zająć pozycję społeczną podobną do tej, jaką zajmowali rodzice.

Dzieci z klas ludowych uczą się później – nie tylko czytania symboli i rozpoznawania intertekstualnych odniesień, ale również tego, że wobec dzieła kultury można czuć się swobodnie, to jest za-
wierzyć własnym odczuciom al-

bo użyć osobistych doświadczeń jako klucza interpretacyjnego.

W liceum zastanawialiśmy się kiedyś, co znaczy biały koń w słynnej scenie z „Popiołu i diamentu” Wajdy.

Ci z awansu szukali odpowiedzi w wiedzy, którą już zdobyli i której, jak wierzył mój dziadek, nikt im nie odbierze: obstawiali na przykład białego konia, na którym generał Anders miał powrócić i przegnać komuchów, i tym podobne alegorie z cudzej bajki.

Córka wybitnej profesorki filozofii wiedziała już wtedy, że wolno jej zapomnieć o wiedzy i zobaczyć w tym obrazie po prostu młodość, niewinność i łagodność, które musi utracić Maciek Chelmicki. Miała wobec siebie i sztuki swobodę, której pozostali dopiero się uczyli.

Wstyd społeczny, z jakim wiąże się emancypacja przez wiedzę, rodzi resentyment i potrzebę odwetu: kto zdoła wspiąć się szczebel wyżej, zazwyczaj odcina się od tych, których zostawił za plecami. Im bardziej czuł się upokorzony w procesie własnej socjalizacji, tym mocniej podkreśla progi, wymogi i bariery oddzielające elitę od hordy idiotów, z której sam kiedyś wyszedł.

Chodzenie do teatru nazywaliśmy w liceum odchamianiem się – trochę żartem, ale nie do końca. Do czytania ponad wymaganą normę mobilizowała nas ciekawość, ale też ambicja, żeby wybić się ponad innych. Nie była to jakaś ukryta czy nieświadoma motywacja – mówiło się o tym wprost. W pogoni za kulturową dystynkcją czytaliśmy światową klasykę i pieprzyliśmy strzechy.

Gdyby wtedy stanęła przed nami Olga Tokarczuk i powiedziała to, co powiedziała, pewnie poszlibyśmy za nią w ogień.

ZENEK I MOZART

Ale przecież od tamtej pory wiele się zmieniło. Świadomość społeczną przeorały ludowe historie Polski, archeologia społecznego wstydu i robotniczo-chłopskie coming outy dokonywane w trzecim lub czwartym pokoleniu.

Dawna hierarchia wartości upadła: pochodzenie szlacheckie i inteligencność przestały być traktowane jako osobista zaleta, zaczęły być widziane jako dziedziczny przywilej i niezawiniona wina wobec klasy pracującej.

Manifestowane publicznie oznaki dobrego wykształcenia potępia się jako pogardę klasową, ewentualnie ukrywa jako niepotrzebne nudziarstwo. Odwrotnie jest z odwołaniami do kultury popularnej – eksponuje się je i nagradza. Kultura nie jest sexy; popkultura – jest. Nieoczekiwanie dla samych siebie zostaliśmy zdemokratyzowani.

Mit książki jako symbolu społecznej emancypacji zupełnie się zdezaktualizował. Literaturą jest dzisiaj wszystko, co zostało zapisane przy pomocy alfabetu, pisarzem – każdy, kto się za takiego uzna.

Dla dzisiejszych dwudziestolatków książka jest tylko jedną z wielu możliwości spędzenia czasu, i to wcale nie najatrakcyjniejszą, a nie przedmiotem specjalnej troski czy pierwszej potrzeby, jaką była dawniej i dla niedobitków tamtej starej formacji nadal pozostaje.

Z jednej strony trwa rozpaczliwe „promowanie czytelnictwa”, z drugiej – tabun internetowych pouczenieli czeka w blokach startowych, żeby na ciebie runąć i wytłumaczyć ci, że Zenek Martyniuk nie ustępuje niczym Mozartowi, a jeśli nie znasz Anny Ka-

reniny, to może jest to problem, ale na pewno nie dla ciebie, tylko ewentualnie dla Tolstoja.

Nikt już nie wierzy, że droga wzwyż prowadzi przez wiedzę. Dziś wierzysz się w dziedziczone po rodzicach kulturowe, społeczne i ekonomiczne kapitały. Jeśli ktoś je ma, to znaczy, że wygrał wszystko; jeśli ich nie ma, przechodzi na stronę resentymentu i rewolucji.

KULTURA I POP

Olga Tokarczuk – nie tylko w niefortunnej wypowiedzi, która wzburzyła internet, ale też w swojej mowie noblowskiej – opowiada się po stronie Kultury przez duże K i bardzo zdecydowanie przeciw popkulturze oraz nowym mediom (za zwrócenie na to uwagi dziękuję dr Beacie Annie Polak z UAM). Szkodliwy okazuje się w jej opinii nie tylko przemysł wydawniczy, ale też praktycznie wszystko, co nie należy do uprawianego przez nią gatunku opowieści.

W pogoni za kulturową dystynkcją czytaliśmy światową klasykę i pieprzyliśmy strzechy. Gdyby wtedy stanęła przed nami Olga Tokarczuk i powiedziała to, co powiedziała, pewnie poszlibyśmy za nią w ogień

„Nie ma już potrzeby prowadzić dziennika podróży, kiedy można fotografować i wysłać te fotografie za pomocą portali społecznościowych w świat, zaraz i każdemu. Nie ma potrzeby pisać listu, skoro łatwiej jest zadzwonić. Po co czytać grube powieści, skoro można zanurzyć się w serialu?” – pyta pisarka w swojej sztokholmskiej mowie. Literaturze non fiction ma za złe, że odczuza rozumienia fikcji. Wielotomowym sagom – że eliminują katharsis. Generalnie jesteśmy coraz głupszy, ponieważ oddalamy się od Mitu, który mieszka w Słowie (przez duże M i duże S).

W kontekście mowy noblowskiej podział na „krajan”, którzy rozumieją lub przynajmniej czują, czym jest literatura, i w związku z tym podążają właściwą drogą, oraz na „idiotów”, którzy błędzą, gubiąc siebie i świat, wcale nie wydaje się nieporozumieniem. Być może trąące klasizmem sąsiedztwo „strzech” i „idiotów” rzeczywiście było wypadkiem przy pracy, ale przecież wyrażona w ten sposób myśl nie jest u tej pisarki nowa.

Ta myśl jest warta dyskusji. Nie tylko o tym, że wrażliwość na sztukę to nie to samo, co ładne oczy i nie wygrywa się jej na loterii genów (tu zresz-

tą, jak sądzę, nie byłoby z Olgą Tokarczuk wielkiego sporu).

Pomówić warto by było przede wszystkim o tym, że antagonizujący, wykluczający język sam w sobie jest najgorszym sposobem rozmowy o literaturze w obecnych warunkach społeczno-kulturowych.

Sekciarskie podziały na wtajemniczonych i profanów czy piętnowanie kultury popularnej jako z natury głupszej to podejście, którego dzisiaj najmniej potrzebujemy.

NIEMA SAMOTNOŚĆ

W czasach katastrofy klimatycznej, rozkiełnanych populizmów, kryzysu ekonomicznego i masowych migracji nie potrzeba nam kulturowych dystynkcji, tylko mądrej rozmowy.

Bo literatura rzeczywiście nie jest dla idiotów – jest dla ludzi, którzy w procesie dekodowania pisma potrafią dać jej coś z siebie i coś sobie z niej wziąć.

Kształcenie osobowości czytającej nie jest możliwe, jeżeli od razu przeskakuje się poziom, na którym kształcąca się osoba w swoim punkcie wyjścia rzeczywiście się znajduje. „Zostaw ten bzdurny komiks, poczytaj Szymborską” – oto najlepszy sposób, żeby niczego nie nauczyć.

Potrzebna jest taka edukacja, która pozwoli pogadać także o serialu z Netflixa i książce o smokach (i odkryć obecne w nich pokłady mitu), pokaże literaturę naprawdę współczesną (nie jest nią przecież Herbert) i zamiast stuletnich polonistycznych skrzepów nauczy mówić zwyczajnym językiem o prawdziwym świecie, przełamując w ten sposób niemą samotność najmłodszego pokolenia.

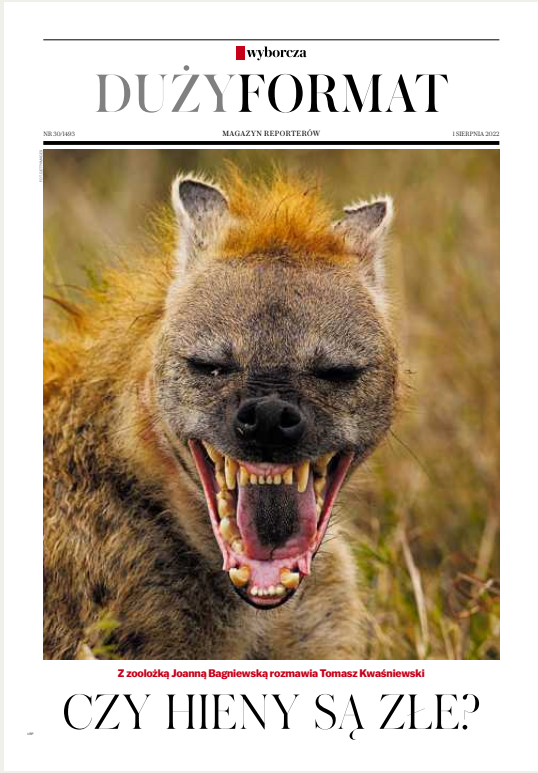
Nie ma innej drogi do wielkiej literatury – tylko tędy. Pewnie nie każdy pójdzie tą drogą z równą ochotą i pewnie nie każdy zostanie na dłużej z Virginią Woolf, Kafką czy Flaubertem, ale wszyscy powinni otrzymać taką szansę.

Kończę właśnie czwarty sezon serialu „Stranger Things”. Podziały klasowe coraz wyraźniej modelują uczucia ślicznej Nancy Wheeler: biedny Jonathan bez wyraźnego powodu zaczyna u niej przegrywać z bogatym Steve’em. I jakoś tak się składa, że w konfrontacji mieszkańców Hawkins ze złem najwięcej tracą Eddie i Max – dzieci z osiedla przyczep. ●

***Renata Lis**

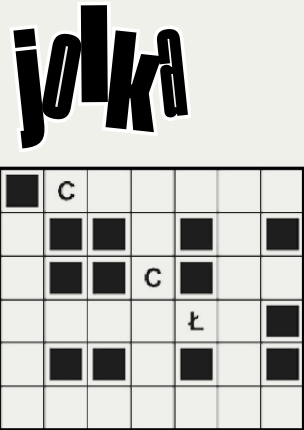
• pisarka i tłumaczka. Autorka książek: „Ręka Flauberta”, „W lodach Prowansji. Bunin na wygnaniu”, „Lesbos” (wszystkie ukazały się w wydawnictwie Sic!)

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 INTYMNE
ŻYCIE HIEN.
W stadzie zawsze
rządzą samice

2 PSYCHIATRA
DZIECIĘCY PILNIE
POSZUKIWANY.
Reportaż
Katarzyny
Włodkowskiej



Krzyżówka
co tydzień
w Dużym Formacie

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176926

ARTYLERZYSTA I KOBIECIARZ

Kościuszko nie był panicz-
kiem, który pojechał do Pary-
ża uczyć się malarstwa.

Kiedy wiosną 1794 r. generał Tadeusz „Kos” Kościuszko (Jacek Braciak) wraca do kra-
ju, nie spodziewa się, że losy
przygotowywanego powstania
przeciwko Rosjanom w decy-
dującym momencie będą leżały
w rękach szlacheckiego bękartu,
młodego chłopca Ignaca (Bartosz
Bielenia) – tak w skrócie zapo-
wiada się fabuła superprodukcji
„Kos”. To kolejny projekt Leszka
Bodzaka i Anety Hickinbotham,
czyli producenckiego duetu
z pasmem sukcesów („Boże Cia-
ło”, „Ostatnia rodzina”, „Żeby nie
było śladów”). Reżyseruje Paweł Maślona,
który debiutował błyskotliwym „Atakiem
paniki”. W niedzielę 31 lipca padnie ostatni
klaps na planie filmu. „Kos” ma wejść do
kin jesienią 2023 r.

Z **MICHAŁEM A. ZIELIŃSKIM**,
SCENARZYSTĄ FILMU „KOS”,
ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

**Wśród najpopularniejszych patronów
ulic w Polsce zajmuje drugie miejsce po-
między Mickiewiczem a Sienkiewiczem.
Niektórzy pamiętają jego wizerunek
z banknotu 500-złotowego. Ale czy dziś
nazwisko Kościuszk**o cokolwiek mó-
wi Polakom?

– Wyobrażam sobie Tadeusza Kościusz-
kę jako Hana Solo zamrożonego w bryle
karbonitu. Zdążył zbrązowieć. Niby mnó-
stwo ulic nosi jego imię, w paru szkołach
pewnie wiszą jeszcze zakurzone portre-
ty, ale kim właściwie był i co takiego zrobił
oprócz przewodzenia insurekcji, wie nie-
wielu. Czytając biografię Kościuszki, zaczy-
łem się zastanawiać, jakim cudem ostat-
ni film o nim jest z 1938 r. „Może po prostu
nie ma dobrego scenariusza?” – pomyśla-
łem i już się do mnie ta myśl przykleiła.

**Wcześniej pisałeś coś poza tekstami
do gazet?**

– Parę opowiadań do szuflady i słuchowi-
sko o Berku Joselewiczu. Berek to w ogó-
le oddzielny temat i fascynująca postać: ku-
piec, który w porozumieniu z Kościuszką
utworzył żydowski oddział wojskowy, naj-
prawdopodobniej pierwszy „oficjalny” od
czasu starożytnych Machabeuszy. Przed-
stawiłem ten tekst w ramach klubu dysku-
syjnego dla początkujących scenarzystów.
Ładnie mnie tam zgłanowano.

Poszedłem na kursy, jeździłem także na
festiwal do Gdyni, żeby poznawać ludzi,
zagadać kogoś po seansie czy przy barze.
Ci, którym opowiadałem o pomysle – że
ma być przygodowo, akcyjnie, z czarno-
skórym bohaterem, z perspektywy chłopca
– mówili mi: „Stary, rób!”. W 2019 r. uzna-
łem, że jeśli chcę jeszcze zrobić w życiu ja-
kąś szaloną rzecz – byłem tuż po czterdzie-
stce – to może być ostatni dzwonek. Nie
umiem robić kilku rzeczy naraz, więc po-
żegnałem się z dziennikarstwem i poświę-
ciłem pisaniu.



Myślę, że wtedy nie skalkulowałem do-
brze ryzyka. Dla przykładu: wyparłem
z głowy ostrzeżenia bardziej doświadcz-
onych scenarzystów, że to nie będzie sprint
i od scenariusza do powstania filmu może
minąć ładnych parę lat – jeśli w ogóle film
powstanie, albo że już powinienem mieć
dwa-trzy dopracowane projekty do poka-
zania producentom, a nie biegać z jednym.
No i oszczędności zaczęły szybko topnieć.

**A jak trafiłeś do Leszka Bodzaka i Anety
Hickinbotham z firmy Aurum Film?
Przecież byłeś debiutantem, a oni wy-
produkowali nominowane do Oscara
„Boże Ciało” czy nagradzane „Ostatnią
rodzinę” i „Żeby nie było śladów”.**

– Na premierze pewnego filmu historycz-
nego poznałem reżysera Pawła Maślone.
Przy winie stwierdziliśmy, że takiego kina,
jakie przed chwilą obejrzelismy, nie chce-
libyśmy robić. Powiedziałem mu o swoim
pomyśle, wysłałem tekst. Po trzech dniach
odpisał podekscytowany, że chce w to
wejść. Mam nadzieję, że Leszek Bodzak mi
wybaczy – albo doceni – bo postanowili-
śmy zastawić na niego drobną psycholo-
giczną pułapkę.

O, mamy suspens!

– Ustaliliśmy z Pawłem, że odezwie się do
Leszka, zachwalając projekt. Ja z kolei po-
prosiłem o to Michała Oleszczyka [scena-
ryzista i konsultant scenariuszowy, wcze-
śniej krytyk filmowy i dyrektor artystyczny
Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych,
prowadzący podcast SpoilerMaster], któ-
remu wcześniej pokazałem projekt i wie-
działem, że mu się podobał. I tak zupełnie
„przypadkiem” tego samego dnia z dwóch
różnych źródeł Leszek dostał komunikat:
warto zainteresować się tekstem kościusz-
kowskim. Dostaliśmy zaproszenie na spo-
tkanie.

Tak od razu?

– Producenci ciągle szukają tekstów. Sce-
narzyści, zwłaszcza debiutujący, narzeka-
ją, że są niedostępni – że wysłanych tek-
stów nie czytają, nie oddzwaniają, nie od-
powiadają na maile. Ale to się nie zmieni,



bo to zajęci ludzie. Dotarcie do odpowied-
niego człowieka to pierwszy test, jak bar-
dzo ci zależy.

W ogóle zaczynając, musiałem pogo-
dzić się z tym, że często będę robił z siebie
idiotę; że będę pytał o rzeczy, które dla roz-
mówcy są oczywiste, i słyszał: „Nie mar-
nuj mojego czasu”. Zakładałem, że dzie-
więć na dziesięć osób potraktuje mnie jak
akwizytora od magicznych garnków, i za-
skoczyło mnie, ilu ludzi z tej branży jakoś
mnie wsparło po drodze – kontaktem, do-
brym słowem, rekomendacją. Nie bałem
się dzwonić do grubych ryb i prosić, że-
by napisali mi opinię do wniosku o stypen-
dium czy do zgłoszenia na konkurs. Raz
dostałem taką z dnia na dzień. Może mia-
łem szczęście? Nie wiem. Wiedziałem, że
trzeba cisnąć. Dziennikarskie doświadcze-
nia pomogły. I chyba też to, że pracowałem
w dziale gospodarczym.

W jakim sensie?

– Nie lubię ściemy, zwłaszcza finansowej.
Słyszałem kilka bolesnych historii scena-
ryzistów. Chciałem, żeby producent zaryzy-
kował razem ze mną. Leszek Bodzak i Ane-
ta Hickinbotham to zrobili, podpisali umo-
wę, nie mając pewności, że dowiozę. Przy-
szedłem do nich z zarysem scenariusza.

Po pracy w dziale gospodarczym mia-
łem chyba większą świadomość, że film
kosztuje wiele milionów, a jeśli producent
straci pieniądze, nie zrobi następnego. Sło-
wo w scenariuszu – w przeciwieństwie do
powieści – ma swój kosztorys. Na podsta-
wie biografii Kościuszki najlepiej byłoby
oczywiście nakręcić serial w Polsce i Sta-
nach, ale kto zaryzykuje takie pieniądze?
Wiedziałem, że potrzebuję zwartej historii.

Nasza dzieje się w ciągu kilku dni
przed wybuchem insurekcji, w marcu
1794. Półtora roku wcześniej Polska prze-
grała z Rosją wojnę o Konstytucję 3 maja.
Kościuszko rzucił papierami generalskimi
i wyemigrował do Europy Zachodniej, ale
problemy gospodarcze kraju i okupacja ro-
syjska znów rozbudziły nastroje rewolucyj-
ne. Kościuszko staje się naturalnym kan-
dydatem na przywódcę szykowanego po-
wstania. Przedziera się przez południe Pol-

ski, bo zaraz wybuchnie insurekcja. Wtedy
dzieje się akcja „Kosa”.

**Czyli nie będzie wielkich bitew? To nie
będzie historyczny film, jaki zamarzył
się ministrowi Piotrowi Glinińskiemu?**

– Nie wiem. Mam nadzieję, że widzom się
spodoba, zwłaszcza że należąca do nas
wszystkich instytucja publiczna, jaką jest
PISF, ten film w części dofinansowuje. Dzię-
ki temu mówi się, że „Kos” to superproduk-
cja, ale zaznaczmy – na warunki polskie.
Producent ma do dyspozycji ponad 20 mln
zł, ale to jakieś 1 proc. budżetu „Top Gun:
Maverick”. Paweł Maślona woli zrobić, a ja
go w tym wspieram, wiarygodną walkę kil-
kudziesięciu osób w filmie z wciągającą fa-
bulą i żywymi postaciami niż bitwę pod Ra-
clawicami, bo „muszą” być Racławice.

Zdarza się, że siadam do obejrzenia fil-
mu, który chcę zanalizować na potrzeby
zawodowe, i kiedy się kończy, zdaję sobie
sprawę, że nie zrobiłem żadnej notatki. Po
prostu tak mnie wciągnął. Chciałbym, żeby
widzowie mieli tak z „Kosem”. To kino przy-
godowe, cała intryga jest fikcyjna. To trochę
historyczny film akcji. Postanowiłem od-
kleić się od twardych faktów, od tego są fil-
my dokumentalne. Jeśli widzowie będą na
filmie ziewać, to żadne zawarte w nim za-
kłęcia edukacyjne nie zadziałają. Jeśli ich
wciągnie, to wiedza o Kościuszcze jest w ne-
cie na jeden klik.

**Co takiego dostrzegłeś w Kościuszcze, że
zdecydowałeś się zaryzykować i osta-
tecznie zrezygnować z etatu?**

– To na wskroś nowoczesna postać. Ko-
ściuszko przekonywał, że jednostki i wspól-
noty mają prawo decydować o sobie. Uni-
wersał polaniecki dawał chłopom wolność
osobistą, pieniądze z jego testamentu miały
pójść na wykupienie czarnoskórych niewo-
lników, wspierał emancypację Żydów i przy-
puszczam, że w kwestii mniejszości seksu-
alnych wypowiadałby się dziś podobnie.

Poza tym był wybitnym inżynierem woj-
skowym, opracowywał nowatorskie pro-
jekty, m.in. fortyfikacje West Pointu, rozu-
miał wagę logistyki wojennej. Nie ma, że
„szlachta na koń wszędzie (...) i jakoś to bę-
dzie”. Długo się wzbraniał przed powsta-
niem, słał tylko instrukcje. Są przekazy, że
jeden z napalonych rewolucjonistów groził
mu bronią, żeby już zaczynał to powstanie,
a nie tylko przygotowywał i przygotowy-
wał. W tym jest wyjątkowy, bo wielu pol-
skich bohaterów zostało nimi tylko z po-
wodu brawury. Kościuszko jest rzadko spo-
tykaną w Polsce mieszkanką pragmatyzmu
i romantyzmu.

Polski patriota, ale krytyczny wobec te-
go, jak ta Polska jest urządzona. Nie ma
dziś wielu postaci historycznych, które mo-
gą łączyć Polaków. A Kościuszkę znajdzie-
my zarówno w małej miejscowości na pa-
triotycznym pikniku pod patronatem pro-
boszcza, jak i na memach Partii Razem.
Zresztą może łączyć nie tylko grupy, ale też
społeczeństwa. Białoruski batalion walczą-
cy w obronie Ukrainy w swojej przysiędze
przywołuje „kosynierów Kościuszki”, bo
na terenie dzisiejszej Białorusi się urodził
i wychował.

**Czytam oficjalny opis fabuły i nie brzmi
to wcale jak film o Kościuszcze – w każ-
dym razie nie on jest tu głównym boha-
terem.**



Z KATARZYŃĄ BONI*
ROZMAWIA AGNIESZKA
JUCEWICZ

Dzięki twoim staraniom na warszawskim Jazdowie stanęła niezwykła budka – „Telefon na wietrze”. Do kogo można z niego zadzwonić?

– Do każdego, kogo nam brakuje. To może być osoba, która nie żyje. Ale też ktoś, z kimś z jakiegoś powodu nie mamy kontaktu. Albo ukochane zwierzę, które straciłmy. Byłam tam niedawno. Podniosłam słuchawkę, żeby sprawdzić, jak to jest. Powiedziałam kilka słów do kogoś, kogo już nie ma w moim życiu, i wiesz, że rzeczywiście zadziała się coś niezwykłego. Nastąpiło jakieś przesunięcie w mojej głowie. Na pewno nie jest to zwykłe podniesienie słuchawki dla zabawy. W tej przestrzeni tworzy się coś odświętnego. I w księdze, która tam leży, pojawiły się już pierwsze wpisy, które o tym świadczą. Emocjonalne zapisy myśli, podziękowania. Jest też poruszający wpis kobiety, która podarowała aparat telefoniczny do budki. Gdy organizowaliśmy zrzutkę na ten cel, zamiast pieniędzy zaoferowała aparat telefoniczny, który ma dla niej symboliczne znaczenie: rozmawiała przez niego z dwójką rodzeństwa, z których każde, w odstępie 25 lat, popełniło samobójstwo. Jest stary, żółty, plastikowy, z tarczą.

Są na nim słoniki.

– Starszy brat przykleił je tam specjalnie dla niej, kiedy była dzieckiem, żeby mogła się bawić „w karuzele”. Zabierała ten telefon ze sobą wszędzie: na studia, do kolejnych mieszkań. Zwierzyła mi się, że prowadziła przez niego rozmowy ze zmarłym rodzeństwem. Podnosiła słuchawkę, nasłuchiwała, aż ktoś się odezwie. Oddanie go jest dla niej domknięciem żałoby. Wreszcie poczuła się gotowa.

Oryginalny „Telefon na wietrze”, po japońsku „Kaze no denwa”, stoi w ogrodzie pana Sasakiego, w mieście Otsuchi w Japonii.

– Pierwszy raz usłyszałam o nim, kiedy pisałam książkę pt. „Ganbare! Warsztaty umierania” – o tym, jak Japończycy radzą sobie z żałobą po stracie bliskich w tsunami w 2011 roku. Pan Sasaki zbudował go wcześniej, żeby móc rozmawiać ze zmarłym kuzynem. Ale po tsunami, w którym zginęło 18 tysięcy osób, udostępnił go innym. Dla niego to był oczywisty gest. Zwłaszcza że on miał szansę pożegnać się z krewnym, telefon służył mu jedynie do podtrzymania tej relacji, natomiast wiele osób w tej nagłej i drastycznej sytuacji takiej szansy nie dostało.

2,5 tysiąca ciał nigdy nie odnaleziono.

– I niemożność zobaczenia ich do dała do tej żałoby jeszcze inny, bolesny wymiar. Kiedy nie można zobaczyć ciała, mózg nie do końca rejestruje, że tej osoby już nie ma. Cały czas trzyma się ziarnka nadziei, że może jednak...

Kiedy wpadłam na pomysł, żeby podobną budkę stworzyć w Polsce, napisałam do pana Sasakiego z prośbą o zgodę. Był ostrożny. Po pierwsze, był zaskoczony, że takie budki już funkcjonują m.in. w Stanach Zjednoczonych, Szkocji, Irlandii, RPA. Ludzie zafascynowani ideą przenosili ją na swój

TELEFON W ZAŚWIATY

W Madrycie odbyło się uroczyste requiem. W Bergamo utworzono Las Pamięci. Podczas uroczystości ku czci ofiar COVID-19 niemiecki prezydent powiedział: „Społeczeństwo, które wypiera ich cierpienia z pamięci, szkodzi samo sobie”. A u nas? Cisza



grunt, nie informując go o tym. Po drugim, bał się, że nie zrozumie istoty jego pomysłu, że chce coś tylko odwzorować, bo ładnie wygląda i fajnie brzmi. Po pół roku korespondencji się zgodził.

Jak go przekonałaś?

– Wy tłumaczyłam mu, dlaczego chcę to zrobić. A chciałam, bo pandemia, choć nie była tak nagle i gwałtowna jak tsunami, w podobny sposób odebrała wielu ludziom możliwość pożegnania się – ostatniego dotknięcia, ostatniej rozmowy. Zostawiała ich w samotności, za murem szpitala.

Pan Sasaki poprosił mnie też, żebym przeczytała książki, które opisywały „Kaze no denwa”. Najważniejsze były dla mnie dwa teksty: jeden o symbolice upamiętniania ofiar napisany przez historyka, który twierdził, że nie zawsze musi to być pomnik albo tablica; drugi, napisany przez psychoterapeutę, o tym, jaki jest wymiar terapeutyczny takich rozmów – da-

Pandemia, choć nie była tak nagle i gwałtowna jak tsunami, w podobny sposób odebrała wielu ludziom możliwość pożegnania się – ostatniego dotknięcia, ostatniej rozmowy. Zostawiała ich w bezradności, samotności, za murem szpitala

ją możliwość autentycznej przemiany. Pan Sasaki podkreślał, że te rozmowy nie zawsze muszą się wiązać ze śmiercią, tylko w ogóle – ze stratą. Że czasem z różnych powodów nie możemy porozma-

wiać z kimś, komu chcielibyśmy coś jeszcze powiedzieć. Ktoś nas porzucił jako dziecko. Zostawił, jak byliśmy dorośli. Odrzucił.

Czego się dowiedziałaś o psychologicznej funkcji tego telefonu?

– Autor, Craig Van Dyke, odwiedził budkę pana Sasakiego i rozmawiał z ludźmi, którzy tam przychodzili. Pisał, że tak jak wcześniej wydawało mu się, że rozmowa może być lecząca tylko wtedy, kiedy biorą w niej udział co najmniej dwie osoby siedzące naprzeciwko siebie, na przykład klient i terapeuta, który słucha bez oceniania, tak tu zrozumiał, że ona może być terapeutyczna także wtedy, kiedy tej drugiej osoby nie ma. A to, co leczy, to słowa wypowiedziane na głos.

Czyli nie wystarczy powiedzieć ich sobie w głowie?

– Nie, bo wtedy myśli inaczej płyną. Nie mają w sobie tej namacalności. Tego ciężaru. Nabierają mocy, kiedy zostają wypowiedziane.

Wtedy też potrafią zaskoczyć. Ich treść może być inna niż to, co sobie wcześniej ułożyliśmy. Ale potrafią też oczyścić, przynieść ulgę.

W znany podcaście „This American Life”, w odcinku poświęconym „Telefonowi na wietrze”, nastolatka, która straciła ojca w tsunami, po raz pierwszy od pół roku mówi cokolwiek o jego śmierci. Budka ją otwiera. Pytanie, czy ma też moc domknięcia żałoby?

– Nie wiem. Myślę, że dla jednych to może być otwarcie. Przyznanie, że ta śmierć, ta strata się w ogóle wydarzyła. A dla innych – kulminacja. Pogodzenie się, że tej osoby już nie ma, oraz próba znalezienia jakiejś formy na pozostanie z nią w kontakcie. Przy czym tele-

fon jest tylko jedną z nich.

Kiedy opublikowałam informację, że chcę coś takiego zrobić, pojawiło się sporo komentarzy, że niektórym jest to niepotrzebne, bo rozmawiają ze zdjęciem albo na cmentarzu. I super, że znaleźli taki sposób, a jednocześnie widzę, ile osób go jeszcze nie znalazło. Ile potrzebuje usłyszeć, że w ogóle może rozmawiać dalej. Możliwe, że niektórym będzie łatwiej zrobić to w przestrzeni takiej budki, gdzie jest intymność, nikt cię nie podsłuchuje, ale wiesz, że robisz to też inni – w przypadku Japonii: dziesiątki tysięcy osób – więc robi się z tego rytuał. A to oznacza, że nie jesteś w tym osamotniona.

Rytuałów związanych z żałobą nam brakuje. Kiedyś mieliśmy ich więcej: czuwanie przy trumnie, noszenie czerni. W japońskiej kulturze śmierć jest częścią codzienności. Może dlatego ta budka tak się tam przyjęła?

– Rzeczywiście, w japońskich domach są ołtarze, na których trzyma się pośmiertne, drewniane tabliczki z imionami zmarłych. W wielu rodzinach nadal codziennie rano stawia się na nich miseczkę ryżu, zapala kadzidła. Chwilę spędza ze swoimi zmarłymi. Jeden z bohaterów mojej książki, trochę żartobliwie, a trochę nie, przedstawił mnie zmarłemu dziadkowi. Powiedział, że w ważnych sprawach prosi go wsparcie.

Są też inne, mniej popularne sposoby radzenia sobie z żałobą. Na przykład szamanki. Dawniej to były niewidome dziewczyny, które przez serię różnych trudnych i długotrwałych ćwiczeń uczyły się, jak wchodzić w trans i używać swojego ciała zmarłym. Dziś to się zmienia. Szamanka, z którą rozmawia-

skich jeździł po miejscowościach zniszczonych przez tsunami, zapraszał ludzi, żeby przyszli, posłuchali jazzu, coś zjedli i podzieliли się cierpieniem. Na początku ludzie nie chcieli mówić albo mówili o błahostkach. Dopiero z czasem dochodzili do tego, co w nich naprawdę siedzi. Po kilku latach sami zaczęli organizować takie kafejki. I o to właśnie Kanecie chodziło, żeby we wspólnotach dotkniętych żałobą pojawiła się chęć do działania.

Ważnym elementem przechodzenia przez żałobę były fotografie. Dawały poczucie ciągłości. W większości miast z rumowisk wyciągano rodzinne zdjęcia, czyszczono je ze szlamu, bakterii i zwracano właścicielom. Robiły to władze miast, czasem z pomocą takich firm jak Kodak czy Fuji.

Dlaczego tak ważne jest, żeby nie przeżywać żaloby, która dotknęła tak wielu osób, w samotności?

– W ogóle całe życie powinniśmy przeżywać w społeczności, a nie tylko sami ze sobą. To nie znaczy, że samotność jest zła. Przeciwnie, bardzo ją lubię, ale wierzę, że potrzebujemy do życia wio-ski i na różne sposoby walczymy o to, żeby mieć grono ludzi, którzy będą nam towarzyszyć na różnych etapach – i tych radosnych, i tych związanych ze smutkiem oraz stratą. Potrzebujemy świadków. Obserwując Japończyków, którzy tworzyli wspólne przestrzenie do przeżywania żaloby, miałam poczucie, że coś, co powstało trochę z konieczności, zmieniło się w rzecz najistotniejszą. Wielu z nich rozpadły się więzi. Stracili nie tylko bliskich, ale też to, co budowali przez lata – sąsiedztwo, przyzwyczajenia. Przerzucono ich w osiedla domów tymczasowych, do kontenerów, gdzie na nowo te relacje musieli nawiązywać. I to wspólne przeżywanie żaloby bardzo im w tym pomogło.

W Polsce na COVID-19 zmarło ponad 116 tysięcy osób.

– A żadnego oficjalnego upamiętnienia ich śmierci nie było, prawda? Nie wprowadzono żaloby narodowej. Dla mnie to jest w ogóle nie do pomyślenia! Nie jest wielką trudnością zorganizować wieczór z zapalonymi świeczkami. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił Biden, gdy został wybrany na prezydenta, było wezwanie do minuty ciszy, żeby uhonorować pół miliona Amerykanów zmarłych na COVID-19.

W Madrycie odbyło się uroczyste requiem w obecności władz. W Bergamo we Włoszech utworzono Las Pamięci, który premier Mario Draghi nazwał „symbolem bólu całego narodu”. Podczas uroczystości ku czci ofiar COVID-19 niemiecki prezydent Frank-Walter Steinmeier powiedział: „Społeczeństwo, które wypiera ich cierpienia z pamięci, szkodzi samo sobie”. A u nas? Cisza.

– W Londynie naprzeciwko pałacu westminsterskiego – po drugiej stronie Tamizy – powstała ściana żaloby. Grupa ludzi na murze szpitala wyrysowała serca różnej wielkości, w które można wpisać imię, nazwisko, datę śmierci bliskiej osoby i słowo od siebie – wiersz, podziękowania, pożegnanie. Wyrazić wściekłość też. Byłam tam w zeszłym roku i po-

szłam ten mur zobaczyć. Myślałam, że ma ze 20-30 metrów, tymczasem ciągnie się wzdłuż Tamizy na jakiś kilometr. Powstał piękny pomnik – wspomnienie, zbudowany przez całą społeczność. Brak oficjalnego upamiętnienia tej straty odbiera nam prawo do przeżywania żaloby na wielu poziomach.

Pozbawiono nas też możliwości przeżycia ważnego wydarzenia wspólnie, niezależnie od światopoglądu.

– Właśnie! Spójrzmy na katastrofę smoleńską. 10 kwietnia, mimo że to nie była moja opcja polityczna, natychmiast pojechałam pod Pałac Prezydencki. Byłam w szoku, w przerażeniu, ale też w poczuciu, że to dotyka nas wszystkich. Potem

Wielu z nas odczuwa jakiś dziwny brak sił, mamy kłopoty z pamięcią. Jest lato, a jednocześnie mamy poczucie, jakby w środku nas była zima.

To jest fizjologiczna odpowiedź na nieprzepracowaną stratę

potoczyło się tak, jak się potoczyło, ale ten odruch był czymś wartościowym, potrzebnym. Przecież upamiętnia się wiele różnych tragedii. Jak zapadł się dach hali w Katowicach, natychmiast ogłoszono żałobę narodową. Uznano za ważne, żeby zatrzymać nas i połączyć w momencie, kiedy dotykamy kruchości, śmierci, nieprzewidywalności, bo to wzmacnia więzi społeczne. Mam zawsze dreszcze, jak się takie rzeczy dzieją. Poczucie, że dotykam czegoś bardzo prawdziwego.

Czy to z powodu milczenia wokół tych pandemicznych śmierci zdecydowałaś się stworzyć replikę „Telefonu na wietrze”?

– To była jedna z moich motywacji. Pod koniec października 2020 r. zachorowałam na COVID-19. Nie bardzo ciężko, ale to w oczywisty sposób wywołało reakcje mojej rodziny: zaczęliśmy rozmawiać o lęku i strachu. Mam w rodzinie osoby starsze, schorowane. Zdaliśmy sobie sprawę – bardzo namacalnie – że naszym ostatnim spotkaniem może być moment, w którym ktoś z nas dzwoni na pogotowie, wsadzi tę kaszlącą, półprzytomną osobę do karetki, i tyle. W tamtym czasie taka sytuacja dotyczyła kilkudziesięciu tysięcy osób, potem w styczniu, w kolejnej fali, było ich jeszcze więcej. Dziś jest to rzeczywistość dla osób, które w pandemii pożegnały 116 tysięcy bliskich. Oficjalnie, bo nieoficjalnie mówi się, że jest ich więcej. Oczywiście nie wszystkie te śmierci były tak dramatyczne i tak samotne, ale wiele z nich – tak. W pewnym momencie dotarło do mnie, że przecież wiem, jak się można pożegnać, kiedy nie zdążyło się pożegnać – znam to z Japonii. A potem zdałam sobie

sprawę z tej ciszy ze strony rządzących i strasznie mnie wkurzyło, że są pierwsi do upamiętniania swoich ofiar i do zbijania politycznego kapitału wtedy, kiedy im to pasuje, a nie wtedy, kiedy jest to potrzebne społeczeństwu. Spotkałam się z jednym przypadkiem, kiedy ktoś zrozumiał powagę sytuacji i wziął na siebie odpowiedzialność zorganizowania żaloby. To nie był nikt z rządu, tylko psychoterapeuta Michał Roszkowski, który wraz z osobami ze środowiska lekarskiego i terapeutycznego wyszedł z inicjatywą i 3 grudnia zeszłego roku ogłosił dniem pamięci ofiar zmarłych na COVID-19. Organizatorzy zachęcali, żeby tego dnia zapalić świeczkę w oknie. Ale to jest jednak zupełnie coś innego niż zorganizowanie oficjalnej uroczystości. Obniżenie flag. Odwołanie imprez masowych. Umieszczenie kiru obok paska programu telewizyjnego.

Mówi się, że nieprzepracowana żałoba, czyli żałoba, która nie została uznana, prędzej czy później wraca do człowieka. Myślisz, że na poziomie społecznym to się też dzieje?

– Mam poczucie, że do nas cały czas wracają nieprzepracowane żaloby – po wojnie, po Holocauście, po repatriacji.

Mamy dużą wprawę, żeby tego nie tykać.

– Może właśnie czas to zmienić? Tym bardziej że mamy przykłady z całego świata, jak to się robi. Jestem przekonana, że to do nas wróci. Na poziomie społecznym, ale też indywidualnym. Już wraca. Wielu z nas odczuwa jakiś dziwny brak sił, mamy kłopoty z pamięcią. Jest lato, a jednocześnie mamy poczucie, jakby w środku nas była zima. To jest fizjologiczna odpowiedź na nieprzepracowaną stratę. Powinniśmy móc o tym mówić. Mamy prawo się tak czuć. Inaczej funkcjonować. I nie działać na najwyższych obrotach.

Niektóre firmy w Polsce zaczęły prosić różnych ekspertów – terapeutów i towarzyszek umierania – o zorganizowanie warsztatów wokół żaloby, bo dotyka tylu pracowników, że chcą wiedzieć, jak się z tym mierzyć.

Od lat prowadzisz warsztaty umierania. Co to takiego?

– Nauczyłam się ich w Japonii. Po tsunami zaczęli je prowadzić mni-si, wzorując się na warsztatach z amerykańskich hospicjów, które miały pomóc wolontariuszom współodczuwać z ich podopiecznymi. Dotknąć własnej śmiertelności, zobaczyć, jak to jest – umierać i tracić. W takich warsztatach może wziąć udział każdy, kto chce poczuć bardzo namacalnie, w ciele, w emocjach, co jest dla niego ważne i jak się czuje, kiedy musi się z tym pożegnać.

Jak można to poczuć?

– Osoba prowadząca opowiada historię o chorowaniu, umieraniu, z którą możesz się utożsamiać na tyle, na ile chcesz. Słuchając jej – w momentach wskazanych przez prowadzącą – wybierasz, jakie rzeczy, ale też ludzi będziesz tracić. Ty decydujesz o kolejności, co jest sprzeczne z tym, jak to wygląda w życiu, ale dzięki temu pozwala ci mieć nad tą sytuacją choć odrobinę kontroli. I jednocześnie zobaczyć, co tak napraw-

dę jest dla ciebie w życiu ważne. Jakich wyborów dokonujesz w sytuacji krańcowej. Ludzie wynoszą z tych warsztatów bardzo różne rzeczy. Często zaskakujące. Przekonują się na przykład, że śmierć to nie tylko smutek, rozpacz, ból, ale też wdzięczność, radość. Dla mnie podczas pierwszych warsztatów w Japonii najbardziej zaskakujące było to, że do samego końca zachowałam miłość. Nie mogłam, nie chciałam jej utracić. Miłość nie jako romantyczne uczucie, ale jako coś, co daję i dostaję od innych.

Kto bierze udział w warsztatach, które prowadzisz?

– Ludzie przychodzą na nie z bardzo różnych powodów. Są tacy, którym rodzice chorują i wiedzą, że będą musieli się z nimi pożegnać, więc chcą to „przećwiczyć”. Są tacy, którzy są po prostu ciekawi, jakie to uczucie: umierać. Dla mnie najważniejszy jest sam proces przechodzenia przez różne utraty. Dla jeszcze innych liczy się wyobrażenie własnej choroby, odchodzenia. Doświadczenie coraz mniej sprawnego, coraz bardziej bezradnego ciała. W końcu są też osoby, które w ogóle nie chcą się z tą opowieścią utożsamić, tylko lepiej zrozumieć, przez co przechodzili ich zmarli babcia, ciocia, przyjaciel.

Czy kiedy prowadziłaś te warsztaty w pandemii, miałaś poczucie, że co innego na nich wybrzmiewa?

– Nie. Natomiast kiedy wybuchła wojna, przestałam je na chwilę organizować. Uznałam, że wszystkim jest tak trudno, że to nie ma sensu. Wojna odebrała tym warsztatom ich oczyszczającą moc.

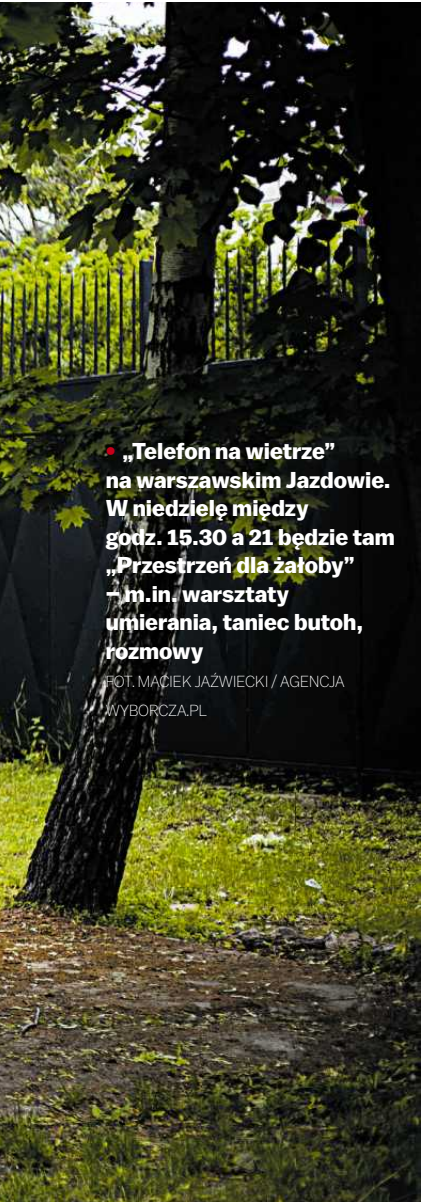
Na czym polegała ta trudność?

– Przede wszystkim na tym, że warsztaty tak naprawdę przeżywaaliśmy w realu. Ćwiczenia zbyt-nio zbliżyły się do rzeczywistości. Zwłaszcza jeśli ktoś gościł u siebie osoby z Ukrainy i widział, że przyjechały z jedną walizką i co do niej zabrały. Rozumiał, jak wygląda doświadczenie straty. Po drugie, podczas takich warsztatów zwykle pojawia się dużo wdzięczności za to, co mamy, co przynosi swoiste katharsis. Tym razem zaczęło jej brakować. Świadomość, że to tylko symulacja, ustępowała poczuciu, że za chwilę naprawdę to wszystko, co dla mnie ważne, mogę stracić. Teraz, po sześciu miesiącach wojny, to się powoli zmienia. Ludzie znów pytają o warsztaty. Zadaptowaliśmy się, a lęk, że wojna za chwilę przyjdzie do nas, opadł. Tym bardziej że Ukraina walczy. A my znowu jesteśmy gotowi ćwiczyć umieranie. ●



***Katarzyna Boni**

● reporterka, absolwentka kulturoznawstwa i psychologii społecznej. Współautorka (razem z Wojciechem Tochmanem) książki „Kontener” o syryjskich uchodźcach w Jordarii, autorka „Ganbare! Warsztaty umierania” i „Auroville. Miasto z marzeń”. Prowadzi warsztaty umierania



● „Telefon na wietrze” na warszawskim Jazdowie. W niedzielę między godz. 15.30 a 21 będzie tam „Przestrzeń dla żaloby” – m.in. warsztaty umierania, taniec butoh, rozmowy
FOT. MAŁK JĄŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

łam, pracowała też w kwiaciarni. Można umówić się do nich na wizytę, ale można też przyjechać pod górę Osorezan, która jest bramą do zaświatów, gdzie szamanki urzędują dwa razy do roku. Po tsunami pod tę górę przyjeżdżały autobusy pełne ludzi.

Jakie były inne formy pomocy ludziom w przeżywaniu tej narodowej tragedii? – Głównie oddolne. Jedną z najprostszych był masaż stóp. Grupa wolontariuszy jeździła po osiedlach domów tymczasowych. Z jednej strony chodziło o dotyk i czułość, z drugiej – o zwykłe wygadanie się. Buddyjski mnich Kaneta założył kafejkę de Monk. „Monk” to po angielsku „mnich”, ale również nazwisko jego ulubionego jazzmana. Z kolei po japońsku „monku” znaczy „narzekać”. Kaneta wrzucał do furgonetki stoły, krzesła, brał ciasto i herbatę i z kilkoma innymi mnichami z różnych odłamów buddyj-

CO MNIE URZEKŁO

Postarzeliliśmy się o całą wieczność

Polscy poeci tłumaczą wiersze wojenne ukraińskich przyjaciół

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI*

Idea Biblioteki Pisarzy Ukrainy ma źródło w przekonaniu, że literatura nie jest strefą autonomiczną, lecz głęboko rezonuje z rzeczywistością. Nawiązuje do Biblioteki Pisarzy Sarajewa, zainicjowanej przez Pogranicze i niezależne wydawnictwa z Sarajewa, Belgradu i Lublany. Podczas wojny w byłej Jugosławii wydano tomy ośmiu poetek i poetów w językach bośniackim, polskim, serbskim i słoweńskim. Biblioteka Pisarzy Ukrainy to wspólna inicjatywa oficyn Dżezwa ze Lwowa i Pogranicze. Dochód ze sprzedaży książek przekazany zostanie na pomoc Ukrainie.

Mała antologia wierszy ukraińskich z lat 2014–22 jest wyborem utworów z Biblioteki Poezji Ukrainy. Z dziesięciu dwujęzycznych tomów poetyckich z serii pierwszej Biblioteki wybrano po jednym wierszu. Każdy tom przetłumaczony został przez poetkę lub poetę z Polski. Zarówno wśród autorów, jak i tłumaczy są nazwiska sławne i mniej znane, bywa, że należące do osób, których dopiero wojna przymusiła do pisania albo do debiutu translatorskiego z języka ukraińskiego.

Książki z pierwszej serii Biblioteki powstawały w dialogu twórców: Wołodymyr Bynio / Janusz Radwański, Oleksandr Irwaneć / Jerzy Czech, Halyna Kruk / Aneta Kamińska, Kateryna Michalicyna / Jakub Pszoniak, Iryna Mularczuk / Katarzyna Szweda, Julia Musakowska / Aneta Kamińska, Walerij Puzik / Leszek Szaruga, Ostap Sływnyński / Bohdan Zadura, Julia Szeket / Bohdan Zadura, Natalia Trochym / Krzysztof Czyżewski.

W serii drugiej, planowanej na wrzesień, w przygotowaniu są tomy poetyckie: Olga Bragina / Julia Fiedorczyk, Ala Gulijewa / Joanna Lewandowska, Kateryna Kalytko / Aneta Kamińska, Ija Kiwa / Alicja Rose, Wasyl Machno / Bohdan Zadura, Anna Maligon / Jakub Kornhauser, Hanna Osadko / Agnieszka Wolny-Hamkało, Daria Suzdalowa / Krzysztof Czyżewski, Iryna Suzwałowa / Aneta Kamińska, Serhij Żadan / Aleksandra Zińczuk. ●

***Krzysztof Czyżewski** – ur. w 1958 r., animator kultury, poeta i eseista, współtwórca Ośrodka „Pogranicze – Sztuk, Kultur, Narodów” w Sejnach.

„W obliczu wojny. Mała antologia wierszy ukraińskich 2014–22”. Wybrał i wstępem poprzedził Krzysztof Czyżewski

WOŁODYMYR BYNIO
*** **(pokruszyć kamień...)**
Przełożył Janusz Radwański

*pokruszyć kamień
rozpuścić go w wodzie
napisać przezroczystym
pod powieką*

*pociąć się
połamanymi sucharami pamięci
zebranymi i wydanymi*

*przypiec się
zwęglonymi śnieżynkami
jądrowej zimy*

*i wciąż szukać
małej sylwetki
przemarzłego nasionka
które utknęło i zgrzyta
pomiędzy zębami
na kolisku horyzontu*

OŁEKSANDR IRWANEĆ
Czwartek 21 kwietnia
Przełożył Jerzy Czech

*Popiołu i krwi Mariupola
Morzem byśmy Azowskim nie zmyli.
A gdyby tak spadła „Topola”,
Wszystko znikłoby w jednej chwili.*

*Zawsze już wzrok będą wbijać,
Patrzeć na nas z podziemnych pieczar.
I gdzie się tam oni umyją
W Wielki Czwartek, Przeczysty wieczór?*

*Bez przerwy ból mnie przeszywa:
Co z nimi stanie się potem?
Zdrada i sąd fałszywy?
Męczeński szlak na Gołgotę?*

*Daleko, w innym podziemiu
Łysy Szatan wygodnie zasiada,
Naszym strachem, naszym cierpieniem
Z apetytem się właśnie objada.*

*Wokół siebie wampirów ma bandę,
Która krwią uchłala się w trupa.
Im wszystkim kością w gardle
Nadał tkwi nasz Mariupol!*

*Trzymają się dzielnie chłopcy,
Choć ból doskwiera coraz gorzej.
Gdzie jest ten Szymon z Europy,
Który krzyż nam dźwigać pomoże?*

*Tego ciągle zrozumieć nie mogą
Przekłète moskiewskie chamy.
Staliśmy się prawdziwym narodem
I teraz śmierć zwyciężamy!*

HALYNA KRUK
*** **(nosimy się ze swoimi martwym...)**
Przełożyła Aneta Kamińska

*nosimy się ze swoimi martwymi jak dzieci
poukładaliśmy ich na majdanie obściliśmy wokół
na mrozie, na śniegu, zagubieni
jakby nikt z nas do tej pory nie wiedział
że umrzeć można tak łatwo
każdy jeszcze ma nadzieję że poleżą i wstaną
bo co powiedzieć ich mamom? co powiedzieć ich dzieciom?
kto im przekaze najgorsze?
człowiek biegnie naprzeciw kuli
z drewnianą tarczą, z gorącym sercem
z głową w kasku narciarskim pełnym krwi
mamo, mam na sobie czapkę – krzyczy w głuchą słuchawkę
mamo, on ma za cienką czapkę, syczy kula*



FOT. VADIM GHIRDA/AP

IRYNA MULARCZUK
*** **(Czuwaj nade mną, Boże...)**
Przełożyła Katarzyna Szweda

*Czuwaj nade mną, Boże, nad każdą z nich, nad wszystkimi.
Nad tym uśmiechem, co ciepłem wypełnia gliniane naczynie.
Czuwaj nad płaczącymi, silnymi, wesołymi, biednymi,
Jak dziecko nad ostatnią czekoladką w kieszonce.*

*Czuwaj, Boże, nad ich ogniem pod abazurem z koronek,
Nad ich słońcem w podbrzuszach ożywczym i cklwym.
Są dzikie. Rembrandt, płacząc, malowałby ich oczy zamglone.
Siegają nieba jak sosny, dotykiem lekkim, prawdziwym.*

*Czuwaj nade mną, Boże, strzeż wszystkie muszle, perelki,
Ich delikatne kosmyki włosów, ich koty na piżamach.
Dar osładzania wszystkiego: piołunu, smutku, udręki.
I trzymaj nas gorliwie w Twoich otwartych ramionach.*

*Połączyłeś nas tak szczerze, bezbłędnie: melisa i miód,
Jak różowe wytrawne z gorgonzolą, jak ulewę z jazzem.
Błagam: niech pachnie i chrupie śmiech, jak świeży chleb,
Niech one tak nieustannie, non stop, raz za razem,
Jak chabry, lilie, konwalie... jak bagnety.*

WALERIJ PUZIK
*** **(przez te dwieście godzin...)**
Przełożył Leszek Szaruga

*przez te dwieście godzin
postarzeliliśmy się o całą wieczność*

*tak
wojna nas odmienia:
prawie bez snu
prawie bez chwili na jedzenie
na początku marca
rozdeptujesz bagna
na języku śnieg*

*syn mówi: „patrz tato
to podziemie
gdy przyjdą żołnierze
będziemy tam”
słabe połączenie
to jest
to się rwie*

pauzy między słowami

*uzupełniono koszary
teraz przypominają ul
od poranka do nocy
coraz to nowi ludzie
czyszczą broń
ładują 5, 45 do magazynków
wkładają kuloodporne kamizelki
wychodzą
„to wojna mamo
to wojna –
mówi przez telefon –
wszystko będzie dobrze
mamo
wszystko będzie dobrze”
ma osiemnaście lat
uśmiecha się
mówi
„już czas
...
wrócę dam znać”
i wsiada do autobusu
siada przy oknie*

*palce teraz jak tarka
oczy suche
ostatni raz się uśmiechnął tydzień temu
pamięć maluje kotka
którego spotykał w drzwiach
pustego teraz mieszkania
a fantomowy śmiech rozlega się w głowie
jej śmiech i jej głos
biegną wskazówki zegara
tik-tak
za oknem
przelatuje pocisk jak nietoperz –
strzał w noc*

*przez te dwieście godzin
postarzeliliśmy się o całą wieczność*
4.03.2022 Odessa



Autorem wielu haseł jest **Michał Nogaś**

FOT. AGATA JAKUBOWSKA

Warszawski Torwar nie należał w latach 80. do wizytówek stolicy. Miał już blisko 30 lat, dopiero za kilka lat miał przejść modernizację i dorobić się dachu (dotąd zadaszne były tylko trybuny). 30 lipca 1985 roku popłynęły tu dźwięki „Something To Do”, utworu otwierającego płytę „Some Great Rewards”. Zresztą większość z 19 utworów Depeche Mode, które zagrali wówczas, podczas swojego pierwszego koncertu w Polsce, pochodziła z tego albumu. Nic dziwnego, bo trasa koncertowa promowała ten krążek.

Publiczność na Torwarze usłyszała więc „People Are People”, „Master and Servant”, „Somebody” czy „Blasphemous Rumours”.

Bilety na koncert, jak pisał swego czasu „Dziennik” w rocznicę koncertu (30.07.2016), kosztowały 1,5 tys. zł (przy ówczesnej średniej krajowej ok. 20 tys. zł) i sprzedawane były ze stolika polowego w Domach Centrum. Rozeszły się wszystkie, a na Torwarze i tak było więcej publiczności, bo tradycyjnie część fanów weszła na lewo, dogadując się „na bramce”.

„Nie zapomnę, jak Martin Gore kupował w Wawie zapiekanki, a ja modliłem się, by go nie skreśliło, ale jakoś przeżył” – wspomina w swoim internetowym dzienniku Roman Rogowiecki. Otóż zespół podczas spaceru po stolicy zgłodniał, a że wszyscy wokół wsuwali zapiekanki, artystom z Wielkiej Brytanii też zamarzył się ten specjal.

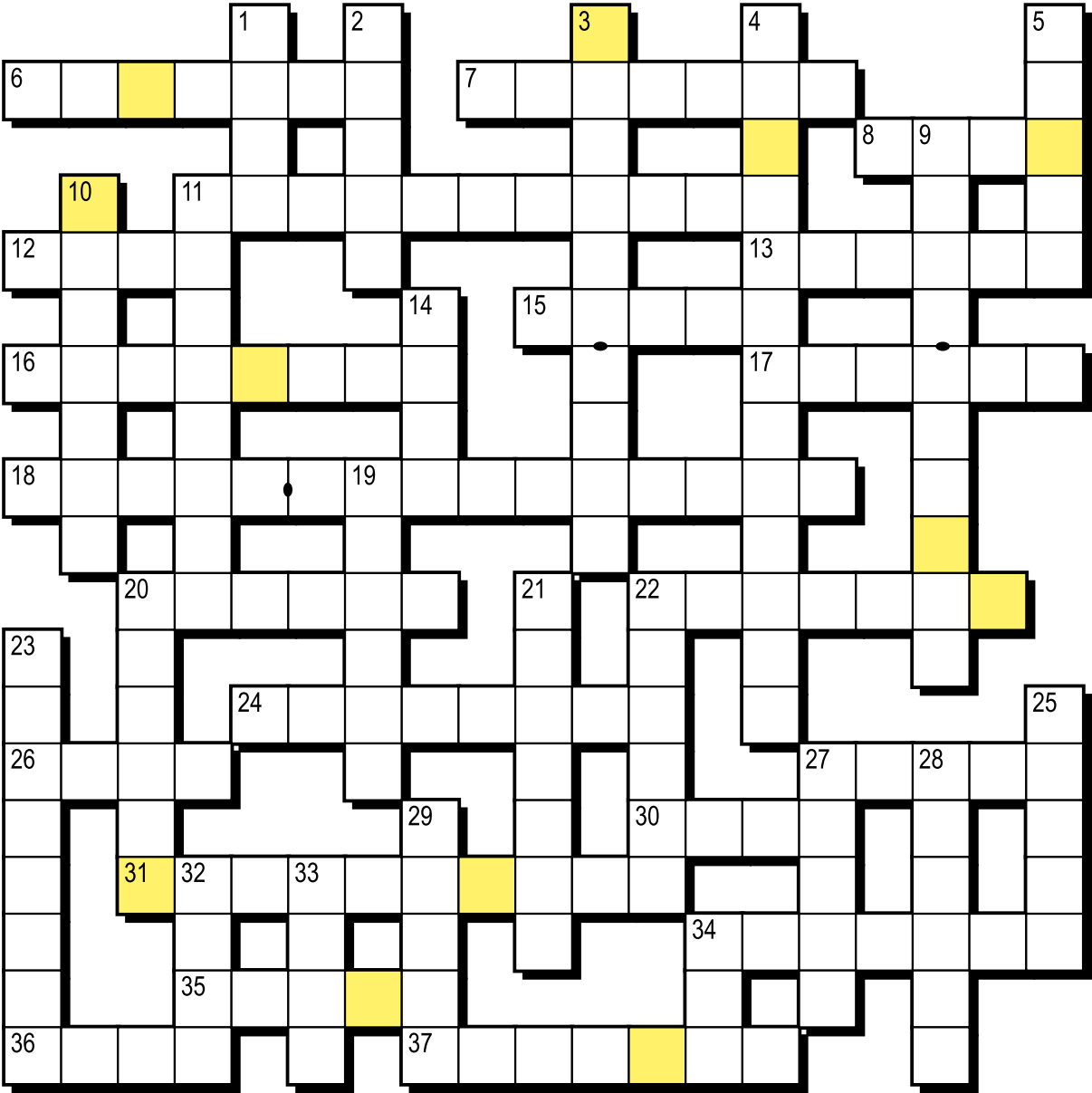
Gdzie najlepsze zapiekasy w stolicy? Sprawa dyskusyjna, bo ja obstawiam te koło Centralnego – na hot dogi szło się za to pod Pałac Kultury, gdzie ciocia naszego kolegi z klasy prowadziła punkt gastronomiczny w przyczepie kempingowej zwanej nomen omen „zapiekanką” – ale jedno nie ulega wątpliwości: 37 lat temu narodziła się w Polsce DEPESZOMANIA.

Dlatego dziś zapraszamy do Weekendówki o Depeche Mode. Bo to zespół w Polsce szczególnie, nie tylko ze względu na zapiekanki. Hasła, z którymi się Państwo zmierzycie, ułożył m.in. nasz stały ekspert **Michał Nogaś**, czyli wiadomo, że taryfy ulgowej nie będzie. I pamiętajcie, inaczej niż w „Enjoy The Silence”: tu słowa są bardzo potrzebne.

PRZEPRASZAMY: Szanowni Weekendówkowicze! Jak słusznie zauważyliście (pani Moniko – serdeczne pozdrowienia dla córki rozmówianej w kosmosie!), w krzyżówce kosmicznej (23.07) jakiś marsjański chochlik dokleił nam złośliwie jedną kratkę, uniemożliwiając prawidłowe wpisanie Gagarina. Przepraszamy i dziękujemy za czujność – niech no tylko dorwiemy tego gagatka...

Błąd przytrafił nam się przy okazji tematu, w którym błędy są szczególnie niedopuszczalne, ale z tym większą uwagą będziemy teraz sprawdzać wszystkie krzyżówki, by taka sytuacja już się nie powtórzyła. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie Weekendówki nr 11 z 23.07: **KOMETY I METEORY**

DEPECHE MODE

Hasła **Michała Nogasia** oznaczono inicjałami (MN). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie – tytuł jednego z albumów Depeche Mode.

Poziomo:

- 6)** to samo, co 18 poziomo
- 7)** Yazoo i ..., duety, w których występował Vincent Clarke – współzałożyciel Depeche Mode
- 8)** niskie dźwięki
- 11)** instrumenty kojarzone z zespołem
- 12)** ... Gahan, wokalista i frontman DM

- 13)** instrument dominujący w przebojach „I Feel You”, „Personal Jesus”, „Never Let Me Down Again”
- 15)** początek albo rozgrzewka (MN)
- 16)** album z piosenkami „Enjoy the Silence”, „World in My Eyes”, „Policy of Truth”
- 17)** warszawska hala, w której grupa wystąpiła w 1985 r.
- 18)** zwykle następuje po wydaniu nowego albumu
- 20)** bilet wstępu na wszystkie dni festiwalu
- 21)** pierwszy zapowiada płytę (MN)
- 22)** Marek, jego książka z historią zespołu i tekstami piosenek była w latach 90. rozchwytywana przez fanów DM

- 26)** „A Broken Frame” – sierp, „Construction Time Again” – ? (w ręku postaci na okładce płyty)
- 27)** piosenka
- 30)** uwielbiany przez fanów
- 31)** hotelowy pokój dla gwiazd
- 34)** skojarz: narkotyk, Gahan, uzależnienie, lata 90.
- 35)** ubrany w królewskie szaty Gahan niósł go w ręku (MN)
- 36)** Gahana – to baryton
- 37)** wokalista lub muzyk

Pionowo:

- 1)** ... Fletcher (zm. 2022), klawiszowiec DM
- 2)** „... Machine”, album wydany w 2013 r.

- 3)** lider i kompozytor większości piosenek zespołu
- 4)** długie ..., poprzedzają 18 poziomo
- 5)** „Speak and Spell”, debiutancka ... DM
- 9)** w zespole przez 13 lat (MN)
- 10)** oszałamiająca ... Depeche Mode, rozpoczęta w 1980 r.
- 11)** spis utworów wykonanych podczas koncertu (z angielskiego)
- 14)** niejedyn wykorzystywany do filmowania koncertów
- 19)** polski festiwal muzyczny, na którym DM wystąpili w 2018 r.
- 20)** na głowie Gahana w teledysku do „Enjoy the Silence”

- 21)** od „Dream On” po „Goodnight Lovers” (MN)
- 22)** płyta z piosenkami „Where's the Revolution”, „Cover Me”
- 23)** przerabianie piosenek innych artystów (z angielskiego)
- 25)** zespół muzyczny
- 27)** płyta z piosenkami „Home”, „It's No Good”
- 28)** część sceny wysunięta w stronę publiczności, zwykle w postaci wąskiego pasa
- 29)** piszczy na koncercie
- 32)** bicie serca w podkładzie ballady „Somebody”
- 33)** kwiat na okładce 16 poziomo
- 34)** piosenka taka jak „Personal Jesus”

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**

allegro

DAYS

Dni pełne

szczęścia i promocji

ponad

100 000 ofert
w supercenach

Od poniedziałku do środy, 1-3 sierpnia



REKLAMA 34191276

1RP